

DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia

N 4

WIESIECZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

ROK 1934

ROK XIII

Nr. 4

T R E Ś Ć

Ś. p. Adam Skwarczyński	317
Wawrzyniec Kubala: Jednostka a kolektyw	320
Czesław Bobrowski: Koniec piątlećki	332
Kazimierz Kosłński: Wawel w ideologii Wyspiańskiego. Na 30-lecie „Akropolis” 1904—1934 (I)	348
Roman Kołoniecki: Do Antinousa	361
Jerzy Liebert: W gościnie u generała. Wspomnienie	365
Anna de Noailles: Wiersze. Przełożyła Henryka Łazowertówna	373
Józef Targowski: Tradycja i rewolucja w życiu społecznym	375
SPRAWY POLSKIE. Sprawa propagandy Polski w Anglii (Tadeusz Grzebleniowski)	384
Z ŻYCIA ZAGRANICY. Bilans polskiej wiedzy o faszyzmie (Wacław Kubacki). — Dzieło o Spinozie (Ignacy Myślicki). — Anna de Noailles (Henryka Łazowertówna)	388
SZTUKA. Władysław Jahl (Zygmunt St. Klingsland)	402
KSIAŻKI. Artur Górski: Drogi do kultury (Stefan Kołaczowski). — J. Wł. Dawid: Psychologia religii (J. Bleiberg). — D. H. Lawrence: Kochanek lady Chatterley (Halina Izdebska). — „Verbum” (Marja Morstin-Górska). — Miesięcznik dla zagadnień żydostwa (J. Bleiberg)	405

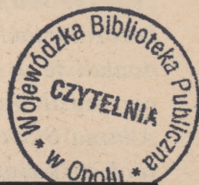
C E N A N U M E R U ZŁ. 2.50

ADAM SKWARCZYŃSKI
Portret Leokadji Bielskiej



Kolekcja
Emila Kornasia

DROGA Nr. 4



Ś. † P.

ADAM SKWARCZYŃSKI

WSPÓŁZAŁOŻYCIEL
I NACZELNY REDAKTOR „DROGI”

ZMARŁ 2 KWIETNIA 1934 R.

Śmierć Adama Skwarczyńskiego ciężką żałobą okryła „Drogę” — jedną z tych placówek nowego życia polskiego, które Zmarły najbardziej kochał, w których budowę najwięcej wysiłku i pracy myślowej włożył. Na całej linii tych poszukiwań ideologicznych, którym „Droga” jest poświęcona, odbiła się wyraziście niezwykła żarliwość serca i uczciwość intelektualna, cechująca osobowość Adama Skwarczyńskiego.

Zakładając wraz z kilkoma przyjaciółmi „Drogę”, chciał z niej u przedproża odrodzonej państwowości uczynić redutę nieustrudzonej myśli twórczej, której architektura powstawać miała na zrębie konkretnych zjawisk życia w ojczyźnie i poza jej granicami. „Kałku” ideowy Nowej Polski nie mógł wyrastać w próżni, gdyż wtedy wszelka ideologia łatwo prze-

obrazić się może w oschle i pewne siebie doktrynerstwo — jak to można było zaobserwować w warunkach życia przedwojennego.

Od takiego założenia rozpoczynając swą pracę w „Drodze“, Adam Skwarczyński skupił koło niej ludzi, którzy idee swe wykuwali nie w samotnych laboratorjach klerkowskiego odosobnienia i pozażyciowej izolacji, lecz znajdowali je w warsztatach powierzonych sobie prac realizacyjnych, konstrukcje myśli budowali równolegle do konstrukcyj życia. Współpracowników Adama Skwarczyńskiego nie cechowała nigdy zarozumiałość, że drogi przez nich wskazywane są jedynymi i najlepszymi ścieżkami, które życie polskie ma się potoczyć. Zdawali sobie sprawę, że nie będą mogli biegiem swych myśli pominąć dziedzictwa ideowego ojców z epoki romantyzmu, którzy jakże daleko umieli sięgać w przyszłość.

Wszystkie te cechy właściwe były w wysokim stopniu wypowiedziom Adama Skwarczyńskiego, zawartym po większej części w książce Jego „Myśli o Nowej Polsce“, która ukazała się ostatnio w drugim wydaniu. Książka ta jest zbiorem artykułów i rozpraw, sondujących do samego dna życie nasze, budujących dla niego niezawodne drogowskazy i wołających wielkim głosem o mobilizację moralną społeczeństwa polskiego, które musi podjąć nanowio swą odpowiedzialną misję.

Z tej jedynej książki wylania się przeczyście profil Adama Skwarczyńskiego — człowieka nieporzytej wiary, wzniosłego wizjonera i zarazem najcichszego pracownika, co świadomie nie unikał żadnego największego móżdłu, jeśli miały na nim rosnąć fundamenty Nowej Polski. Nawet w tem heroicznym pokoleniu, które Polski nie dostało za darmo, lecz na nią tęsknotą, a później potem i krwią zapracowało, Adam Skwarczyński jest postacią w swej piękności jedyną i wyjątkową. Nie będzie to frazeologja, jeśli powie się o Nim, że był jednym z tych, w których „wszystko istniało dla Ducha, nie dla cielesnego celu“ — jak to wyraził Słowacki w *Genezis*.

Nie piastował nigdy żadnych wybitnych stanowisk państwowych; cały był cichą zasługą, co od wnętrza żywotnym fermentem codzienność polską formowała. Ułomność fizyczna, którą życie go obciążyło, nie zmniejszyła wcale intensywności rozległych prac, które z swego niskiego pokoiku na Zamku do ostatka kierował. W pokoiku tym krzyżowały się nerwy wielu organizacji, powstawały załączki nowych instytucyj, rozwijały się ośrodki nowych prac, nowe ugory społeczne brano do przeorania. Życie osobiste Adama Skwarczyńskiego było zredukowane do minimum, ustąpiło miejsca rzetelnym troskom publicznym i wychowywaniu tych, którzy pracować mieli w najróżniejszych terenach. Nawet ci, którym pod ciężarem najodpowiedzialniejszych obowiązków państwowych uginaty się barki, przychodzili do Adama Skwarczyńskiego po radę, po otuchę, po dobrotliwe słowo dopingu i po-

krzepienia. Mieszkanie Jego było jakby tajemnym konfesjonalem, gdzie się ludzie, obcujący z Nim, odradzali i dźwigali ku jutru.

Jeden jeszcze moment uwypukla jedynność postaci Adama Skwarczyńskiego: że nie był z rodu tych szlifierzy pięknych słów, którzy nie wypełniają ich najgłębszą treścią własnego życia. Adam Skwarczyński nie tylko g ł o s i ł, lecz również p r a k t y k o w a ł. W tem leży istotna treść tego fenomenu: psychiczno - moralnego, który nazywamy charakterem. Dlatego też Adam Skwarczyński stanowi doskonały etycznie pierwowzór nowego człowieka w Polsce i tylko przez żarliwe dążenie do zbliżenia się ku Jego postawie, do dalekiego bodaj upodobnienia się — powstanie nowe moralne oblicze społeczności polskiej. Całe życie Adama Skwarczyńskiego było pisaną czynami odą do młodości i właśnie młodości polskiej dedykował swą książkę.

Dobro i honor Polski były tego życia dewizą. Ale serce Adama Skwarczyńskiego obejmowało swem uмиłowaniem wszystko: i ludzi w niej, i ślady przeszłości, i najprostsze pejzaże ojczyste, które na rzadkich wywczasach akwarelą z upodobaniem odtwarzał. Otoczony malowanemi przez siebie kwiatami i krajobrazami — był w swem mieszkaniu niby wśród polskich łąk i lasów, które w marzeniach zaludniał nową pracą, nowem pięknem, nową historją, wcielającą niezatarte rysy polskiej duszy.

WAWRZYNIEC KUBAŁA

JEDNOSTKA A KOLEKTYW

Cały układ życia społecznego — to niezliczona ilość różnego rodzaju zbiorowości, które są pochodzenia organicznego lub historycznego, bądź też są wyrazem samorządnej twórczości społecznej. Jedne z nich mają charakter przymusowy, inne dobrowolny, jedne — trwałe, inne — przemijające. W każdym wypadku, czy chodzić będzie o państwo, czy o gminę, czy o kościół, czy o organizację zawodową, czy też o jakiegokolwiek inne skupienia ludzkie o charakterze względnej bodaj trwałości — stwierdzimy zawsze, przy każdej zbiorowości, istnienie norm pewnych dla zbiorowych stosunków, oraz pewne unormowanie, skrepowanie życia jednostki ze względu na zbiorowość. Każda jednostka należy równocześnie do szeregu przeróżnych zbiorowości, które posiadają między sobą pewną naturalną hierarchję nad-i podrzędności, które się nawzajem o siebie zazębiają i krzyżują. Jednak w tej dziedzinie spotykamy takie bogactwo form i oddziaływań, że trudno przeprowadzić jakiś logiczny i wyczerpujący podział. Równocześnie obserwujemy zjawisko zbiorowości zupełnie niezorganizowanych, a ciężących znacznie silniej na działaniu jednostki, niż organizacje formalne, uzbrojone nawet w narzędzia przymusu. Takie zjawiska obserwujemy np. w opinii — w pewnych zbiorowych obyczajach niezorganizowanej grupy i t. p.

Aby sprecyzować nasze zagadnienie, musimy zacieśnić zakres pojęcia. Ponieważ chodzi o wzajemny stosunek kolektywu i jednostki, należy przyjąć intensywność tego stosunku za podstawę do określenia pojęcia kolektywu.

Chodzi więc przede wszystkim o skupienia, których rezultatem są więzy jednostki, występujące w formie nakazów czy to bezpośrednich, czy pośrednich. Skupienia te muszą mieć charakter formalny (t. zn. muszą być wyraźnie zorganizowane), względnie muszą opierać się na tak silnej więzi psychicznej, żeby równoważyła ona brak strony formalnej. Podczas gdy niektóre skupienia absorbują jednostkę częściowo (organizacje towarzyskie, zawo-

dowe), inne mają charakter ogólny — a raczej nietylko ogólny, ile nawet przy sprecyzowanym jednostronnym charakterze absorbują całość życia jednostki, względnie zaś charakter więzi jest tak silny, że przenosi się na całość stosunków życiowych (np. zgromadzenia religijne) i dlatego definiują tę grupę skupień jako te, których zakres, sięgając poza codzienne interesy jednostki, wiąże się z dominującymi kompleksami jej dążeń i jej sfery uczuciowej i moralnej.

Możnaby przykładowo podjąć próbę zanalizowania paru zagadnień granicznych: — kooperatywa spożywcza może przy pewnem nastawieniu stać się kolektywem w tem nowem znaczeniu, wskutek odpowiedniego nastroju ideowego członków — poczucia religijnej misji takiej akcji.

Kiedy klasa społeczna nabierze cech kolektywu? Jeśli obudzi się świadomość klasowa — i to świadomość tak intensywna, że narzuci ona odpowiednie uczuciowe nastawienie się do klasy. Sama idea może istnieniem swem stworzyć kolektyw przez rozpowszechnienie się i stwarzanie odpowiednika organizacyjnego. A więc — te skupienia, które przez swój charakter i zakres narzucają pewien system norm postępowania swoim członkom, nazwiemy kolektywami.

Trzeba tu nadmienić zgodnie z tem, co powiedziano wyżej, że zależnie od stanu kultury i organizacji danego społeczeństwa, różne skupienia mają ten charakter. Ród niewątpliwie był kolektywem, tak jak i rzymska *familia*. Dzisiejsza rodzina zatraciła już ten charakter. To samo odnosi się do średnio-wiecznych miast, do organizacji cechowych.

Szczególną uwagę zwrócić należy na charakter więzów, łączących jednostkę z kolektywem. Węzłem zasadniczym jest poczucie przynależności — świadomość stosunku związania. Można stwierdzić, że niezawsze ta świadomość istnieje. W wielu wypadkach istnienie kolektywu jest faktem, względnie opiera się na szeregu faktów, których rezultatem jest powstanie węzła. Fakt taki przez swe istnienie wywołuje szereg następstw w życiu zbiorowem i może być obserwowany jako fakt, np. armja: dla wszystkich członków jest widoczne i jej istnienie i konsekwencje z jej istnieniem związane. To jednak nie przesądza sprawy poczucia przynależności. Poczucie to może wpływać bądź z szeregu źródeł emocjonalnych, bądź też może być rezultatem emocjonalnym świadomości danego faktu. Oczywiście, zależy to od psychicznych właściwości rasy i od rodzaju kultury społecznej — czy i w jakich warunkach dany stan faktyczny rodzi poczucie przynależności.

Ten węzeł przynależności jest źródłem działania jednostki, jest pewnem kryterjum zgodności tego działania z normami obowiązującymi kolektywem. Jakkolwiek niezawsze stosunek jednostki do kolektywu oparty jest na ele-

mentach świadomych. Cały szereg zjawisk — czy to będą stany psychiczne, czy też pewne dyspozycje do działania — ma charakter mechanicznego przystosowania się jednostki do kolektywu. Dłuższe działanie wychowawcze kolektywu — zwłaszcza tam, gdzie istnieje rozwinięte poczucie przynależności — wytwarza pewną jednorodność w sposobie reagowania na pewne zjawiska. Wszystko to, co wiąże się z poczuciem honoru — czy ujętem najszerzej, czy też tylko odnośnie do pewnej grupy społecznej, jest w gruncie rzeczy oparte na pewnych reakcjach mechanicznych. Tak samo duża część kultury obyczajowej (stosunek do kobiet, do dziecka, instynkty rodzinne); podobnie duża ilość przejawów życia religijnego; tak samo wiele objawów patriotyzmu i t. d.

Gdybyśmy mogli wyliczyć i jako tako uporządkować jeśli nie wszystkie, to przynajmniej znaczną część tych zmechanizowanych społecznie odruchów życia codziennego, otrzymalibyśmy typ średni obywatela danego społeczeństwa, zależnie od tego, jaką ich sumę dana jednostka reprezentuje. Jest to typ, który nazywamy typem społecznym (jego wartość, że tu nawiasowo wspominaliśmy, zależy nie tylko od ilości tych mechanicznych więzów, lecz także od ich trwałości i od ich rodzaju, t. zn. od ich etycznej wartości).

Drugą grupą więzów są więzy świadome, a raczej świadome dostosowanie się jednostki do norm kolektywnych. Rygory tych norm mogą być trojakie :

a) *Obowiązujące pod przymusem*. Są to wszelkie normy prawne wynikłe z życia państwowego, względnie z kolektywów, które są jednym z objawów tego życia. Specyficzny charakter mają normy, odnoszące się nie do samego życia państwowego, lecz do innych dziedzin (jak np. do religii, rodziny, pewnych sfer życia gospodarczego, i t. p.). Jeżeli w tych dziedzinach normy mają charakter przymusowy, to obowiązują one jako normy kolektywu — państwa — i tu zaciera się granica między życiem państwa a życiem innych kolektywów; np. religja staje się funkcją państwa — kościół jest upaństwowiony, nie przez ingerencję w jego organizację prawną, ale przez prawną opiekę, udzieloną przez państwo normom religijnym. W gruncie rzeczy taka opieka mniej zwiększa siłę kościoła, niż znaczenie państwa.

Naogół normy przymusowe spotykamy dziś jedynie w kolektywach, zawisłych od państwa. W innych ustrojach spotykamy je w organizacjach innego rodzaju, np. kościół, miasta, niektóre korporacje średniowieczne. Dziś mamy pewne objawy stosowania przymusu w organizacjach zawodowych, gdzie rygory organizacyjne mają tak doniosłe znaczenie życiowe dla członków, iż równają się przymusowi prawnemu. Przymus stosują również tajne organizacje polityczne i kościoły wobec swych członków. Można by powie-

dzieć, że wszelka organizacja dobrowolna rozporządza przymusem przez możliwość wykluczenia członka; tych norm jednak nie można uznać za przymusowe, jak długo spoistość organizacji, względnie poczucie przynależności nie jest tak silne, że może stanowić pewną konkurencję dla powszechnych norm przymusowych.

b) *Normy, narzucone przez opinię.* Jest to grupa więzów społecznych, najtrudniej dająca się sprecyzować. Wchodzimy tu w grupę zjawisk najróżnorodniejszych — od etyki ogólnej aż do obyczajów życia codziennego. Szereg norm, regulujących życie jednostki, a dyktowanych przez opinię, nie ma za sobą autorytetu kolektywu, tak jak go określiliśmy na wstępie. Ogromna większość wszystkich norm etycznych, wszystkich nakazów obyczajowych oparta jest właśnie na rygorze opinii. Czasem może to być nieświadome, czasem zaciera się granica między normą mechaniczną a normą świadomą; tam jednak, gdzie działa pierwiastek świadomości, decyduje kryterjum: „wszyscy tak robią, mówią, myślą“ — bądź wogóle, bądź też w danym zbiorowisku społecznym.

Jak ważne znaczenie ma uwzględnienie tych norm przy ocenie kolektywu, widzimy wtedy, gdy porównujemy stosunki i obyczaje różnych narodów i różnych epok na podstawie ich prawodawstwa. Dziś w szeregu dziedzin prawa cywilnego i karnego podstawy prawne są te same, różnicę zaś stanowi obyczaj. Wysunięte hasło uzdrowienia obyczajów politycznych jest może ważniejsze, niż zmiana praw. Świat liberalny w swych teorjach o praworządności opiera się na systemie, wysnutym z prawa rzymskiego, żądając dla jednostki szerokiej sfery swobody ograniczonej ustawami. Zapomina się przytem, że systemat prawa rzymskiego wyrósł w ustroju niesłychanie silnego skrępowania jednostki węzłami obyczaju i kultury — węzłami, które krępowały ją w korzystaniu ze sfery prawem zabezpieczonej.

c) *Pozostają wkońcu normy dobrowolne*, możnaby powiedzieć: grupa nakazów o najwyższym stopniu świadomości, w których jednostka ustala pewne normy etyczne, pewne zobowiązania wobec kolektywu. Normy te są podstawą aktywności jednostki wobec kolektywów.

Jak wspomniano wyżej, życie społeczne możemy sobie przedstawić jako spłot różnego rodzaju kolektywów o różnej hierarchji, nawzajem się ząbających. Musimy przytem stwierdzić nietrwałość charakteru zasadniczego poszczególnych kolektywów. Wynika ona ze zmienności zasadniczego elementu, t. j. spoistości, leżącej w psychice jednostki. Możliwe jest zjawisko, które możnaby nazwać desagregacją, t. j. takie rozluźnienie kolektywu, że jego normy przestają mieć siłę bezwzględnie obowiązującą; znaczy to, że rola danego kolektywu przestaje oddziaływać na dominujące sfery życiowe jed-

nostek, że ograniczy się jego powaga i stanie się on czysto formalnym zbiorowiskiem, np. różnica między cechem średniowiecznym a nowoczesnym. Te przemiany mogą istnieć zarówno w odniesieniu do danego konkretnego kolektywu, jak i w rozwoju historycznym do całego typu. Powody, zwłaszcza przy przemianach historycznych, będą leżały w *faktach*, które wytwarzają dyspozycje psychiczne — więc w zmianie układu sił różnego rodzaju. Takim faktem może być tworzenie się nowych kolektywów, podrywające więc moralną już istniejących.

Drugą stroną tej sprawy jest tworzenie się nowych kolektywów. Zapytujemy, gdzie rodzi się siła, która w danym ugrupowaniu stwarza więź moralną, zdolną do narzucenia uczestnikom jednolitości działania i odczuwania. Podstawą jest zbiorowość, oparta na faktach. Fakt pewnej jednolitości w jakiegokolwiek dziedzinie, nawet jednolitości interesów, pewnego specjalnego typu życia, wogóle: każdy fakt przypadkowego nawet ugrupowania pewnej ilości jednostek, w formie wyodrębnienia ich od reszty, tworzy pewną zbiorowość. Próżna byłaby praca doszukiwania się elementów powstania kolektywu w trwałości związku, w sile wspólnych interesów i idei, które przecież mogą się nawzajem krzyżować i osłabiać. Najprościej jest mówić o rozwoju historycznym, który burzy jedno, a tworzy nowe kolektywy, to nam bowiem daje sprawiedliwe uznanie dla tego, co nazywamy *faktami*. A jednak spotykamy się w życiu ze zjawiskami tworzenia się kolektywu, które niemal można obserwować, np. zakon, lub inny typ izolowanej grupy, jak: organizacje piratów, bandy zbójckie, mafje, organizacje takie jak masoneria. Tego rodzaju kolektywy mają tę szczególną cechę charakterystyczną, że proces ich powstawania trwał krótko w stosunku do ewolucji historycznej, która tworzy kolektywy o większej trwałości; możnaby powiedzieć, że powstały one w gorącej atmosferze silnego napięcia emocjonalnego i to zapewnia im rozwój, a równocześnie jest źródłem ich upadku, gdy ta siła emocjonalna osłabnie. *Niepodobna jednak nie widzieć tu twórczej roli jednostki. Bo jedynie ona staje się źródłem tych silnych napięć — sugeruje przez swe działanie jednolity sposób reagowania i stwarza przez siłę wystąpienia duchową jedność w zbiorowości.* To jest moment formalny; ale i rzeczowo jedynie jednostka formuluje te idee, które stają się więzią dla kolektywu. Czy jednostka występuje w roli wodza tworzącego państwo, czy też w roli apostoła — zawsze jest ona podstawą tworzenia kolektywu. Moglibyśmy nawet powiedzieć, że kolektyw jest formą *uwiecznienia woli jednostki twórczej lub kierowniczej*. Życie zbiorowe jest więc nie tylko spletem działań różnorodnych kolektywów, lecz także obrazem wznoszenia się nowych i zamierania dawnych. Wszystkie te procesy odbywają się w psychice jednostki i znajdują swe odbicie w komplikacjach jej pojęć etycznych.

Procesy te stwarzają pewną rzeczywistość etyczną. Jednostka, należąca do różnych kolektywów, związana z nimi różnymi stopniami skrepowania, tworzy sobie pewną hierarchję związków społecznych i działa w tych granicach. Obserwacji jednostki ze względu na konkretne jej obowiązki podlega konkretna forma kolektywu. Dopiero na tle mnogości tych zjawisk i bogactwa form tworzy się łączne pojęcie: „społeczeństwo“, które właściwie nic pozytywnego nie oznacza, a jednak mieści w sobie całą sumę sprzecznych nie-raz i nieskoordynowanych kolektywów i dlatego to „obowiązki wobec społeczeństwa“ są tak zmienne i tak sprzeczne ze sobą, zależnie od kąta patrzenia. Abstrahując od innych różnic, różnice w traktowaniu całokształtu w stosunku do społeczeństwa tworzą pewne specjalne typy. Problem szarmonizowania tych różnorodnych obowiązków wobec społeczeństwa ujawnia różnicę w kulturze społecznej jednostki. Niewątpliwie rozwiązanie tego problemu zależne jest od siły dominujących kolektywów, ale ta strona obiektywna nie wystarcza i tu mieści się szeroka skala typów i indywidualności.

Całość problemu, który jest przedmiotem naszych rozważań, obejmuje — jak widzimy — teren stykania się etyki indywidualnej z życiem społecznym. Jeśli przeciwstawimy sobie jednostkę i kolektyw i drogę prowadzącą od jednego do drugiego, oraz ich uzależnienie wzajemne — to jasna się staje pewna organiczna strona tego stosunku. Nie mają tu niemal zupełnie wpływu względy celowości; rozstrzygające są jedynie związki faktyczne. U źródeł liberalnego poglądu na społeczeństwo mieści się przecenianie świadomych elementów w ustosunkowaniu się jednostki do kolektywu — świadomych nietylko w znaczeniu świadomości faktów, ile świadomości celu. Przedstawiono układ społeczny jako oddziaływanie świadomych egoizmów, których rezultatem jest najbardziej celowa organizacja społeczeństwa. Tam, gdzie sprzeczność różnych kolektywów stawia jednostkę wobec wyboru, wybiera ona według kryterjów swego interesu, idzie drogą „maximum efektu przy minimum ofiar“. Nawet zdobycze historycznych badań, historycznej szkoły w prawie i ekonomji, oraz prąd materializmu historycznego w socjologii, nie zdołały wykorzenić głównych założeń tego sposobu myślenia. Naukowo trudno byłoby obronić jakiegokolwiek przesłanki tego światopoglądu, a jednak w życiu praktycznym dziś jeszcze operuje się szeregiem tych formuł liberalnych jako dogmatami. Poglądy te, oczywiście, sprzeczne są z rzeczywistością, już ze wstępnej bowiem analizy widzieliśmy, że kolektyw nie może opierać się na interesach. Istotą kolektywu jest węzeł moralny. Niewątpliwie, liczne są działania ludzkie, tak indywidualne jak i zbiorowe, oparte na interesie, ale wspólność interesów — to są dopiero fakty, które mogą przygotować powstanie kolektywu; takim samym faktem może być zresztą i przymus. Tam nawet, gdzie interesy jednostek czy grup rzeczywiście działają, niezaw-

sze istnieje świadomość wspólności interesu, lecz podobne warunki faktyczne, stwarzające te wspólne interesy, stwarzają równocześnie podłoże, na którym kolektyw może powstać.

Istotną cechą kolektywu jest jego aktywność. Tę właśnie cechę podkreślamy, mówiąc o danej formie społecznej, że jest ona żywa. W rezultacie aktywność ta wyraża się w stosunkach i działaniach członków kolektywu. Nie wystarcza samo istnienie więzi, wynikłej z jego istnienia, nie wystarcza również pewna jednorodność działania i odczuwania. Potrzebny jest kierunek działania, zmierzający świadomie do uzewnętrznienia istnienia kolektywu, wzmożenia jego siły, rozszerzenia jego zakresu, czy wzbogacenia jego treści. Bez tej aktywności kolektyw staje się formą martwą. Rodzaj tej aktywności może być różny ze względu na charakter kolektywu. Musi on żyć życiem własnym, niezależnym od życia jednostek. Ta strona życia wyraża się w tym, co możnaby nazwać aktywnym stosunkiem jego uczestników. Są to dwie strony tego samego zagadnienia. Samo normalne życie i działanie jednostki w obrębie kolektywu nie zapewnia mu życia. Więzy moralne, czy normy łączące jednostkę z kolektywem, tworzą się właśnie przez ruch, przez dążenie do zmiany czy udoskonalenia. Bez tego ruchu następuje stan równowagi, a zatem zamieranie więzów kolektywu. Ruch jednak jest rezultatem aktywności jednostki — aktywności, której przedmiotem jest sam kolektyw i jego rozwój. Rozróżnić należy dwie formy tej aktywności: wysiłek energii i ofiarność. W każdym razie pamiętać musimy, że chodzi tu o aktywność przedsiębraną w interesie rozwoju i życia kolektywu. Jak, z jednej strony, ponieważ obojętne będą wewnętrzne pobudki, których rezultatem będzie ta aktywność — tak też działania inne, choćby miały one za skutek i korzyści dla kolektywu, nie wchodzi tu w rachubę. Będzie to stwarzanie faktów mniej lub więcej pomyślnych dla rozwoju kolektywu, ale nie przejaw działalności kolektywu. Zatem — ta aktywność może być powszechna i może być ograniczona. Normalnie nie jest ona powszechna. Idealny stan, w którym wszystkie jednostki byłyby aktywne — to idealny stan demokracji, w której każdy uczestnik czynnie i ofiarnie przyczynia się do rozwoju zbiorowości. Normalnie *grupa aktywna jest ograniczona i możemy ją nazwać elitą kolektywu*. Tu zachodzi jeszcze pewien konflikt między aktywnością, ujawniającą się w formie wysiłku energii, i w formie ofiar. Różność pobudek rozdziela te dwa światy w znacznej części, lecz niezupełnie. Co się dzieje, jeśli inne grupy jednostek są zdolne do wysiłku energii, a inne do ofiary i do cierpienia, — jeżeli te dwa światy nie są szarmonizowane? Tak samo niekorzystny wpływ musi wywierać bezwzględne dominowanie wyłącznie jednego z tych pierwiastków. Mogą na tem tle rozwinąć się grupy faktów, zagrażających istnieniu kolektywu. Wszystko to odnosi się do elementarnego wymogu życia ko-

lektywu — do jego aktywności. Parę słów należy poświęcić statycznym wymogom jego siły i trwałości.

Możemy zrekapitulować te główne elementy. Jest to przede wszystkim powszechność obowiązywania norm. Nakazy, które stają się treścią życia społecznego jednostek, muszą obowiązywać wszystkich. Wszelkie nie-domagania pod tym względem są osłabieniem kolektywu i tem się tłumaczy bezwzględność silnych kolektywów w przestrzeganiu zasady posłuszeństwa. Przykłady tego możemy obserwować np. w historii kościoła, w jego bezwzględnym stosunku do tych, co świadomie stawiają się poza granicami obowiązku, czy też poza prawowiernością. Drugim elementem jest siła więzi łączącej, więc siła poczucia przynależności u uczestników, jak również siła reakcji zbiorowej przeciw przekroczeniom norm. Jeśli chodzi tu o prawo, to wymiar sprawiedliwości jest miernikiem siły państwa; jeśli chodzi o węzły opinii, to miarą siły kolektywu jest zgodność tej opinii w potępieniu czy aprobachie. Trzecim elementem jest stosunek jednostki do norm wszelkiego rodzaju, narzuconych przez kolektyw. Chodzi tu o stopień przestrzegania tych norm, niezależnie od świadomości ich obowiązywania. Jednostka, nie podejmując nawet walki z kolektywem, bardzo często wyłamuje się z konkretnych norm, względnie nie posiada świadomości ich istnienia. Jeżeli chodzi o prawo karne, mówimy o stopniu zbrodniczości, wyrażającym się w cyfrach statystycznych. To samo istnieje przy wszystkich normach i siła kolektywu zależna jest od stopnia karności wobec jego nakazu.

Jeśli rozpatrujemy etyczną i obyczajową sferę życia jednostki, widzimy, że dominują w niej wpływy kolektywu. Z jednej strony — cała niemal dziedzina jej stosunków do innych jednostek uregulowana jest normami kolektywu, z drugiej strony — cała jej aktywność w dziedzinie społecznej jest oddana na usługi kolektywu. Mamy więc zjawisko skrępowania, a równocześnie zjawisko krzyżowania się wpływów. Skrępowanie sięga bardzo daleko, — odbiera jednostce wogóle samodzielność działania w wielu dziedzinach życia, pozostawiając jej szczupły dość wybór w granicach norm obowiązujących. Nietylko jednak sfera działania, ale nawet procesy myślenia i odczuwania są uwarunkowane wpływem kolektywu. Jednostka jako uczestnik kolektywu jest częścią opinii, która kontroluje i osądza działanie innych, i w ten sposób tworzy się zamknięty krąg wpływów z tendencją do zeszytnienia, w którym jednostka jest równocześnie sędzią i podsądnym — żyje według norm, których wykonania przestrzega. W tem mieści się też źródło konserwatyzmu każdego kolektywu. Elementem ruchu jest przede wszystkim przynależność jednostek do różnych kolektywów, względnie do doraźnych zbiorowości. Ta przynależność musi wywoływać ciągle, nieraz nieświadome, konflikty.

Jednostka, stojąc wobec kolizji obowiązków, szuka bądź sposobu szarmonizowania ich, bądź też możliwości wyłamania się; oczywiście, prowadzić to będzie do naruszenia równowagi w obrębie danych kolektywów. Dzieje się tak nie tylko tam, gdzie dane kolektywy się krzyżują, ale także tam, gdzie zachodzi stosunek podrzędności, to znaczy gdy w obrębie kolektywu o szerszym zakresie tworzą się kolektywy o zakresie węższym.

Naturalnym skutkiem tego, że kolektyw jest formą obejmującą dominujące kompleksy dążeń jednostek, — że możnaby go nazwać formą realizacji zbiorowych celów idealnych — jest to, że jest on tym terenem, na którym ścierają się sprzeczne interesy i sprzeczne idee. W dziedzinie walki o interesy w każdej grupie czy jednostce naturalne jest dążenie, aby postulaty jej stały się normą obowiązującą i aby przez wpływ kolektywu zapewnić sobie maximum korzyści.

Szczególnie jednak silne znaczenie ma walka idei. Prawdy, poczęte przez jednostki twórcze, szukają swej realizacji, swej legalizacji przez kolektyw. Wielkie prądy ideowe, przechodzące przez społeczeństwo, powodują bądź tworzenie nowych kolektywów, bądź też, docierając do elity istniejących kolektywów, znajdują swą realizację w opanowaniu ich — stają się normami powszechnymi, stwarzającymi nową rzeczywistość.

Specyficzny charakter kolektywu przedstawia państwo. Pod wieloma względami przedstawia ono typowe cechy kolektywu. Jeśli chodzi o pewne zagadnienie, leżące na granicy problemu, gdzie występuje wątpliwość, jak zaklasyfikować dane zjawisko — to przy państwie tych spornych kwestyj mamy najmniej. Poszczególne elementy są wyraźnie sprecyzowane i przedstawiają pewną stałość. Przedewszystkiem — państwo jest kolektywem o zupełnie wyraźnie określonej sferze uczestników; powtóre — jest ono może jedynym dziś kolektywem, którego cechą główną jest ściśle określenie terytorjum, a zatem jest ono związane z ziemią, to jest z elementem ograniczonym. Istnienie państwa wyklucza na danym terytorjum istnienie drugiego. Mamy więc w samej istocie państwa ujęcie jednostki nie jako takiej, lecz w związku z jej osiadłością.

Państwo jest tym kolektywem, którego normy obowiązują pod przymusem fizycznym. Jest jedyną (względnie *naczelną*) organizacją przymusowego współżycia. Możnaby powiedzieć, że jest nią *ex definitione* — ma wykształcone organy ujawniania woli i wykonywania przymusu. Państwo jest kolektywem, opartym głównie (a nieraz wyłącznie) na faktach — to znaczy że niezależnie od więzów duchowych, fakt władzy państwowej jest tak dominujący, że w obrębie danego skupienia ludzkiego tworzy kolektyw.

Trzeba sobie bardzo silnie uświadomić, że państwo jest kolektywem — jakakolwiek jest jego organizacja i jakiegokolwiek jest poczucie przynależno-

ści u uczestników. Jest zarazem kolektywem nadrzędnym dla wszystkich kolektywów, opartych na przymusie. Przy państwie możemy specjalnie obserwować doniosłość faktów dla istnienia kolektywu. Wpływ ten jest tak silny, że nawet po rozbiciu państwa żyją przez dłuższy czas odczucia przynależności do państwa — nieistniejącego.

Siła państwa jako kolektywu leży w tem, że jest ono główną formą zorganizowanego życia zbiorowego. Wywodzi się z naturalnych elementów rodu i osiadłości, na których od najwcześniejszej epoki życia ludzkiego wytworzyły się formy współżycia, opartego na władaniu i na przymusie; formy te stały się formą powszechną dla organizacji społeczeństwa, dla całej budowy kultury nowoczesnej. To historyczne pochodzenie państwa spowodowało, że stało się ono formą, której istnienie nie podlega dyskusji, że staje się ono coraz bardziej dominującą formą życia społecznego. Państwo jest formą walki i obrony bytu. Równocześnie jest formą główną przewodnictwa i władzy. Przez siłę swego istnienia tworzy elementy faktyczne innych kolektywów, jest dla nich poniekąd główną ramą. Gęstą sieć węzłów moralnych, łączących jednostki przez różnorakie kolektywy, wiąże z grupą norm przymusowych, które są równocześnie normami opinii, z normami etycznymi dla szeregu zbiorowości. Ta wzajemność działania węzłów moralnych i norm przymusowych tworzy tak silne kompleksy, że powstają kolektywy pokrywające się poniekąd z państwem, a różne od niego — jak, przedewszystkiem, naród. Te kolektywy będą się różnić przedewszystkiem swymi elitami. Stopień spoistości społecznej państwa leżeć będzie w jedności elity państwowej i elity tych zbiorowisk czy kolektywów, które oparte są przedewszystkiem o siły moralne.

Ewolucja wzajemnego stosunku państwa i innych kolektywów wykazuje w ostatnich historycznych procesach słabnięcie czy zamieranie kolektywów drobnych. Czy ożywienie tego ustroju minionego jest możliwe, jakby chcieli zwolennicy ustroju korporacyjnego — nie chcę tu przesądzać; faktyczny stan jednak nie wskazuje na ewolucję w tym kierunku. To zamieranie kolektywów drobnych zwiększa równość obywateli i to stwarza fakty, działające w kierunku zbliżenia państwa i społeczeństwa. Równocześnie szerzący się uniwersalizm sprawia, że jednostka nie daje się zamknąć w ciasnym kręgu partykularnych pojęć i idei, dąży do ogarnięcia całokształtu życia — do form, odpowiadających temu uniwersalizmowi. Te same tendencje wypływają ze współczesnego rozwoju techniki i gospodarki; niesłychanie skomplikowane życie zmierza do wysunięcia na plan pierwszy organizacji nadrzędnych. Fakty o znaczeniu powszechnem i środki do propagandy

idej mają także charakter powszechny, tak że i z tych powodów to, co ma wpływ decydujący na tworzenie kolektywu — idea, uczucie, ma możliwość rozprzestrzenienia się niemal bez granic. Te wszystkie elementy (zresztą niezupełne) sprawiają, że dominującym kolektywem staje się dzisiaj państwo — przede wszystkim przez możliwość kształtowania faktów.

Stoimy wobec dokonywującej się przebudowy całego życia społecznego. Trudno dziś mówić o perspektywach dalekiej przyszłości, których opanować ani nawet przewidzieć nie jesteśmy w stanie. Najbliższa przyszłość jednak zmierza ku jedności państwa i społeczeństwa. Rozwój ten niesie za sobą szereg konieczności w ułożeniu się stosunku jednostki do państwa. Jeśli dziś główna ilość norm państwowych ma charakter przymusowy, to stopniowo państwo jako kolektyw będzie musiało oprzeć się na węzłach moralnych, czyli dość znaczna sfera więzów, będących pod kontrolą opinii, musi się wytworzyć, względnie państwo jako kolektyw musi przejąć znaczną część tych nakazów i wziąć je pod swoją opiekę. Ten proces uspołecznienia państwa będzie miał za skutek pewne uporządkowanie różnorodnych grup norm kolektywów mniejszych i życia ich w jeden system obowiązków wobec państwa. Ten sam proces, który w dziedzinie prawa szedł od grup zorganizowanych, miast, stanów, terytoriów do organizmu państwowego, a dziś państwo suwerennie rozgranicza prawnie te różne twory jako elementy swego działania, — ten sam proces musi się dziś odbyć w dziedzinie norm moralnych, które łączyć się będą jako normy ogólne i będą podlegać regulowaniu i represji nie tylko przez władzę państwową, ale i przez opinię ogółu. Ta opinia państwa i społeczeństwa musi się stać regulatorem życia jednostki i grup partykularnych. Równocześnie z tem musi się odbywać stopniowe przechodzenie norm przymusowych w normy moralne — zmniejszenie sfery przymusu fizycznego ze wzrostem przymusu opinii. Obowiązek obywatelski musi się stać częścią życia moralnego jednostki.

Ostateczne zrealizowanie tej idealnej jedności widzę na linii przemiany przez wychowanie młodzieży i społeczeństwa, na linii przemiany jaknajwiększej ilości więzów świadomych na węzły działające mechanicznie, na instynkt państwowy i społeczny. Innemi słowy: chodzi o *kształtowanie charakteru*, o stworzenie maksymalnej sumy wspólnych prawd, któreby, stając się ogólną własnością, tworzyły u jednostki pewną sumę instynktów i dyspozycji uczuciowych, dających jej zdolność bytowania w silnie zorganizowanej społeczności.

Jest jeszcze jedno zagadnienie: ta ewolucja grozi dojściem do stanu absolutnej równowagi, o którym wspominaliśmy wyżej — do stanu, gdzie w zam-

kniętym kręgu między jednostką jako przedmiotem a równocześnie podmiotem braknie miejsca na jakąkolwiek zmianę, na ruch. Stan ten możliwy jest tylko przy silnem wzmożeniu grupy norm, które nazwałem dobrowolnemi, które określają dobrowolną i świadomą aktywność jednostek wobec kolektywu. Zdolność do wysiłków bezinteresownych i do ofiar, nie nakazanych przez panującą moralność, musi być podstawą takiego ustroju. Ale rozważenie tego problemu wkraczałoby już w zakres specjalnego studjum o elicie społecznej.

CZESŁAW BOBROWSKI

KONIEC PIATILETKI

Zredukowana do lat czterech, pierwsza piatiletka przeszła pod znakiem stałego wzmagania się dążeń industrializacyjnych i pod znakiem „podwojenia stawki“ w postaci wysunięcia drugiego, równorzędnego celu: kolektywizacji rolnictwa. Omówiłem poprzednio źródła, motywy, a częściowo i metody dążenia do tych celów *). Kolej obecnie na omówienie *rezultatów* podjętych wysiłków, na omówienie ich skutków, ściślej: *niektórych* skutków, gdyż chodzić mi będzie głównie o zobrazowanie trudności, jakie się ujawniły w związku z polityką gospodarczą Sowietów w ciągu pierwszej piatiletki.

Najjaskrawiej, najszerzej i najwcześniej trudności te ujawniły się na terenie rolnictwa; częściowo były one zresztą kontynuacją załamania, jakie wystąpiło już przed piatiletką, częściowo zaś związane były z samą kolektywizacją. Jeśli chodzi o tę ostatnią, to rozróżnić musimy rezultaty *kolektywizowania*, t. zn. procesu przemiany gospodarstw indywidualnych na zbiorowe, od rezultatów *skolektywizowania*, t. zn. gospodarowania w nowej formie organizacyjnej. Jednym z elementów akcji kolektywizacyjnej było i być musiało zaatakowanie kułaka, wywłaszczenie największych gospodarstw na rzecz kolektywów. W latach od 1929 aż do 1933 proces ten przybiera niekiedy formy wręcz dramatyczne. Dziesiątki tysięcy rodzin bogatych chłopów tracą podstawy egzystencji. Lwia część zostaje przymusowo przesiedlona czy to do obszarów niezagospodarowanych (względnie mało zagospodarowanych), czy to na roboty leśne na dalekiej północy. Tylko małej części udaje się „urządzić“ w taki czy inny sposób. Ci, którym się to nie udaje, a którzy uniknęli przesiedlenia, zasilają swoistą wędrowkę ludów, jaka w tych latach odbyła się na terenach ZSRR. Jakkolwiek wielka byłaby nędza i niedola wywłaszczonych, z ogólnego punktu widzenia ważniejsze jest

*) D r o g a, Nr. 10, 1933 i Nr. 3, 1934.

to, że owi kułacy (do których rzędu zaliczano zresztą nieraz bynajmniej nie wzbogaconych chłopów) stanowili w życiu wiejskim element przodujący, element przy całym swym zacofaniu stosunkowo kulturalny, a w każdym razie — najlepiej panujący nad (prymitywną co prawda) techniką produkcji. Kolektywizacja, jako proces dynamiczny, jednoznaczna była w tej płaszczyźnie z osłabieniem produktywności gospodarstw wiejskich. W tym samym kierunku działał inny jeszcze moment: skolektywizowania ziemi chłop uniknąć nie mógł; ale mógł uchronić od kolektywizacji inwentarz hodowlany. W jaki sposób? W sposób najprostszy: przez skonsumowanie lub sprzedaż na rynek bydła i trzody chlewnej przed przystąpieniem do kolektywu. Ze zrozumiałych zupełnie przyczyn zjawisko to przybrało charakter masowy, nawet w drobniejszych gospodarstwach wiejskich. W rezultacie postępom kolektywizacji towarzyszyło równoległe zmniejszanie się pogłowia bydła, koni, trzody chlewnej, drobiu i t. d. Dopiero w roku 1933, i to jedynie na odcinku nierogacizny, proces kurczenia się hodowli został zahamowany; na wszystkich pozostałych trwa do tej pory, nie bez udziału innych także przyczyn. Te przyczyny, oddziałujące zresztą nie tylko na gospodarkę hodowlaną, lecz i na polową, dają się określić ogólnie jako choroby wieku dziecięcego kołchozów. Stwierdzić należy, że choroby te były liczne i bolesne — tem liczniejsze i tem dotkliwsze, im mniej jasna i sprecyzowana była koncepcja organizacyjna kołchozów, o czym wspomniałem w artykule poprzednim. Wahania co do zakresu uspołecznienia środków produkcji przy tworzeniu kołchozów, nieprzygotowanie odpowiednich kadr kierowniczych, niedostateczne zrealizowanie nadziei poszczególnych kołchozów na otrzymanie czy to pomocy siewnej, czy maszyn, i t. d. i t. d. — wszystko to, w połączeniu z zawrotnym tempem kolektywizacji, sprawiło, iż straty z tytułu akcji kolektywizacyjnej były bardzo znaczne. Tak głęboko sięgająca reforma nie mogła obejść się bez ofiar. Ale chaos, w jakim reformę tę przeprowadzano, zwiększył ofiary — znacznie ponad nieuchronne *minimum*.

Znacznie trudniej byłoby ocenić dalsze rezultaty kolektywizacji. Ma terjały cyfrowe nie dają tu żadnej podstawy do wnioskowania. Nie można np. porównywać cyfr wydajności z hektara w kołchozach z taką wydajnością w gospodarstwach indywidualnych, gdyż te ostatnie pozostały na ogół w najgorszych warunkach, zarówno glebowych jak i klimatycznych. Przy przemożnym w rolnictwie wpływie warunków atmosferycznych nie można też wyprowadzać wniosków z różnicy wydajności z hektara przed i po kolektywizacji. W sposób ogólny stwierdzić można, że niewątpliwie zniszczenie gospodarki indywidualnej, osłabienie osobistego zainteresowania w efekcie gospodarczym, stanowi minus, czy raczej *niebezpieczeństwo* kolektywizacji;

że system organizacyjny kolektywów prowadzi do przerostu biurokracji, do marnotrawienia sił i zasobów; że kolektywizacja, początkowo przynajmniej, wpłynęła na obniżenie kultury rolnej. Strat tych jednak, przynajmniej w stosunku do gospodarki polowej, nie należałoby przeceniać, wzięwszy pod uwagę poziom wsi rosyjskiej z okresu przed kolektywizacją. Tradycjonalistyczna i prymitywna gospodarka chłopska nie reprezentowała tak wielkiego kapitału inicjatywy i kultury rolnej, ażeby w drodze stosownej polityki nie można było skompensować odnośnych strat. Już dotychczas kolektywizacja dała wsi zwiększenie zużycia maszyn, a w nieco mniejszym stopniu — nawozów sztucznych, oraz, jak się zdaje, raczej szeroki, niż głęboko sięgający rozwój akcji instruktorskiej. Nie skompensowało to narazie osłabienia produktywności wsi, wynikającego z omówionych poprzednio i innych przyczyn; w przyszłości może jednak okupić straty nawet z nawiązką. Gorzej znacznie jest z hodowlą. Pańskie oko tuczy nie tylko konia, ale i każde inne zwierzę domowe. Bezosobowa gospodarka kołchozu nie sprzyja, jak się zdaje, rozwojowi hodowli — zwłaszcza w tych działach, które, jak hodowla nierogacizny, oparte są na *sui generis* symbiozie zwierzęcia z człowiekiem. Nie przesądzając, jaką wagę należy przypisywać czynnikom przejściowym, a jaką trwałym — można jednak stwierdzić, że ujemne efekty kolektywizacji w hodowli mają charakter nie tylko głębszy, ale i trwalszy, niż w gospodarce polowej, mimo iż część inwentarza, koniec końców, pozostała własnością indywidualną.

Przez cały czas trwania pierwszej piatiletki sytuacja w rolnictwie ulegała stałemu, bardzo daleko idącemu pogorszeniu. W produkcji zbóż nieco pomyślniejszy wskaźnik roku 1930 wydaje się raczej rezultatem pomyślnych warunków atmosferycznych. Przeciętna zbiorów całego okresu utrzymuje się na niższym poziomie, niż w latach poprzedzających piatiletkę — z tem jeszcze uzupełnieniem, że geograficzny rozkład zbiorów jest mniej korzystny (przesunięcie ku północy) i że cyfry statystyczne (wszędzie i zawsze bardzo wątpliwe, jeżeli chodzi o szacunek zbiorów) zdają się niedostatecznie odzwierciedlać rzeczywiste pogorszenie produktywności rolnictwa.

Nie mówiąc nawet o artykułach hodowlanych, które po masowej rzezi bydła w pierwszym roku kolektywizacji niemal zupełnie zniknęły z rynków miejskich, aprowizacja miast w dziedzinie produktów roślinnych (pomijając drobniejsze wahania, związane z eksportem bądź importem pewnych ilości zbóż) utrzymuje się stale na niskim, choć w latach ostatnich już nie katastrofalnym poziomie. Jeszcze gorzej jest z aprowizacją wsi, która na przednówku roku 1932 i 1933 głoduje w najpełniejszym i najściślejsem tego słowa znaczeniu. Z tych względów, oraz ze względu na szereg wskaźników pośrednich, jak np. załamanie eksportu, ma się pełne prawo przypu-

szczać, że zgodnie z obserwacjami naoczными, spadek produkcji zbożowej był większy, niżby to wynikało z materiałów statystycznych.

Ale, z drugiej strony, nie należy zapominać, że zjawiska upadku rolnictwa nie można wiązać wyłącznie z kolektywizacją i że, *vice-versa*, oceny kolektywizacji nie można budować na skonstatowaniu obniżenia się wytwórczości rolnej. Przez cały przecież okres pierwszej piątilетки działało i działa do tej pory skrajne rozwarcie nożyc cen przemysłowych i rolnych, odbierające wszelką rentowność gospodarce rolnej w ZSRR. Bez kolektywizacji albo produkcja musiałaby się dalej jeszcze załamać, skurczyć do potrzeb samej wsi, albo też polityka cen musiałaby zostać poddana rewizji. Przy danej polityce cen kolektywizacja była jedną z przyczyn, działających w kierunku spadku produkcji, i równocześnie naczelnym środkiem, hamującym ten spadek.

Proces degradacji rolnictwa nie wystąpił na terenie ZSRR równomiernie i jednolicie; jego nasilenie w poszczególnych okręgach zależało od szeregu czynników. Przedewszystkiem — nie wszędzie jednakowo przeprowadzano kolektywizację, np. w niektórych okolicach przymus odegrał rolę decydującą, w innych zaś zupełnie drugorzędną. W jednych okolicach łączono odrazu z kolektywizacją znaczną część inwentarza, w innych — dokonano tego później, albo nawet zbyt późno. Różnice w położeniu poszczególnych okręgów pogłębiły się jeszcze przez to, że w ramach nowej organizacji produkcji rolnej i zmian, dokonanych w systemie obrotu płodami rolnymi, losy wsi uzależnione zostały w znacznie większym stopniu niż dotychczas od działalności centralistycznego aparatu państwowego. I tak np. z chwilą zmniejszenia ilości koni doniosłym problemem dla każdej wsi, dla każdego kołchozu stała się kwestja ilości traktorów, przydzielanych czy to danemu kołchozowi, czy stacji maszyno-traktorowej, obsługującej ten kołchoz. Podobnie w dziedzinie zbytu: z chwilą, gdy kolektywizacja umożliwiła postawienie na realnym gruncie państwowego skupu zboża, z chwilą, gdy dostarczenie zboża państwowym organizacjom skupu uzyskało priorytet przed pokryciem własnych potrzeb (konsumcyjnych i siewnych) wsi — zaspokojenie tych potrzeb stało się zależne nietyle od ilości wyprodukowanego zboża, ile od stosunkowej wysokości normy, wyznaczonej zgóry na cele państwowego skupu.

W gospodarce rynkowej wytwarza się zazwyczaj jeśli nie zupełna jednolitość warunków pracy i egzystencji dla poszczególnych warsztatów wytwórczych, to w każdym razie pewne częściowe wyrównanie. W gospodarce, zorganizowanej na modłę sowiecką, ujawniają się zazwyczaj bardzo jaskrawe różnice pomiędzy poszczególnymi odcinkami, których sytuacja

kształtuje się niejako autonomicznie, niezależnie od rozwoju innych odcinków, natomiast pod przemożnym wpływem dyspozycji centrali. Te ostatnie, mimo iż wynikają z jednakowego założenia, w praktyce muszą prowadzić do zaostrenia różnic dopóty, dopóki planowanie gospodarcze dysponuje tylko ułomnym materiałem obserwacyjnym. Niejednorodność, a nawet przypadkowość w położeniu wsi rosyjskiej zaostrzona została jeszcze z chwilą, kiedy na tle kryzysu aprowizacyjnego rozwinął się potajemny handel, znany z czasów wojennego komunizmu, i kiedy następnie dopuszczona została sprzedaż nadwyżek produkcji, pozostających w gospodarstwach wiejskich po wykonaniu dostaw dla państwa, na specjalnych bazarach. Możliwości korzystania z jednego i drugiego uzależnione były zarówno od posiadania nadwyżek, jak i od bliskości i pojemności miejskich rynków zbytu, nie mówiąc już o czynnikach zupełnie przypadkowych. Miernikiem różnic sytuacji poszczególnych okręgów wiejskich może być rozpiętość cen na produkty rolne w handlu prywatnym w różnych miejscowościach ZSRR. Przykładowo zacytuje, iż w roku 1932 w Kijowie ceny mąki w handlu prywatnym były pięciokrotnie wyższe niż w Batumie. Również niejednorodna musiałaby być niewątpliwie ocena sytuacji z punktu widzenia poszczególnych odłamów ludności wiejskiej. Dlatego też, pomimo najbardziej krańcowych wypadków nędzy i głodu na wsi (Ukraina prawobrzeżna), trudno byłoby twierdzić, że cała wieś rosyjska w równym stopniu ucierpiała w okresie kolektywizacji. Przy całej ostrożności można jednak powiedzieć, że pierwsza piątiletka była dla ludności wiejskiej, prawie bez wyjątku, okresem ciężkich i bolesnych doświadczeń i ofiar.

Jednak pod kątem widzenia całokształtu polityki sowieckiej punkt ciężkości zagadnienia nie leży w tej sprawie. W okresie pierwszej piątiletki interesy wsi są z całą świadomością podporządkowywane celowi uprzemysłowienia kraju. Zresztą — gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą: budowanie nowego, kolektywnego ustroju wsi usprawiedliwia, zarówno w oczach czynników rządzących jak i w oczach znacznego odłamu masy partyjnej, nawet najdalej idące ofiary ze strony ludności wiejskiej. Ci, którzy wykazywali większą na tym punkcie wrażliwość, jak Rykow czy Syrcow i cała prawicowa opozycja, nie mają już nic do mówienia. Z ogólnego punktu widzenia ważniejsze są reperkusje załamania się produkcji wiejskiej na życiu gospodarczym miasta. Te reperkusje — to wspomniany już kilkakrotnie kryzys aprowizacyjny i brak surowców przemysłowych pochodzenia rolniczego.

Pierwszym efektem kryzysu aprowizacyjnego jest zniżka płac realnych. Robotnik jest wprawdzie od pierwszego roku piątiletki zaopatrywany, w drodze systemu kartkowego, zasadniczo we wszystkie prawie produkty spożywcze. Ale normy kartkowe są natyle niewystarczające, że konieczno-

ścią staje się dokupywanie w handlu prywatnym, potajemnym. W krótkim czasie ceny w tym handlu osiągają poziom kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy wyższy od cen w handlu państwowym. Uzupełnianie skąpych norm aprowizacji państwowej przez zakupy w handlu prywatnym staje się rujnujące, niekiedy wręcz niemożliwe. Kontrakcja, jaką podejmuje państwo w postaci coraz nowych prób przebudowywania systemu aprowizacyjnego (tworzenie specjalnych sklepów dla określonych, zamkniętych grup odbiorców, tworzenie stołówek i fabryk-kuchni, organizowanie w niektórych wypadkach przez fabryki na własną rękę wytwórczości niektórych produktów rolnych), jest jawnie niewspółmierna z potrzebami, a w najlepszym razie zapewnia względną poprawę warunków tylko niektórym kategorjom pracowniczym. Odstąpienie od gospodarki rynkowej i w tej płaszczyźnie prowadzi do wytworzenia się nierównomierności. „Nierówność“ aprowizacyjna w małym tylko stopniu oparta jest o poziom płacy nominalnej. O wiele większe znaczenie ma sprawność organizacyjna aparatu, obsługującego daną grupę konsumentów, a jeszcze większe — zaliczenie jednostki do tej lub innej grupy. Z chwilą bowiem, kiedy staje się niemożliwe pełne zaspokojenie potrzeb wszystkich, następuje zróżniczkowanie w stosunku do poszczególnych kategorji — zróżniczkowanie, zapewniające większe uprzywilejowanie *niektórym* kategorjom robotniczym i urzędniczym, *niektórym* ośrodkom przemysłowym, *niektórym* gałęziom produkcji. Ale i tym, którym jest najlepiej, jest ciężko. Ciężkie jest przede wszystkim samo niedojadanie, ciężki jest wysiłek, połączony ze zdobywaniem produktów (ogonki) — wysiłek tem większy, im bardziej nieudolny i niedostateczny jest państwowy aparat aprowizacyjny.

Złe odżywianie i zaabsorbowanie kwestją zdobycia pożywienia nie mogło nie pozostać bez śladów na sprawności pracy. Jest to pierwsza forma dezorganizujących reperkusyj kryzysu rolnego na przemysł. Druga — to płynność personelu robotniczego i niemożność ściągnięcia robotników do ważnych ośrodków o gorzej zorganizowanej aprowizacji, jak np. zagłębie donieckie. O trzeciej wspomniałem już wyżej, mówiąc o braku surowców rolniczych. W tej dziedzinie trudności dochodzą do takiego zaostření, że w niektórych gałęziach przemysłu fabryki stają z braku surowca. Czwarta wreszcie konsekwencja uwydatnia się poprzez załamanie eksportu rolniczego. Ażeby sprostać zaciągniętym zobowiązaniom zagranicznym, które wobec kryzysu produkcji rolniczej nie mogą być płacone w drodze wywozu płodów rolnych, Rosja zmuszona jest wywozić szereg artykułów przemysłowych, których także bynajmniej nie posiada w nadmiarze. Obserwowany w okresie pierwszej piątiletki wzrost wywozu towarów przemysłowych, takich jak tkaniny, jest niczem więcej, jak ceną płaconą za załamanie pro-

dukcji rolniczej. W ostatecznym rezultacie głód towarowy zostaje jeszcze bardziej zaostrzony.

Równolegle z tem działa w przemyśle szereg czynników wewnętrznych, również ujemnie oddziałujących na jego pracę. Źródłem tych trudności, jakie w czasie pierwszej piatiletki ujawniają się z coraz większą z roku na rok siłą, jest właśnie... olbrzymi wysiłek w kierunku rozbudowy przemysłu. Ilość pracowników najemnych, robotników i urzędników wynosiła w roku 1928, a więc u progu piatiletki, 11 i pół miliona; z końcem piatiletki, w roku 1932 — przeszło 22 milj., a więc powiększyła się dwukrotnie. Oczywiście, *gros* przyrostu przypada na robotników przemysłowych, rekrutujących się z pośród nowych przybyszów ze wsi. Ten element, pomimo wszystkich wysiłków nad podniesieniem jego kwalifikacyj fachowych, nietylko nie umie pracować wydajnie, ale nawet stanowi nieraz obciążenie dla zakładu wytwórczego, w którym pracuje. Oczywiście, wypadki niszczenia maszyn przez niewykwalifikowane ręce należą do krańcowych, ale zjawisko nieudolnego obchodzenia się z maszynami, przedwczesnego ich zużywania, lub niedostatecznego wykorzystywania ma charakter powszechny. Zresztą, nie tylko nowym przybyszom, nietylko młodemu personelowi inżynierskiemu, składającemu się z elementu o większym zapale niż doświadczeniu, trudno czasem pracować w ramach nowoczesnej produkcji; ultra-nowoczesne instalacje, na modłę najlepiej urządzonych zakładów przemysłowych Europy i Ameryki, okazują się niekiedy zgubą dla fabryki. Znane są fabryki w ZSRR, w których nie można przez całe miesiące, a niekiedy i całe lata korzystać z conveyor'ów. Robotnik w pierwszym pokoleniu nie wytrzymuje tempa, ustalonego dla prostej w zasadzie manipulacji. Praca technicznie nietrudna okazuje się niejednokrotnie psychicznie zbyt trudna. Znane są również wypadki, kiedy zastąpienie prostego mechanizmu bardziej skomplikowanym prowadziło do wykonywania danej czynności ręcznie. Wszystko to wynika stąd, że rozbudowa fabryk postępowała w tempie szybszem, aniżeli kształcenie elementu robotniczego i personelu technicznego.

Drugim źródłem trudności w przemyśle są nadmiernie wysokie zadania planowe. Dla wykonania ich fabryki muszą uciekać się niejednokrotnie do obciążania maszyn powyżej ich teoretycznej wytrzymałości i wydajności, muszą zaniedbywać remont dopóty, dopóki tylko maszyna pracować może, muszą produkować z takiego surowca, jaki jest pod ręką — chociażby nie nadawał się on do danego celu.

Rezultat — amortyzacja kapitału rzeczowego w niesłychanie szybkim tempie i olbrzymie marnotrawstwo zasobów materialnych. Naskutek wspomnianego wyżej produkowania z nieodpowiedniego surowca (nie musi to być surowiec wadliwy, a tylko nie nadający się do danego celu) pogarsza

się, z jednej strony, jakość wyrobów, z drugiej zaś — wytwórczość ostatecznego, gotowego produktu zmniejsza się w porównaniu do zużytego nakładu gospodarczego. I tak np. waga wyrobów przemysłu metalowego przetwórczego w stosunku do zużytego dla ich wyrobu żelaza wynosi w Rosji 40%, podczas gdy w Niemczech — dzięki temu, iż żelazo, dostarczane zakładom przetwórczym, lepiej odpowiada warunkom technicznym — odnośna cyfra sięga do 77%. Kwintesencją niejako sowieckiego systemu pracy w fabrykach była osławiona nieprerwyka. Niewątpliwie w pewnym procencie pozwoliła ona na zwiększenie wytwórczości, ale gdyby można było ustalić procentowy wzrost niszczenia maszyn, to ten procent okazałby się znacznie wyższy.

Przy kolosalnem tempie rozbudowy produkcji przemysłowej — z jednej, a niedostatecznie wyrobionym aparacie organizacyjnym — z drugiej strony, ilość nieuchronnych zawsze błędów wzrasta bodajże w postępie geometrycznym, w miarę coraz zawrotniejszego tempa industrializacji. System gospodarki bez rezerw sprawia, że konsekwencje każdego popełnionego błędu są szczególnie dotkliwe. Nie sądzę, byśmy mieli tu do czynienia z jakąś organiczną wadą, ciążącą na upaństwowionym przemyśle sowieckim. Uważam, że motywowanie trudności, jakie przemysł sowiecki napotyka w swej pracy, socjalizacją tego przemysłu, jest twierdzeniem dowolnem, opartem nie o rzeczowe argumenty, lecz o „przekonania“. I w Rosji i poza Rosją wymienić można cały szereg przedsiębiorstw państwowych, pracujących zupełnie sprawnie. Zresztą w dobie spółek akcyjnych i karteli różnica pomiędzy przemysłem państwowym a wielkim anonimowym przemysłem niepaństwowym jest organizacyjnie znikoma. To też źródło niepowodzeń sowieckiego przemysłu leży bynajmniej nie w samej zasadzie upaństwowienia, lecz w wyżej wspomnianem nadmiernem tempie rozbudowy. Wyobraźmy sobie np. częsty w życiu sowieckim wypadek, kiedy fabryce dostarczono 95% środków wytwórczych, niezbędnych dla danego procesu produkcyjnego, a nie dostarczono zaledwie 5% — z tem jednak, że w tych 5% zawiera się jakaś maszyna, czy materiał pomocniczy, niezbędny dla danego procesu. W warunkach głodu towarowego i walki pomiędzy przedsiębiorstwami przemysłowemi o każdą tonnę surowca, a każde narzędzie wytwórcze, w warunkach rozdętego planu wytwórczego trzeba nieraz całemi miesiącami oczekiwać na te brakujące 5%, a przez ten czas dobrze poza tem wyposażona fabryka może być nawet unieruchomiona. Zwycięstwa na froncie rozbudowy wytwórczości przemysłowej mają pod tym względem często charakter zwycięstw pyrrusowych.

Cały okres pierwszej piatiletki był widownią osobliwego wyścigu. Z jednej strony — wzmagало się tempo wytwórczości, z drugiej — rok rocz-

nie jeszcze szybciej powiększano rozmiary ruchu inwestycyjnego. Produkowano więcej, ale zapotrzebowanie na cele inwestycyjne wzrastało w jeszcze szybszym stopniu. Coś podobnego miało miejsce nie tylko w bezpośrednim związku z procesem inwestycyjnym. I tak np. przeprowadzenie kolektywizacji, zwiększając odpowiedzialność państwa za losy produkcji rolniczej, zmusiło do gwałtownego stworzenia nowych działów produkcji przemysłowej, przede wszystkim w dziedzinie maszyn rolniczych. W miarę zwiększania się liczby pracowników najemnych, państwo staje wobec konieczności brania na siebie zaspokajania coraz nowych potrzeb — potrzeb, o które poprzednio nie potrzebowało się troszczyć. Przykład: t. zw. fabryki-kuchnie, niezbędne z chwilą rozpowszechnienia się pracy kobiet w fabrykach. Inny przykład wywoływania potrzeby nowych inwestycji przez dokonywanie jednych wiąże się z głodem mieszkaniowym wszędzie tam, gdzie powstają nowe ośrodki przemysłowe. Dodajmy przytem, że w lokalizacji nowego przemysłu ZSRR stara się przełamać dotychczasowy układ rzeczy. Uzyskać inną geografję przemysłu rosyjskiego. Wtedy, kiedy zakłady fabryczne powstają w nędznych miasteczkach, albo wręcz na pustkowiu — trzeba budować nie tylko fabryki: trzeba budować domy mieszkalne, zakłady użyteczności publicznej, i t. d., i t. d. Im bardziej dla zwiększenia wytwórczości forsuje się inwestycje, tem bardziej wzrasta zapotrzebowanie na cele inwestycyjne. Głód towarowy zaostrza się tem więcej, że przeważnie budowane są wielkie zakłady przemysłowe, o ultra-nowoczesnych instalacjach, zakłady, które przy całym pośpiechu w ich budowie, nawet według planu, wstępować mają w okres eksploatacyjny dopiero po pewnym czasie; w praktyce moment ten ulega nadzwyczaj często opóźnieniu. W rezultacie kwestja zdobycia surowca czy półfabrykatu staje się jednym z najtrudniejszych zadań; fabryki zmuszone są stwarzać w tym celu cały specjalny aparat urzędniczy, posyłając na fabryki dostarczające surowca specjalnych delegatów, których zadaniem jest dopilnowanie dostaw (ich rosyjska nazwa używana potocznie brzmi w tłumaczeniu polskim: popychacz).

Bardzo szeroko, prawie że powszechnie, ujawnia się zjawisko pogorszenia jakości wyrobów przemysłowych. W zakresie artykułów konsumpcyjnych sprowadza to na marne znaczną część wysiłku przemysłu sowieckiego — nie zapewniając złagodzenia głodu towarowego, pomimo zwiększenia wytwórczości. Jeżeli bowiem wyobrazimy sobie wypadek, kiedy wytwórczość pewnego artykułu wzrosła dwukrotnie, ale jego trwałość w związku z pogorszeniem się jakości zmniejszyła się dwukrotnie — to z punktu widzenia nasycenia rynku zmiana równać się będzie zeru. A takich przykładów możnaby znaleźć sporo. Klasyczny przykład stanowi obliczenie, sporządzone przez Rezino-trust w roku 1930 odnośnie do produkcji kaloszy (która zresztą

potem, i ilościowo i jakościowo, wykazała poprawę). W tym okresie czasu zwyżka produkcji była mniejsza, niż zmniejszenie okresu użytkowania jednej pary; temsamem cały kolosalny wysiłek organizacyjny, całe kolosalne wartości materialne zużyte zostały dosłownie na nic, gdyż zaopatrzenie ludności *de facto* uległo pogorszeniu. Pół biedy zresztą, jeżeli chodzi o artykuły konsumcyjne; gorzej jest z wytworami, przeznaczonemi do dalszej produkcji. Tu wywiązuje się *sui generis* łańcuch pogarszania się jakości. Stal, nadana fabryce X, była kiepska — ale była to, bądź co bądź, stal. Maszyna, w której najważniejsza część wykonana została ze złej stali, nie nadaje się do pracy, jest tylko żelazem na złom.

Gdzie leżą źródła pogorszenia się jakości? Niewątpliwie zaważyła tu każda z omawianych poprzednio przyczyn, a więc: zwiększenie odsetku niewykwalifikowanych robotników i inżynierów o niedostatecznem doświadczeniu, nadmiernie trudna technika wytwórcza, brak surowca, używanie namiastek. Obok tego liczyć się należy również z faktami świadomego niejako pogarszania jakości. Nie mam tu na myśli t. zw. szkodnictwa (wreditielstwo) — mniej czy więcej liczne wypadki szkodnictwa należą do dziedziny patologii społecznej i jest wykluczone, żeby miały tak szeroki zakres, jak zgodnym chodem utrzymują organy GPU i... biali emigranci. Znacznie częściej mamy do czynienia ze specyficzną formą gospodarności kierownika danego zakładu wytwórczego.

Ceny są normowane przez państwo. Pogorszenie jakości jest jedynym środkiem ukrytej podwyżki cen, ukrytego zwiększenia rentowności. Ten motyw postępowania zyskuje jeszcze na znaczeniu z chwilą zwiększonego nacisku na t. zw. chozrasszczot w przedsiębiorstwach przemysłowych, z chwilą wzrostu płac nominalnych spowodowanego wzrostem drożyzny, z chwilą załamania się nadziei na wydatne zwiększenie wydajności pracy robotniczej. Przy sztywnych cenach a wzrastających kosztach (tem bardziej wzrastających, że niejednokrotnie w poszukiwaniu środków wytwórczych fabryki decydują się na potajemne płacenie swoim dostawcom — również fabrykom państwowym — cen wyższych od norm państwowych) obniżka jakości jest jedynym środkiem wyjścia dla uratowania bilansu. Sprawa jest zresztą jasna: przez cały okres pierwszej piatiletki mamy do czynienia z jaskrawą inflacją, więc w tej czy innej formie podwyżka cen musi następować. Drugi, bodajże jeszcze ważniejszy motyw generalny pogarszania jakości wyrobów przemysłowych — to surowa odpowiedzialność za niewykonanie norm ilościowych. Nawet z chwilą wprowadzenia podobnej odpowiedzialności za jakość wyrobów kierownikom zakładów przemysłowych kalkuluje się dbać przedewszystkiem o ilość. Niewykonania planu pod względem ilości nie można ukryć inaczej, jak w drodze fałszowania cyfr statystycznych, ulegających

przecież łatwiej kontroli. Jeśli chodzi o jakość, to kontroluje ją nie organ nadrzędny, ale *de facto* tylko odbiorca. Odbiorcy w warunkach głodu towarowego zaledwie zależy na dostawie, żeby miał bawić się w drobiazgowość, która może go kosztować wstrzymanie dostaw, a w konsekwencji i wstrzymanie jego własnej fabryki.

Nie zamierzam prowadzić dalszej analizy trudności, przeżywanych przez przemysł sowiecki ku końcowi pierwszej piatiletki. Wykraczałoby to poza ogólną linię moich rozważań, a poza tem — wiele z pośród tych trudności straciło już na znaczeniu. Dodam tylko, że właśnie w tym okresie uwidoczniają się przeróżne inne konsekwencje nadmiernego tempa rozwoju, konsekwencje odrzucenia zasady możliwości na rzecz zasady potrzeb. W pierwszym rzędzie stają się jawne dysproporcje pomiędzy rozwojem poszczególnych gałęzi wytwórczości. W jednym wypadku chodzić będzie o nadmierną, w stosunku do rozwoju przemysłu surowcowego, rozbudowę przemysłu przetwórczego, w innym — odwrotnie: zdolność wytwórcza półfabrykatów przerasta zdolność przetwórczą następnego stadium wytwórczości. Zjawisko to ma tem jaskrawszy charakter, że obok olbrzymich inwestycji planowych w ciągu całej piatiletki odbywały się na wcale szeroką skalę inwestycje pozaplanowe, czy raczej poprostu bezplanowe. Na tle tej specyficznej hyper-konjunktury inwestycyjnej i trwającej inflacji — z jednej, a normowanych cen — z drugiej strony, kalkulacja przemysłowa wygląda coraz osobliwiej i coraz bardziej nienormalnie. Próby przywrócenia kalkulacji w drodze wzmocnienia chozrasszczotu zawiodą. Groźby, rzucane przez czynniki naczelne, iż przedsiębiorstwa nie przestrzegające chozrasszczotu, nierentowne i niewypłacalne będą likwidowane, a nawet wręcz licytowane — są realizowane tylko w stosunku do znikomej ilości drobnych przedsiębiorstw, głównie handlowych (zapewne z tej przedewszystkiem przyczyny, że przy ścisłym przestrzeganiu zasady sankcje karne trzeba byłoby stosować zbyt szeroko). Postulat kapitalizowania wewnątrz przemysłu, rzucony przez Stalina w głośnej mowie „o sześciu warunkach“, a wysunięty na tle niewystarczalności dotychczasowych źródeł finansowania inwestycji, nie zostaje osiągnięty, gdyż przemysł nie tylko nie obniża kosztów własnych, ale niejednokrotnie je podwyższa. Z drugiej strony jednak, o ile walka o chozrasszczot nie daje pełnego rezultatu, o tyle w pewnym stopniu przyczynia się nie tylko do hamowania skutków inflacji, ale również... i do zwiększania trudności, w jakich znajduje się przemysł sowiecki. Przy nadmiernie ambitnie zakreślonych planach wytwórczych głód kapitału obrotowego w przemyśle nie może być zaspokojony, bo sprzeciwia się temu chozrasszczot. Zasada maksymalnego wykonania planu staje w sprzeczności z zasadą chozrasszczotu.

Ku końcowi pierwszej piątiletki sytuacja staje się naprawdę trudna. W rolnictwie zbiory są małe, mniejsze niż oczekiwano na zasadzie statystyki zasiewów, gdyż w wielu wypadkach kolchozy siały *pro forma*, niedbale lub zapóźno — byle tylko móc wykazać się wykonaniem planów. Zbiorów w kolchozach dokonywa się niedbale i zapóźno. Zboże długo leży w pokosach, zanim zostanie zebrane w snopki, długo stoi w snopkach, zanim je złożą w sterty. Młocka idzie powoli i znów niedbale. Na każdym kroku jest marnotrawiony i tak niewielki zbiór. Tego, co zebrano, zarówno kolchozy jak i gospodarstwa indywidualne nie chcą państwu sprzedawać; usiłują schować zboże dla siebie, lub na spekulację. Przeprowadzenie dostaw zbożowych przy pomocy kolchozów nie następuje, oczywiście, aż takich trudności, jak skup u gospodarzy indywidualnych, ale i tu próby biernego oporu, próby ukrywania zboża są na porządku dziennym. Przemysł rozrasta się z dnia na dzień — to prawda, ale efektów tego prawie się nie czuje. Widzi się nowe fabryki — nie widzi się nowych towarów. Nie widzi się zarówno dlatego, że wytwórczość jest hamowana przez brak surowca i szereg innych przyczyn, o których była mowa wyżej, jak i dlatego, że jakość wytworów obniża się coraz dalej. Nowe giganty pracują mało efektywnie. W starych fabrykach daje się zauważyć niesłychane wprost zniszczenie maszyn. Chwilami pesymistom nasuwa się wręcz pytanie, czy niszczenie kapitału stałego przy systemie forsowania industrializacji nie idzie równie szybko, jak przyrost kapitału wywołany tą samą przyczyną. Wreszcie staje się oczywisty fakt, o którym można było wiedzieć już o cztery lata wcześniej, mianowicie że wobec skierowania lwiej części wkładów na rozbudowę ciężkiego przemysłu, wytwarzającego dobra dalszej produkcji, nieporównanie skromniejszy rozwój wytwórczości dóbr konsumpcyjnych w przemyśle państwowym jest w stanie zaledwie z niewielką nadwyżką skompensować zupełne już w ciągu pierwszej piątiletki zlikwidowanie drobnego przemysłu prywatnego, a przedewszystkiem rzemiosła. W cenach panuje zupełny chaos. Dywan perski w sklepie państwowym kosztuje tyle, co pud mąki na bazarze, a dziesięć razy mniej niż rower. Ba, nawet w stosunkach pomiędzy poszczególnymi przedsiębiorstwami państwowymi obchodzi się na wszelkie sposoby ustalony przez państwo poziom cen. Pomimo narastających trudności, czynniki rządzące od zasadniczej linii nie odstępują i odstąpić nie chcą, a na ujawniające się niedomagania reagują ustawiczną rewizją polityki na odpowiednich odcinkach. Szczególnie częste są zmiany w dziedzinie norm, regulujących obrót wewnętrzny. Zmiany te usuwają do-
rażnie zło, a raczej je czasowo zawieszają. Natomiast zaciemniają one obraz rzeczywistości jeszcze bardziej, wikłają i tak już powikłane stosunki.

W roku 1932 sytuacja osiąga najwyższe napięcie. Kontrast pomiędzy poszczególnymi elementami jest jaskrawy. Z jednej bowiem strony mamy

zwycięskie, bądź co bądź, dokonanie kolektywizacji lwiej części warsztatów rolnych, ujęcie produkcji rolniczej w nowe formy organizacyjne, zupełny przełom w stosunkach socjalnych na wsi; z drugiej — ostry kryzys aprowizacyjny. Z jednej strony mamy zlikwidowanie bezrobocia, olbrzymi wzrost liczebny klasy robotniczej; z drugiej — obniżkę stopy życia. Z jednej strony mamy setki nowych przedsiębiorstw przemysłowych, ba! dziesiątki nowych miast i osiedli fabrycznych, zamieszkałych nieraz przez dziesiątki tysięcy ludzi; z drugiej — nieustający głód towarowy. Mamy niewątpliwie olbrzymie sukcesy obok olbrzymich trudności i niepowodzeń.



Wydaje mi się, że opinia zachodnio-europejska pożegnała się już, na szczęście, z fałszywym i naiwnym poglądem, jakoby sytuacja Rosji ku końcowi piąteletki miała być czemś zbliżonym, jeśli nie identycznym z kryzysem konjunkturalnym w gospodarce kapitalistycznej. Wydaje mi się również, że tylko nieliczny odłam upatruje istotę kryzysu sowieckiego w kryzysie ustroju gospodarczego Sowietów, któremu wróży nieuchronne załamanie. To też ograniczę się do krótkich stwierdzeń: 1) Związek kryzysu sowieckiego z kryzysem światowym jest więcej niż luźny, co wynika w równym stopniu z istnienia monopolu handlu zagranicznego i ze znikomego znaczenia obrotów zagranicznych w całokształcie obrotów ZSRR. 2) Ażeby uważać kryzys sowiecki za kryzys konjunkturalny, należałoby stwierdzić fakty nadprodukcji, tymczasem zaś głód towarowy pozostaje regułą do końca pierwszej piąteletki. Jeżeli nie mamy traktować pojęcia „kryzys konjunkturalny” jako zupełnego ogólnika, należałoby również stwierdzić przewagę czynników z zakresu automatyzmu gospodarczego, podczas gdy w rzeczywistości państwowy plan, państwowa polityka były przez cały czas piąteletki czynnikiem decydującym dla kształtowania się dynamiki życia gospodarczego. 3) O kryzysie ustrojowym moglibyśmy mówić tylko wtedy, gdyby można było udowodnić, że w ramach ustroju sowieckiego nie byłaby możliwa inna polityka, względnie że każda inna linia polityki musiałaby doprowadzić do tych samych rezultatów. Tymczasem ścisła równoległość pomiędzy wzrostem tempa industrializacji i kolektywizacji a wzrostem trudności gospodarczych wskazuje, że przy mniej krańcowej polityce mielibyśmy do czynienia z sytuacją nieporównanie łatwiejszą.

Z tych wszystkich względów — źródeł istotnie trudnej sytuacji, w jakiej ZSRR znalazł się w roku 1932, szukać musimy gdzieindziej, mianowicie w krańcowości kursu stalinowskiego, w przesadnym tempie przekształceń ustrojowych i gospodarczych. Ta diagnoza, jak każda, zawiera w sobie

wskaźnik dla terapii. Istotnie też, terapia — zmiana kursu — poszła nie po linii jakiegoś zasadniczego zwrotu, lecz po linii osłabienia tempa polityki. zmierzającej w zasadzie w tym samym co poprzednio kierunku. Rok 1932, a w jeszcze większej mierze rok 1933, przeszedł pod znakiem takiej właśnie bardziej umiarkowanej polityki gospodarczej.

Pierwszą, najbardziej doniosłą, cechą sytuacji na początku roku 1932 było zatracenie wszelkiej jasności stosunków gospodarczych, drugą — nadmierny ciężar zakrojonych na olbrzymią skalę inwestycji, trzecią — dysproporcja pomiędzy wysiłkiem inwestycyjnym a zaopatrzeniem ludności w artykuły przemysłowe, czwartą — wewnętrzne trudności przemysłu, związane z nieopanowaniem techniki wytwórczej w nowych fabrykach i wyniszczeniem starych, piątą — doprowadzenie inflacji do takiego stanu, że system pieniężny znalazł się pod ustawiczną groźbą całkowitego załamania, szóstą wreszcie — kryzys aprowizacyjny. Na tym ostatnim odcinku, pomimo największych wysiłków w kierunku zwiększenia produktywności w kołchozach i sowchozach, polityka państwowa zdziałać mogła stosunkowo niewiele. Natomiast w pozostałych dziedzinach klucz do sytuacji znajdował się w rękach państwa. Skoro bowiem wszystkie powyższe trudności zrodzone zostały przez nadmierne tempo i jednostronny kierunek procesu inwestycyjnego, to lekarstwem na nie mogło i musiało być przede wszystkim osłabienie tempa inwestycji i skierowanie ich we właściwym kierunku.

Rząd ZSRR nie zawahał się przed logicznym wyciągnięciem wniosków z takiego stanu rzeczy. Hasłem dnia stało się nietyle budowanie nowych obiektów fabrycznych, co wykończenie rozpoczętych i pełne uruchomienie wykończonych; nietyle rozszerzenie kolektywów na nowe warsztaty rolne, co przeorganizowanie, udoskonalenie pracy istniejących. Nie koniec na tem: nie zawahano się przed najtrudniejszą decyzją — przed ograniczeniem tempa inwestycji. Ba! doszło nawet do tak radykalnych posunięć, jak masowe redukcje personelu urzędniczego, a do pewnego stopnia i robotniczego, oraz rewizja (w niektórych wypadkach) poziomu płac. Chociaż nie padło słowo „deflacja“, cała polityka przybrała charakter, przypominający zlekka klasyczną politykę deflacyjną. Przyhamowano wzrost obiegu pieniężnego; finansowanie wytwórczości przez banki oparto na nowych zasadach, zapewniających przewagę zasadzie realnego zabezpieczenia kredytu nad dominującą poprzednio zasadą kredytowania w miarę potrzeb odbiorców. Jedynym odcinkiem, na którym restrykcyjna polityka nie wycisnęła piętna, był właśnie pozostawiony poprzednio w zaniedbaniu odcinek niektórych przemysłów, produkujących artykuły bezpośredniego spożycia.

Niesposób twierdzić, że sowiecka deflacja sięgnęła bardzo głęboko; przeciwnie: właściwie nie zasługuje ona nawet na miano deflacji *sensu*

stricto. Bądź co bądź, na wielu odcinkach wytwórczość wykazywała wyżkę; jeśli wyeliminować rolnictwo, pozostające przez cały rok 1932 pod wpływami niedawnej jeszcze kolektywizacji, należy stwierdzić, że gospodarka rosyjska nie cofnęła się w rozwoju. Wypadki postawienia na konserwację obiektów fabrycznych, których budowę rozpoczęto poprzednio, należą do wyjątków. W przemyśle lekkim działalność inwestycyjna uległa nawet wzmoczeniu. Polityka usuwania dysproporcji nie doprowadziła do zlikwidowania żadnego większego przedsiębiorstwa, jednak zmiana była istotna. Polegała ona, jeśli się tak można wyrazić, na przesunięciach hierarchii wartości. O ile przedtem wszystkie wskaźniki działalności gospodarczej, poza wskaźnikami ilościowego wykonania planu produkcji i inwestycji, traktowane były jako rzeczy podrzędne, o znaczeniu wtórnym — o tyle w latach 1932-33 nastąpiło pewne wyrównanie. Po drugie — rozmach planowania zmniejszył się: w pracach inwestycyjnych, przynajmniej częściowo, przywrócono do czci skromniejsze, ale temsamem łatwiejsze imprezy; nie pojawiły się niemal żadne nowe projekty na większą skalę, nie rozpoczęto budowy niemal żadnych nowych gigantów, niektóre popularne i kuszące projekty odstawiono do lamusa. Tempo, które wzrastało dotychczas z roku na rok, osłabło; osłabły ambicje na najbliższą przynajmniej przyszłość; uwaga i wysiłek skoncentrowane zostały w większym stopniu na teraźniejszości, na zadaniu uporządkowania, opanowania wytworzonego przez falę indystryjalizacyjną stanu rzeczy.

Taki był koniec pierwszej piatiletki. Przyniosła ona w niejednym wypadku wykonanie zapowiedzi nawet z nadwyżką; w innych — rzeczywistość pozostała wtyle za zamierzeniami. Zawsze niemal zamierzony rezultat, czy nawet część jego, osiągnano większym wysiłkiem, kosztem większych ofiar, niż przewidywano. Piatiletka nie zdołała zapewnić dobrobytu szerokim masom ludności, ale równocześnie dokonała takich przemian w rosyjskim aparacie wytwórczym, że przynajmniej o krok zbliżyły one Rosję do wizji tego dobrobytu, mimo równoległego zniszczenia i zdewastowania innych olbrzymich wartości materialnych (rolnictwo). Pogarszając warunki egzystencji, a nawet rujnując egzystencję olbrzymiego odłamu — inny, nie mniejszy odłamek pchnęła piatiletka na wyższy stopień cywilizacji materialnej, na wyższy stopień kultury i zdolności pracy. Skłóciła wiele elementów gospodarki rosyjskiej ze sobą, jednak uruchomiła zarazem wiele sił drzemających, wiele wartości dotąd nie wyzyskanych. Stworzyła olbrzymi ruch, olbrzymi wysiłek, który po czterech latach osłabł, ale nie zamarł. Mam wrażenie, że waga pierwszej piatiletki polega nie na tem, co zostało dokonane, że ocena jej znaczenia nie może być ujmowana statycznie. Powinna ona być trakto-

wana jako zjawisko wybitnie dynamiczne, jako punkt wyjścia i miejsce skrzyżowania sił, przekształcających gospodarkę rosyjską. Trwająca cztery lata dramatyczna walka energii, wyzwolonej przez mit społeczny, z oporem materialnych warunków — nie zakończyła się ani zwycięstwem, ani klęską: zakończyła się rozejmem.

KAZIMIERZ KOSIŃSKI

W A W E L W IDEOLOGII WYSPIAŃSKIEGO

NA 30 - LECIE „AKROPOLIS” 1904 – 1934

Tożsamość faktu niewoli od Mickiewicza do Wyspiańskiego pozostała niezmieniona. Mickiewicz wyszedł z utraty niepodległości; wypełnił sobą ówczesną terażniejszość polską; we współczesności tkwił nawet tam, gdzie pozornie uwielbiał jednostronnie przeszłość, jak w *Panu Tadeuszu*, który był ilustracją do *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa*. W rezultacie twórczość poety była w najistotniejszych swoich przejawach protestem przeciw faktowi niewoli, poza tem zawierała w sobie krytykę narodu, którego czuł się wrogiem. Nie pomoże oskarżenie poety o przywłaszczenie sobie praw powyższych i roli w nadmiarze indywidualizmu, pozostaje bowiem faktem, że wielcy twórcy nie są bez wpływu na pokolenia, jak prawdą jest, że wewnętrzne drogi ich życia, cała ich ewolucja twórcza, uzależniają się od losów narodu, od jego doznań zbiorowych na tle historii.

Od romantyzmu drugim szczytem w polskiej poezji porozbiorowej był Wyspiański. W jego życiu twórczym Polska stanowiła również problemat. Nie uległ zmianie sam fakt niewoli, która w wizji twórczej poety wysuwa się na miejsce pierwsze. Czasy były jednak inne: niewola pogłębiła się w duszy narodu, który po roku 1863 pogrążył się w trójjolażmie i zbierniał wobec utraty niepodległości. Niewola nie budziła już protestu w duszach. Poza tem ogół utonął duchem w przeszłości, do której uciekała myśl dla odpomnienia dawnej swojej potęgi bez wiary w swe jutro polityczne. Dopiero na samych głębiach życia nurtowały prądy społeczne, które wydobywały z pod namotu kompromisu ideę niepodległości i tworzyły zagadnienie Polski nowej ustrojowo i politycznie. Niepodległość stawała się tam kwestią zasadniczą, jako ta, która umożliwiała przebudowę społeczną życia i wysuwała program walki

czynnej, którego realizacji już Wyspiański nie dożył. Tak więc, w rezultacie ostatecznym, w twórczości poety zamknę się dalszy protest przeciw faktowi niewoli, przejawia się spotęgowana krytyka własnego społeczeństwa, zasłuchanego w echa dawnych lat i wpatzonego w siebie z przed wieków. Z tą wizją narodu związał się najściślej Wawel, jako mogiła przeszłości, nad którą płakały dusze. Na Wawel też ostatecznie przeniósł poeta swój dramat narodowy, aby tam rozegrał się jego akt ostatni, w którym dokona się walka życia ze śmiercią. Stajemy w ten sposób przy *Wyzwoleniu* i *Akropolis*, które to obydwie tragedje z pnia mickiewiczowskiego wyrosły¹⁾.

Na *Wyzwolenie* możemy spojrzeć, jak na drugą Improwizację Konrada, który w nowym swoim wcieleniu stał się bohaterem tragedji. Znalazł on niezmienny fakt niewoli, zastał jednakże zmienione dusze, karmiące się mogilnym smutkiem bezdziejowości. W Improwizacji Konrada w III części *Dziadów* zawarty jest protest przeciw utracie przez Polskę niepodległości, skierowany do Boga, jako dawcy losu narodów; w *Wyzwoleniu* protest skierowany jest przeciw własnemu społeczeństwu, które żyje rozkładem swej dziejowości. Mickiewicz w Improwizacji Konrada cierpi z powodu braku programu po upadku powstania listopadowego, cierpi z powodu niemożności czynu, co napawa go rozpaczą. Dlatego też rok 1848 u Mickiewicza wypływał z najistotniejszej treści duszy poety, t. j. czynu.

Konrad, jako bohater *Wyzwolenia*, przybywa do teatru polskiej narodowej sztuki ze słowami Gustawa z *Dziadów*, czem legitymuje się ze swego mickiewiczowskiego pochodzenia:

Idę z daleka, nie wiem, z raj u czyli z piekła,

które to słowa zmieniają się zaraz w dalszym ciągu, stosownie do roli Konrada i do dziejów Polski, krwawych, porozbiorowych:

Błyskawic gradem
drży ziemia, z której pochodzę;
we krwi brodę...

Mickiewiczowski rodowód Konrada pogłębia się dalej przez odnośne motywy z *Dziadów*: *rozpaczy i zemsty*, poczem wkraczamy już na grunt teorii palingenezy. Był Konrad, jako odeszły duch Mickiewicza, w zaświatach

gwiazdą stałą, niebios niewolnicą.

przyczem, jak opowiada o sobie,

¹⁾ Wilhelm Barbasz w książce p. t. *Wyspiański na tle romantyzmu* (Lwów, 1932, str. XXIII+440) ujmuję *Akropolis* w kręgu *Przedświtu i Trzech myśli Ligenzy* Krasieńskiego, zwłaszcza *Legendy Wyzwolenie* ujęte jest w kręgu *Dziadów*.

Tam hen, ujęty łańcuchem,
 z wyprężonemi ramiony,
 uwięzłem duchem,
 gdzie gwiazd iskrzące skorpiony
 świecą
 w przestrzeni wieczystych głusz,
 gdzie gniazda bogów i dusz!
 i spadłem.
 Tę ziemię ukochałem
 szalem
 i w żądy palącej posiadłem
 ciałem —

poczem odzywa się już, jak Konrad w Improwizacji:

Jestem w każdym człowieku, żyję w każdym sercu...

Wrócił więc Konrad do ojczyzny, czując się duchem wielkiego poety, i rozpoczyna drogę w poszukiwaniu swojej misji. Okazuje się, że Wyspiański świadomy był dobrze zmian wewnętrznych, jakie zaszły w polskiej ideologii społecznej tego czasu, napotyka bowiem Konrad najpierw na swojej drodze robotników, a zatem proletarijat, który stanowić będzie pierwszych aktorów w *Wyzwoleniu*. Ten proletarijat Konrad zapragnie wprząc do dzieła, zapewnia go, że na nim spoczęła najpierw jego myśl, nawołuje go do rewolucji, nieokreślonej jednak w przestrzeni i czasie.

Podnosiła już niejednokrotnie krytyka fakt, że Wyspiański motyw rewolucji społecznej w *Wyzwoleniu* nie rozwinął, że postawił go na początku dramatu, aby doń potem nie wrócić. Mimo to, dla nas pozostaje faktem, że poeta wydobyl to zagadnienie na czoło tragedji i że stanowi ono wstęp właściwy do *Wyzwolenia*, aczkolwiek rewolucja ta jest bezprogramowa i Wyspiański nie wierzy w jej skutek doraźny, dlatego też akcję dramatu przenosi na teren właściwy — narodu.

I oto właśnie tutaj wyłania się na wstępie zagadnienie romantyzmu, który, jak twierdzi Reżyser w rozmowie z Konradem, oddzielił się od życia w swym idealizmie, podczas gdy

...światał coraz niżej schodzi...

Wyłania się zatem pytanie, jak wobec powyższych sprzeczności przedstawia się tragedia polska i na czym właściwie polega? Polega ona na pseudoromantyzmie, t. j. na mogilnym stosunku do życia, które jest inne w każdorazowej współczesności, nie przestając być tem samem w niezmienności duszy ludzkiej. Poza tem stosunek narodu do samego siebie urabia się tu jednostronnie na płaszczyźnie wyobrażeń o Polsce dawnej, które stały się emblematyką narodową bez swojej treści istotnej. W ten sposób naród nigdy

nie będzie twórcą samego siebie w danej dobie dziejowej, będzie jedynie do-
rastał do samego siebie z przed lat, gdy nadeszły inne czasy.

Konrad improwizuje swój dramat narodowy, mając potemu aktorów
„wyższych o całe mogiły“, t. j. widzących Polskę dawną wyłącznie i jedno-
stronnie, oczyma poezji romantycznej. Kiedy Konrad w dżalogu z Muzą za-
powiada swój czyn i stwierdza potemu swoją wolę, Muza ujmuje zagadnie-
nie po literacku, z punktu widzenia napisanej tragedji, która domaga się od
twórcy, zarówno jak od aktora,

...męki, trudu, pasji,
bólu, skarg, żalu, smętku, lęku,
grozy, litości...,

na co odpowiada Konrad, że to jest „teatr stary“, podczas gdy nowa sztuka
domaga się przede wszystkim nowego życia, co wynika ze społecznego cha-
rakteru sztuki w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Konrad ma za zadanie stworzyć teatr polski nowy, podchodzi doń jed-
nak bez programu, jedynie w ogólnym poczuciu swojej misji, aby, jak Kazi-
mierz Wielki w zakończeniu *Rapsodu*, „walić młotem“ w narodową ścianę
płacz. Na to odpowiada Muza, że taki „dramat“ nie wymaga dla siebie for-
my nowej, że potrzebuje tylko skali talentu, który wywarłby urok na zebra-
nych zapomocą złudzenia sztuki, podczas gdy Konrad musi wydobyć naród,
na co odpowiada ponownie Muza, że tego nie uczyni bez emblematyki daw-
nej, w którejby się naród dojrzał i przejrzał.

Konrad swój dramat improwizuje: improwizuje go na płaszczyźnie
dawności i akcja rozgrywa się na Wawelu, to jest na wzniesieniu owej daw-
ności polskiej, która się tutaj syntetyzuje w irracjonalizmie porozbiorowym.

Do takiego dramatu narodowego, jak twierdzi Muza,

trzeba dekoracje ustawić,
pamiętać o każdym sprzęcie...
A gdy już wszystko gotowe
rozkażać grać na rozpoczęcie
poloneza...

Konrad staje się postacią tragiczną już w założeniu swojego dramatu
staje się on właściwie postacią rozdwojoną, która domaga się nowego życia
w Polsce, a wyjść nie może poza ciasny krąg emblematyzmu narodowego,
poza zakłętę koło dawności, ze wszystkim, co było w niej wielkie i żywe, a co
się stało pomnikiem. W ten sposób, rozpoczynając swój dramat narodowy,
zmuszony jest Konrad stanąć na grobie i na tym grobie dopiero przedstawić
naród.

Konrad swój dramat improwizuje — to znaczy, że bohater sam, na tle
jego akcji, będzie się dopiero tworzył i nie może przewidzieć rezultatów, do

których dojdzie. Niewątpliwe jest tylko jedno: że rozegra się tu walka o nowe życie polskie, ale w tej walce stworzy się i sam Konrad, który będzie doraścił do wyżyn swojego przeznaczenia. Nie będzie to jednak walka o naród z Bogiem, jak w III części *Dziadów*, tylko walenie młotem w pierś narodu, aby wydobył z siebie nową treść i nową formę życia. Tymczasem jednak tworzy Konrad swój dramat, dając mu za tło akcji Wawel. Po rozmowie z Muzą rzuca bezpośrednio do zebranych statystów rozkaz:

Stróćcie mi, stróćcie narodową scenę...

którą będzie Katedra wawelska, gdzie ustawi poeta statystów w kostjumach dawnej Polski, jak na obrazie Matejki, choć idzie tu nie o Polskę dawną, ale o współczesną. Jednak ta Polska współczesna grążyła się w swojej dawności, co wypełnia akt I i III tragedji. Ciekawe jest, co mówi Konrad, gdy wydaje rozkazy zebranej rzeszy aktorów:

Teatr narodu, sztuka, polska sztuka!
Chcemy go stroić, chcemy go malować,
chcemy w teatrze tym Polskę budować.
Żupany bierzcie, delije, kontusze;
znoście mi lite pasy, krzywce, karabele,
chłopskie gunie, sukmany, trzosi. Tłum w kościele!
Niech w oczy biją kolory jaskrawe,
niechaj rażą jak słońce. Wstąg, wstążek okrasyl
Niechaj ich ujrzę razem, jakby w złote czasy.
...Wy wszyscy. Stróćcie, stróćcie się w ornaty,
w ornamenta, złotogłów, we świąteczne szaty
i zacznijcie bóg myśli i szermierkę słowa...

Wysuwają się tu na miejsce pierwsze plastyczne i barwne elementy obrazu — nie dlatego, że Wyspiański sam był plastykiem, ale dlatego, że cały ten obraz Polski współczesnej w *Wyzwoleniu* jest matejkowski i jako taki nie ma w sobie nic ze współczesności; jest to właściwie Polska dawna, współczesna poecie, — jest to zatem śmierć, w której grążyła się dusza polska, niezdolna do walki o nowe życie.

*

W tym dramacie współczesności polskiej jedno było tylko naprawdę współczesne, to jest sama niedola życia, jak skarżył się już Nos w *Weselu* (III, 2):

o Wielkościach darmo snić,
trzeba żyć, trzeba żyć...

Ta niedola życia polskiego przeradzała się w zrozumiały pesymizm istnienia, który stawał się bezosobisty, w samozatrąceniu się człowieka w mękę, czy beznadziei smutku, coby dzisiejsi uniwersaliści zapisali na korzyść nowej

sztuki. Ten sam bohater w *Weselu* powiada o sobie, że chciałby się zagubić w tłumie,

żeby się tak zniwelować,
zanurzyć się po szczyt głowy
w ten świat nowy:
indywidualność zdusić,
do prostoty się przymusić,

i gdyby nie serce, które nawet ból istnienia odczuwa indywidualnie, mogłaby się jednostka samozatracić w morzu zbiorowego cierpienia. W rezultacie, jak mówi Poeta w *Weselu* (III, 2), staje się tak, że trzeba

wprzódzy zmarnieć, potem żyć...

co stanowi nieraz tragedję życia całych pokoleń na tle ich współczesności gdy życie nie przynosi faktów wielkich, płynąc falą równą z dnia na dzień, w nędzy i cierpieniu mas, które przewalają się pokoleniami w otchłaniach życia i śmierci. Wtedy zasadą życia jest przemijanie bez sensu i bez potrzeby:

Spłyniem, inni po nas przyjdą,

jak mówi Nos w tej samej scenie *Wesela*. Nic dziwnego, że na tle bezdachu swojej doby dziejowej i na tle nędzy, której dosyć ma każdy dzień, może wyrastać ideał człowieka pocziwego, jako jedyna realna rzeczywistość. Tak pojmował ideał życia Pan Młody w *Weselu*, który, nieczuły na wzloty myśli Poety, dopatrywał się szczęścia w spokojnym żywocie na polskiej wsi, w otoczeniu drzew i kwiatów, na tle przyrody, przy umiłowanej żonie, w spokoju i ciszy — jak za czasów Kochanowskiego i Reya. Natenczas

gaik spokojny,
Sad cichy, woniami upojny,

złote słońce, brzęczące pszczoły i muchy, trawa

i mlecz w puchów koronie

stają się dawnością polskiego życia, szczęśliwego w nieruchomości trwania poza narodem i zbiorowością (III, 17).

Z tym właśnie ideałem człowieka pocziwego wkraczamy na teren naszych rozważań na temat dramatu narodowego w *Wyzwoleniu*. Widzimy tu zobrazowaną ideę Krasieńskiego braterstwa ludu i szlachty, która pod postaciami Hołysza i Karmazyna wykazuje niezmienną swoją tożsamość istotną poza losami narodu i historją. Ten konserwatyzm szlachty staje się nowym przejawem dawności, nie mieszczącej się w życiu współczesnem, ale i nie żyjącej życiem dawnem, przejawiającem tylko dawne błędy i wady, w ciągle

tem samem zamkniętem kole emblematów, które zacieśniają jej krąg widzenia.

Dalej widzimy tu wszystkie współczesne ugrupowania polityczne i narodowe na terenie ówczesnej Galicji — od lojalnych Stańczyków, poprzez krzykliwy Klub Mieszczkański, do klerykalnej części społeczeństwa: całą współczesną Polskę, której przegląd nie leży w zakresie naszych rozważań. Wszyscy oni żyją Polską widmową, dawną, mówią o niej jak o marzeniu dusz, marzą o niej w tęsknocie i różnemi drogami dochodzą wszyscy do pustki, do bezprzedmiotowego, irracjonalnego i wspomnieniowego patryjotyzmu. Ale w tem wszystkiem mieści się właśnie tragedia polska, którą jest śmierć, wyciśnięta stygmatem na duszach, nie mogących wyjść poza dawne formy życia polskiego, z dawną, umarłą treścią przy pustce i oschłości dusz w stosunku do swojej współczesności. Będzie zatem misją Konrada uderzyć w ten mur dawności polskiej młotem potęgi ducha i rozbić kłócący się z rzeczywistością czar śmierci, która zaległa chmurą nad duszami. W ten sposób Konrad zawiera w sobie protest przeciwko narodowi, wpatrzonemu w siebie z przed wieków, a jednocześnie biernemu wobec faktu niewoli. Zawiera się w nim również krytyka społeczeństwa polskiego, która wybucha niekiedy urąganiem.

„Warchoły to wy, — mówi Konrad do Maski drugiej, — Wy, co liżecie obcych wrogów podłóże, czołgacie się u obcych rządów i całujecie najeźdźcom łapy, uznając w nich prawowitych królów“ — choć mieszcza się wszyscy w narodowej świątyni polskości i odprawiają w niej nieustannie nabożeństwo narodowe, że tylko brak organów, aby zaczęło się śpiewanie psalmów na cześć i chwałę Pana Boga i Polski. Konrad tymczasem woła: „Wy, hołota, którzy nie czuliście dumy nigdy, chyba wobec biedy i nędzy, której nieszczęście potracaliście sytym brzuchem beczelników i pięścią sługi“ — podczas gdy naród wpatrywał się w swoją wizję przeszłości w nastroju uroczystym w kościele minionej chwały. Konrad tymczasem mówi dalej: „Warchoły to wy, co się nie czujecie Polską i żywym poddaństwa i niewoli protestem. Wy chcecie żyć i niema podłóści, którejbyście do ręki nie wzięli i nie przyswoili sercu. Wy chcecie żyć i już trawicie błoto i brud i już was nie zadusza zgnilizna i jad; ale jadem i zgnilizną nazywacie wiew świeży od pól i łąk i lasów. Wy chcecie żyć i plwać na wszystką rękę, która was i podłość waszą odślania“²⁾.

Musimy zatem stwierdzić, że cała ta wmodlona w swoją minioną przeszłość Polska, cała ta strupieszka dawność, tkwiąca na podwyższeniu w koś-

²⁾ Nie ulega wątpliwości, że mamy tu echo sporów ideologicznych na łamach krakowskiego *Życia* pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Spór dotyczył patryjotyzmu Młodej Polski, w której imieniu przeciwstawiał się opozycji głównie Artur Górski.

ciele na Wawelu i tam się syntetyzująca, jest — zdaniem poety — martwością i może pokrywać sobą moralny upadek dusz, które czułyby strach przed nową potęgą polską, gdyby wymagała ona dla siebie ofiary w zbiorowości wysiłku aż do samozatrącenia się w nim jednostki.

To rozmadlanie dusz polskością stało się w rezultacie jej demonstracją, przeciwko czemu protestuje Konrad w rozmowie z Maską 11-tą: „A co jest mi wstrętne i nieznosne, to jest to robienie Polski na każdym kroku i codziennie. To manifestowanie polskości. Bo to wygląda, jakby Polski nie było, Polaków nie było, jakby ziemi nawet nie było polskiej i tylko trzeba było wszystko pokazywać, bo wszystkiego zostało na okaz, potrochu... POCO? NACO? Bez tych manifestacyj wszystko jest: i ziemia, i kraj, i ojczyzna, i ludzie. Tylko naród się zgubił“.

Konrad nie uważa tedy Polski za myt, nie zagłusza w sobie sumienia narodowego idealizmem przeszłości. Polska musi się ponownie urzeczywistnić w dziejach, czego nie dokona bez walki. Nie może być Polska gadaniną bezduszną, ani nabożeństwem polskości; musi upodobnić się do innych narodów żywych, musi przestać być ideałem, który nie ma się urzeczywistnić. Domaga się Konrad dla Polski tego, co jest wszędzie, to jest państwa. Wróci teraz Konrad do idei rewolucji, którą postawił na początku dramatu; pochłonięłaby ona wszelką nieprawość polską i wytępiłaby „oszustów, którzy rujnują naród! złodziei, którzy okradają naród!“. Mówi Konrad do Maski 19: „Nie chcę nic, nic, nic... nikogo: żadnych stronnictw, żadnych idei; one wszystkie upadły, — muszą upaść. Żadnych ludzi, osobistości; oni wszyscy muszą upaść, upadną...“. Konrad domaga się tylko rewolucji, jak mówi:

Chcę patrzeć, patrzeć, tężyć wzrok
i potrącać mogiły co krok.

Rozumiemy teraz bieg myśli poety: najpierw poruszył mimochodem nędkę proletariatu, uznał w nim siłę i wezwał go do czynu; potem przerzucił się do rozegrania dramatu narodowego współczesnej Polski, którym jest bezdech dawności, poczem wraca do rewolucji, która, jego zdaniem, miała wyprzedzić powstanie państwa polskiego.

W rezultacie dopiero państwo polskie miało być rękojmnią odrodzenia i podstawą nowego życia w Polsce. O państwo polskie modli się Konrad po rozmowie z Maskami, przyczem nawiązuje ponownie do mickiewiczowskich swoich tradycji i czuje się Gustawem z IV części *Dziadów*, który odbył pozgoną pokutę i wraca, znacząc się krzyżem na progu, nie aby na siebie krzyż przyjmował, lecz aby go Bóg — przeciwnie — uchwalił od męki krzyża za naród, aby mu go dał ożywić dla jedyne go celu, to jest własnego państwa, aby obudził w nim instynkt zbiorowości. Modli się Konrad:

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi,
niechże w nie duch twój wstąpi
i śpiące niech pobudzi...

Idzie tu o wydobywanie z mas zbiorowego wysiłku, który wskrzesi państwo. Ponieważ jednak Konrad w ten wysiłek zbiorowy nie wierzy, chce zatem stworzyć państwo polskie sam, mocą swojego uczucia i potęgą woli — jak twórca, którego myślenie urzeczywistnia się w pieśni, stając się potęgą Słowa. Widzimy, że Wyspiański podkreśla w tym miejscu indywidualną potęgę twórcy Konrad z *Wyzwolenia*, który jest substytucją samego poety, woła w poczuciu własnej indywidualnej mocy, jak Konrad z *Dziadów*, który był substytucją Mickiewicza i walczył z Bogiem o naród — także sam, także w poczuciu swojej indywidualnej siły:

Nie ścierpię już niedoli
ani niewolnej nędzy.
Sam sięgnę lepszej doli
i łeb przygniotę jędzy.
Zwycięzę na tej ziemi,
z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę!...

Ale tu wyłania się znane już nam zagadnienie misji u Wyspiańskiego I tak, Konrad odchodzi od domowego ogniska na walkę z Genjuszem przeszłości, który wmodlonemu w nią narodowi wskazywał drogę do śmierci, jak do źródła życia pośrodku minionej chwały. Aby zaś wydobyć państwo polskie z dusz, należy w nich przezwyciężyć śmierć. Wracamy więc na Wawel, do wizji zostającego tam narodu. Wawel staje się w tym miejscu zagadnieniem, a mianowicie: jest czy nie jest dla Polski grobem, na którym naród święcił gody samozatrącenia się w przeszłości?

*

Wawel jest polską górą świętą. Nie znaczy to, aby miał posiadać znaczenie religijne, jako uznane miejsce cudów. Uczucia jednak, których doznaje się na Wawelu, są religijne. Jeżeli gdzieś, to właśnie tutaj jednoczą się ze sobą uczucia patryjotyczne z doznaniem religijnym, co w literaturze polskiej dokonało się już w w. XVI, a pogłębiło dostatecznie w polskiej poezji porozbiorowej, od Woronicza poczynając. Prochy tego pierwszego mesjanisty po rozbiorach spoczęły także na Wawelu. Z drugiej jednakże strony nie ulega wątpliwości, że dominantą doznań jednostki w katedrze wawelskiej jest przygnębienie potęgą śmierci między grobami na podniesieniu i w podziemiach. Wchodzimy na Wawel z uczuciem pielgrzymki; idąc pod górę, uczuwamy zmęczenie,

które nas opuszcza dopiero u wrót Katedry. Wchodzimy potem po szeregu stopni nad kryptą Leonarda do kościoła, gdzie uderza nas przedewszystkiem widok trumny na wywyższeniu, która przesłania ołtarz i dzieli świątynię, nie dając jej objąć wzrokiem w całości. Trumna św. Stanisława staje się więc symbolem wywyższenia śmierci na Wawelu; poza tem cała Katedra jest usiana grobami. Dla zwiedzenia grobów królewskich schodzimy do podziemi kościoła. Tam spotykamy również w majestacie groby dwóch wielkich poetów romantycznych. Kiedy wychodzimy z Katedry na światło dnia, świecące słońce zdaje się kłócić z nastrojami, jakich doznaliśmy przed chwilą. Wtedy zwiedzamy odnowiony Zamek, którego wnętrza pociągają pięknem architektury; doznaje się tu uczuć zgoła odmiennych — wydobycia Wawelu z ruiny, przewyciężenia śmierci. Teraz odnowione wnętrza stają się symbolem odrodzenia Polski i zwiedzający Wawel opuszcza go z uczuciem dumy, z wiarą w zmartwychwstającą potęgę Polski. Wracając, nie wchodzi znów do Katedry między pomniki przeszłości, udaje się na zachodnią stronę wzgórza, aby spojrzeć na Wisłę, płynącą u stóp Wawelu, na widniejącą górę św. Bronisławy z Kopcem Kościuszki, na siniejące dalej, pokryte lasem Bielany, a w dzień pogodny na dalekie Tatry, wyglądające jak chmury na horyzoncie. Chce wtedy objąć wzrokiem całą Polskę, która dźwignęła się w murach wawelskich z upadku, która w historii stała się państwem. Ziściła się w ten sposób treść modlitwy Konrada, ale Wyspiański tego nie dożył. Za jego czasów Wawel był tylko symbolem niewoli i śmierci. W zamku królewskim mieściły się koszary austriackie, co było aż nadto bolesnym wyrazem upadku politycznego Polski. W Katedrze był grób przeszłości, na Zamku była niewola; opuszczający Wawel pielgrzym odchodził w poniżeniu uczuć, bez wiary w zmartwychwstanie, przypadał duszą do grobów, w których była zamknięta wielkość miniona. W ten sposób Wawel był górą, kopcem mogilnym narodowej dawności, który przemawiał chwałą, leżał w pomnikach. Nad wszystkim tężał czas i wydzwaniał pozgonną dolę narodu. Wydzwaniał ją ogółowi Zygmunta, który był głosem słyszalnym Wawelu do potomności; dźwięczał w nim jagielloński rapsod przeszłości, który uderzał sercem w teraźniejszość i nie powoływał jej do mocy, wieścił jej śmierć i uwielbiał moc minioną. W ten sposób dzwon Zygmunta pogłębiał dawność wawelską, miast powoływać naród do jego nowych przeznaczeń: wywoływał wizję dawnej potęgi, dawnego życia i dawnych postaci dziejowych. Ze współczesnych uznawał wielkość tych, którzy, jak Matejko, uwielbili przeszłość i grążyli naród w jej wizji, ale uznawał ją po śmierci, dzwoniąc im na pogrzebie. Nadto wypominał wielkość w szeregu rocznic narodowych lub w dzień zaduszny, kiedy rozplywał się kręgami tonów nad całym wzgórzem wawelskiem i miastem, aby ci wielcy gospodarze historii odpoczywali w spokoju... Tak więc w rezultacie

duża polska wchłaniała na Wawelu śmierć i był on górą polskiego smutku, wraz z ciszą bezdziejowości. Unosiły się nad nim wieki blade — w upiorowości wspomnień, w dobie nieistnienia politycznego. Ale naród, pomimo wszystko, żył, przeżył się w sobie i rósł, domagał się nowej pieśni życia i pragnął nowych dni, które byłyby różne od tamtych z przeszłości.

Wyspiański związał się uczuciowo z Wawelem jeszcze w dzieciństwie i doskonale rozumiał jego treść immanentną; wiedział, że Wawel w podświadomości narodu posiadał głęboką wartość irracjonalną, jako miejsce wspomnień, i że można było dokonać przeistoczenia uczuć na Wawelu w głębokiej tajemnicy życia, które zwycięża śmierć w samym pragnieniu zmartwychwstania. Dlatego Wawel dla Wyspiańskiego posiadał wymowę zgoła inną, przez ogół niesłyszana i wieścił mu cud zmartwychwstania Polski. Dla niego Wawel miał w sobie siłę życia i nie był widownią śmierci narodu. Dlatego w dramacie narodowym Wyspiańskiego tam, a nie gdzieindziej, musiała się rozegrać walka pomiędzy życiem i śmiercią. W swojej apostrofie do Zygmunta w *Wyzwoleniu* stwierdza poeta, że dorozumiał się istotnej treści jego wołania do nowej potęgi Polski. Mówi tutaj Wyspiański:

O Zigmuncie, słyszałem ciebie
i natychmiast poznam, gdy usłyszę.
Niech ino się twój głos zakolebie
i przenikliwy wżre się w ciszę,
w ciszę pół-gwarną, pół-szemrzącą,
niech ino wpadną pierwsze tony,
tą melodyją dźwięku rwącą,
już wiem, żeś ty jest w ruch puszczony,
że wołasz, wołasz: PÓJDŹCIE ZE MNĄ!
i wołasz wiek już nadaremno.
Oni się conajwyżej zaśluchają
i oczy mgłą im łez napłyną,
a gdy ty wołasz: wznijdź potęgo!
wrażenia u nich pierwsze miną,
a gdy ty wołasz: DZIEJÓW KSIĘGO,
ROZEWRRZEJ KARTY NAD NARODEM!
NARODZIE, WRÓŻE, ZMARTWYCHWSTANIESZ!
choć stoją jeszcze, choć czekają,
czekają: kiedy brzmieć przestaniesz
i ton ostatni twój zawarczy...

W tej apostrofie do Zygmunta widzimy więc i krytykę narodu, krytykę bezdziejowości polskiej ówczesnej, gdy Zygmunt nabiera nowej treści. W ten sposób dwa będą zasadnicze motywy wawelskie u Wyspiańskiego: jeden — walki ze śmiercią, a drugi — wiary w zmartwychwstanie. Walka ze śmiercią rozegra się w *Wyzwoleniu* i *Akropolis*; motywy zmartwychwstaniowe wystąpią w *Akropolis*, gdzie zespółą się ściśle ze świętem Wielkanocy. Symbolem śmierci będzie tam wspominana już trumna św. Stanisława na podwyższeniu i Chrystus królowej Jadwigi za czarną zasłoną w ołtarzu. Trumna św. Stanisława stanowi też w *Akropolis* motyw wstępny:

Poszli i na kościele ostawili dymu
 powłoczną chmurę — opłotła kolumny —
 pieśniarze, co śpiewali pieśni Rzymu,
 pokłony bijąc u ołtarza trumny.
 Wonne obłoki rozpletły się w mroku,
 pajęczą chustą wiążąc w sieć filary —

Tę trumnę, którą już w rapsodzie o św. Stanisławie rozbijał poeta, jako przyniatający na Wawelu symbol śmierci, zdejmują teraz z ramion trzymając ją aniołowie, jak nienawistny ciężar, i ustawiają na ołtarzu, a sami, gdy poczuli w sobie żywy obieg krwi, tęsknią za miłością i swobodą. Ożywiają się też inne postacie z pomników i wszystkie nienawidzą śmierci, której kazano im strzec i kłamać ją na obliczu w kamiennych rysach zakłęta. To rozbudzone w aniołach życie kłóci się ze śmiercią tak dalece, że oni — żegnający się przed chwilą znakiem krzyża świętego anieli — odczuwają wstręt na widok konającego w ołtarzu Chrystusa. Mamy tu następujący dialog aniołów. Mówi jeden z nich tak:

Widziałeś Go w ciernistej koronie,
 jak głowę pochylił,
 głowę w lokach czarnych, gdzie zasłona?

A drugi odpowiada:

Nie śmiem tam pójść. — On kona!
 Straszliwe Jego westchnienie
 i krew ciecze z rąk i stóp i twarzy
 na ołtarz — gdzie zwisło strzemień...

Przeraża ich i napawa wstrętem sama ciągłość konania Chrystusa, zakłęta w rzeźbie. Odzywa się tu anioł inny:

Kiedyż się Jego męka skończy?
 Jak piersią smutnie dyszy...

Nie chcą zatem iść w tamtą stronę srebrni, żywi anieli, a na zapytanie jednego z nich: czemu? — odpowiada inny:

Nie, nie, nie mogę.
 Pierś Jego czarna, sina,
 twarz czarna, posiniała
 i krew! o, we krwi cała!
 Za czarną tą zasłoną
 okrutnie dyszący... Nie!
 Na śmierć Jego patrzeć co dnia
 O, ta nad zbrodnie zbrodnia,
 co dnia tu męką święcona!
 Nie pójde! — On tam kona,
 z koroną, mrze z koroną —

ANIOŁ 4. Trwożysz się.

ANIOŁ 3. Wstręt mnie zrywa.

ANIOŁ 4. Drżysz — Zapomnij...

W całej symbolice danych powyższych widzimy reakcję przeciw apoteozie śmierci na Wawelu, widzimy prawo życia, które przejawia się w miłości; i do niej garną się aniołowie, narówni z Amorem i Niewiastą z innych pomników.

Miłość staje się tu wyrazem życia i ona to przeciwstawia się śmierci. Do miłości wracamy jeszcze w *Akropolis* przy postaciach Parysa i Heleny, podczas gdy Hektor zawiera w sobie potęgę śmierci za ojczyznę, która nie ma nic wspólnego z wawelską kontemplacją stuleci minionych i dawnych cnót pradiadowskich.

Wyspiański w walce swojej ze śmiercią na Wawelu stara się nawet ożywić umarłych, których prochy czci naród w cieśni tamtejszych mogił. Roztacza on nad grobami teorię palingenezy, która nie pozwala narodowi kłaść się w pokorze ducha u stóp sarkofagów. Stanowi to ciąg dalszy reakcji przeciw apoteozie śmierci, która śmierć ściiera na proch człowieka. Rozumuje tu Klio:

Nie powstają umarli.
Gdy ginie jedno życie
już drugie nowe zakwita.
Jak roślina jedna, gdy rozwiła
opada, ziarna sieje:
tak z życiem ich się dzieje.
Umarli — nie powstaną.
Ciała się skruszą w prochy.
Pełne tych ciał te lochy.
Dziś z ciał tych mnogich pył
żadnych już nie ma sił,
by wstał i znowu był.

Mamy tu przejmującą melancholję śmierci, która wszakże ustąpić musi wobec życia ducha. Jak zapewnia nas dalej Klio, dusze umarłych nie przemijają ze śmiercią ciał i omywają się z win w zaświatach, zanim pójdą do Raju, t. j. wrócą na ziemię w nowym wcieleniu, i nie gdzieindziej, tylko we własnej ojczyźnie. Jak w mycie o Herze Armeńczyku w *Rzeczypospolitej* Platona, duchy te po oczyszczeniu się z win dokonywują wyboru swoich nowych dróg życiowych, odrodzone,

gdy na wyższe się duchy przetworzą,
a jeszcze inne „zwolone“ są od powrotu na ziemię i

te świecą wywyższone
tam, hen na innych światach —

Te właśnie wyższe „zwolone“ duchy sprowadzi ze sobą do Polski Chrystus zmartwychwstający, który poszle przed sobą „duchy żywe między żywe“ i to jest właściwe ich zmartwychwstanie. W ten sposób upada potęga śmierci, która zabiera ciała, podczas gdy wielkie postacie dziejowe mają zapewniony powrót do ojczyzny w potęgę ukochania i w wielkości dla dopełnienia misji, która wypływa tu ponownie ze wszystkich danych uprzednio. Tak wrócił do ojczyzny Konrad, odeszły ongiś duch Mickiewicza, dla dokonania owej walki ze śmiercią i melancholją duszy polskiej; walka ta musiała się rozegrać na Wawelu.

(Dokończenie nastąpi)

ROMAN KOŁONIECKI

DO ANTINOUSA

*Hadrjanowe miasta już w prochach,
nie ma piór Hadrjanowa Nike!
Antinousie! Byleś niewolnikiem,
bądź wieczny: ja-m cię, cesar, kochał.*

*

*Emalją lśni szeroki pierścień ogrodów,
w który — jak wielki opal — wprawilem swój pałac.
Wiatr połą szorstkiej opończy
morskich portów zgarnął tu słoność,
jodowem zdrowiem odetchnął z zachodu
i dzień tym oddechem zakończył;
taflę ciszy zmącił nim zieloną, —
moim głosem z dna się odezwała.*

*Liście zasypiających oliwek
dźwięczą lekko, jak fenickie szkło.
Z głębi drzew pohukują sowy
i oczu okrągłych stałą
kadłub nocy dziurawią ponury,
draż na strzępy niebo szczęśliwe,
co jak muszla wsysa mój głos
płynący obłokami do góry,
by po wiekach wiekom oddać ten dialog,
ten psalm jednogłosowy:*

*O, spętany jedwabiem i mrokiem
uciec muszę z kalendarza imion,*

z pośród rzeczy obnażanych słowami!
 Twa obecność — łaska ogromna
 od wszystkiego co piękniejsze niż ziemia
 odgradzała ironją ciemności,
 jak zasłoną wodospadu olbrzymią.
 Dotąd codzień w drzwiach moich komnat
 wygladałaś fałdy nocom czułości,
 twoja lutnia lkała u mych okien,
 mówiąc prawie twojemi ustami.
 Czemu dziś ciebie przy mnie niema?

Chłopcze, o ty, ty — trudny jak prostota,
 ty, nieosiągalny — jak sen bez zgonu,
 o klejnocie mych złotych Aten!
 Wyjdź z purpury rześzystych kotar,
 z poza stopni cesarskiego tronu!
 Tylko ty, ty jeden umiesz rozciąć
 ten z porfiru wyrąbany kloc
 swą wzmagającą się nagością,
 i uśmiechem zwielokrotnić noc
 i być Rzymem, czyli całym światem!...

Szum przezrocze liście rozkołysał,
 w atrium szczęk — to pretorjańska zbroja
 z twardych, cienkich, melodyjnych blach;
 więcej nic, nic dokoła nie słysząc...
 Księżyc w oknie jak czaszka łysa:
 kolumn rzędy zatańczyły ze swym cieniem —
 modra z srebrną, liljowa z białą,
 zachybotał się nade mną nagle gmach.
 Tylko gwiazdy? Może szczury na strychach?...
 Może już bosa stopa twoja? —
 Głód mnie zwałił na twoje ciało,
 jak pień dębu wydrażony płomieniem!

Tęskniłem, och! tęskniłem stale...
 Tęskniłem w każdą noc złowieszczą,
 w magji zjaw i księżycowych wróżb
 (łóże stało drapieżników wycie),
 za twą klęską, wspanialszą od mych zwycięstw,

Olimpijczyku pieszczot
 oplątany koronami z róż,
 które teraz oddech mój pali!
 Leżę w pachnącym popiele,
 a pode mną nocka twa młodzieńcza.
 Całuję na twojem ciele
 szarfy woni: ślady po wieńcach.

Tul się, tul do granitów chropawych,
 do mych piersi i do mych ud
 swą młodością szerokoramienną,
 swoim ciałem z muzyki i z mięśniów!
 Ta pierś szarpana maziem, podróżami
 z północy na południe i na wschód
 przez wielkie państwo sławy,
 będące już pustoszącą sceną —
 dla ciebie ma najtkliwszą męską czułość,
 jak puklerz nad słodkimi twymi snami.

Uda, twarde od skórzanych siodeł,
 co sprężyły, jak rzemienne popręgi,
 grzbiety koni najwaleczniejszych,
 ścisnę mocno na łuku twych bioder
 kleszczami żelaznej potęgi,
 aż wywichnę wiotkie ciało, aż zaboli,
 i cały się w ciebie wwiercę,
 łaknącego kobiecych źrenic nieba —
 o niewolniku, pyszniejszy
 nad wolność mą i nad cesarskie serce,
 miłujące bityńskiego efeba
 chyba jak białe marmury Akropolu
 i jak żagle wojennej nawy białe
 i jak orły ojczyste na tarczach.

Nie nakryję cię cesarskim ciałem,
 zwiększonego, męźniejszego o mrok,
 panującego nade mną siłą czaru —
 bo go na ciebie nie starcza.
 Czas wyprzedza mnie o jeden krok:
 o twój krok, gdy odchodzisz wśród drzew

*aleją długą jak życie
i kiedy słyszę twój śpiew,
jaśniejący — jak obłok o świetle
i gasnący — jak aureola cesarów.*

*

*Już nie wrócisz nigdy, mój miły!...
Z pod szczeciny egipskich zbóż
słyszę zgrzyt nienasyconych paszcz
i o niczem nie mogę zapomnieć.
Czerwone fale cię zakryły
jeszcze piękniej, niż cesarski płaszcz,
lodowaty jak niebo chmurne.
Połknął cię przybierający Nil,
twoją śmiercią nadział trzewia krokodyla...*

*Rozkazałem żelaznym żołnierzom
odrutować traktami wszcz i wdluż
glob — glinianą twych popiołów urnę.
W śpiesznych marszach z wojskiem zewsząd do mnie
czaszki świątyń twych kły kolumn szczerzą,
a u każdej drogi jest ich tyle,
ile serc rzymski miecz ukoił,
ile miłość nanizala chwil,
ciężkich pereł, na pajęczą nić.
Sam bóg, wieczność zakłął w mej zbroi,
lecz dziś, — wiesz, — i bogowie nie chcą żyć.*

JERZY LIEBERT

W GOŚCINIE U GENERAŁA

WSPOMNIENIE

Najprzód pęd zbliżającego się statku załaskocze biegnącą naprzeciw fale, później dziób statku rozetnie ją bez najmniejszego trudu, rozpołowi i odda bokom. Te ją najpierw odepchną, później przyciągną, aż wreszcie uderzą w nią swojemi kołami, będą biły, póki biała pianka, poderwana lekkim wiatrem, nie spadnie nam na twarze.

Dzień lipcowy, płyniemy w górę Wisły, zdaleka na wzniesieniu zasłonięty do połowy stromością brzegu, połamany w słońcu i Wiśle — Solec. Mijamy wielkie, wydęte żółte płachty łąch, zakręcamy na prawo, lądujemy. Solec wciąż jeszcze daleko, teraz zupełnie ukryty. Po desce wyrzuconej ze statku schodzimy powoli, jak objuczone zwierzęta, na twardy kamienny brzeg. Ostatni przystanek przed Solcem — jakaś dziura, której nazwę pamięta się tylko do chwili przyjazdu. Parę furmanek, paru Żydów zawsze jednakowych i tak podobnych, że podejrzewałem, iż biegli ciągle wzdłuż brzegu, by nam na każdym przystanku przypominać kwestję mniejszości. Wyładowują jakąś szafę lustrzaną, ładują worki, raz po raz któryś zamoczy chałat w Wiśle.

Za parę chwil jesteśmy już poza tem wszystkim, wracamy wzdłuż brzegu, wolno, pytamy o majątek generała. Prosto, ciągle wzdłuż brzegu, później na lewo, a tam już droga jak strzeł. Gorąco. Przy każdym poruszeniu obejmuje nam muskuły, błyszczy już kropelkami potu na skórze. Żar się wzmaga, jakby się cały lipiec specjalnie na to popołudnie wysilił. Stopy, wznoszące się i opadające miarowo, znaczą lekkie ślady na mokrym piasku; czasami uskakujemy w bok — na kamień, jeśli się zdarzy, bo Wisła się tu fałą jak łokciem często rozpycha. Skręcamy na lewo, droga jest naprawdę, więc czujemy wszyscy, że teraz trzeba już iść zupełnie porządnie. Plecy spalone na plaży w Kazimierzu dokuczają coraz bardziej pod ciężarem plecaków. Ale już po kwadransie prawidłowego marszu nic się nie czuje. Bolać

przestrzeń między ciałem a plecakiem dziwnie się ugniotła, słuchamy tylko uważnie, jak pasy na ramionach coś mruczą, pilnujemy, by ta muzyka była wciąż jednostajna, bo gdy — nie daj Boże — podskoczy który, a raczej wyprostuje się należycie, już pas mruczy inaczej, a pusta przestrzeń wciera mu się w plecy całym ciężarem przebytej drogi. Znow się trzeba przez dobry kawał czasu przykładać, giąć, prostować, ręce pod plecak wsuwać — aż do zupełnej rezygnacji. Plecak — bydlę dostojne, wypchane, ubite, połyskuje w słońcu aluminiowym naczyniem — ten zielony garb rozkoszy na każdym wypoczynku. Możemy wtedy posuwać go nogą, przyciskać kolanami, rozpinąć i zapinać: leży bezsilny, póki nam znowu na plecy nie wskoczy.

Idziemy już dość długo. W gorącym powietrzu, w ciągłym napięciu — myśli uciekają z głowy. Zostanie jedna lub dwie, z temi się idzie, rozważa, analizuje, dwie jakieś głupie myśli, które normalnie małą mają wagę. Teraz wkłada się w nie całą swoją istotę. Wkońcu wrażenie, że stoimy w miejscu. a droga, drzewa maszerują za nas.

Stajemy naprawdę. Droga wyciąga ramiona na prawo, na lewo. Którędy iść? Obydwie drogi idą prosto. Zdejmujemy plecaki i delikatnie obciążamy sfałdowaną, pomietą, zgniecioną materję koszuli na plecach. Wiatr jak plaster kojący układa się na skórze czerwonej, nabrzmiałej, wytatuowanej przez nacisk plecaka. Jest to chyba największa, bo najpierwsza rozkosz wypoczynku. Dalej, to już się odbywa normalnie. Stefan kładzie się na brzuchu, wyciąga *Psalterz Dawidowy* lub *Naśladowanie*. Pomimo zmęczenia skupia się bardzo prędko, rysy mu szlachetnieją. Zasiiek zdejmuje buty, kręci się chwilkę, później zakłada nogi na pagórku i tak, głową wdół, leży spocony pod drzewem. Ja palę papierosa, prędko, łapczywie wypuszczam dym w niebo. Leżymy cicho, zezem trącając Wisłę oddaloną już, nakrytą drzewami. Lipiec w górze, lipiec na dole, piec rozżarzony, wielki, aż gdzieś na zachodzie za-trzaśnięty widnokregiem.

Wybieramy drogę na prawo, która zwolna zaczyna się piąć w górę, przeskakuje mostek i znow się rozdziela. Idziemy wciąż na prawo. Dwór musi być gdzieś niedaleko, bo piasku już rzadko, ziemia ciemna wyłazi po bokach drogi. Widać pola kartofli, zboże, co tu chyba na upór rośnie. Jeszcze chwil parę i jesteśmy przy łące dużej, w którą się bagno klinem ostrym wcisnęło bezkarnie, bo ma za sobą, choć dość daleko — Wisłę.

Licha musi być ta dzierzawa rządowa, myślimy sobie, a to mniemanie zostało przy nas do dzisiaj. Sadza się tutaj generała, zakopuje generalskie szlify w tym kącie, jakby miała z tego jakaś okazowa pszenica się obrodzić. Można przypuszczać, że taki generał — to człek niebezpieczny i że go tu na obłaskawienie sprowadzili. A może nietylko niebezpieczny, ile że już nie przed-

stawia żadnej pozycji w bilansach kalkulacyjnych na ulicy Nowowiejskiej czy w Belwederze.

Stajemy przed jego dworkiem. Domek biały, tyłem do nas obrócony na górze. Cicho, nie widać nikogo. Niedaleko wieś i żóraw studzienny. Stefan, który zna generała, rusza ku dworowi — jeszcze na tę górkę musi wejść. Gdy się już przyszło i tylko czeka na gospodarza, leżąc przed domem — wie się już to najważniejsze. Nie przyszlśmy na żadną wizytę — przyszlśmy na zarcie i na spanie. Ktoby myślał o wizycie! Czas mija. Dzielimy się z Zaśkiem głupimi uwagami w rodzaju: wyleje go na mordę, lub: — pewno się już obżera, ale za chwilę widać Stefana bez plecaka, a za nim rysuje się wysoka i smukła sylweta pana generała. Powitanie krótkie, żołnierskie. Pan generał coś mówi, że żona wyjechała — ale cóż nas może obchodzić żona. Zjemy bez żony kwaśne mleko z kartoflami, zawsze i jakie takie wygody, bo to panowie wiedzą — rządowa dzierżawa. Wiemy, a jakże, wiemy.

Tak sobie nawzajem te proste rzeczy tłumaczymy, aż pan generał ramionami nas opasał i już tak pod jego majestatem włączmy na tę ostatnią górkę. Wychodzimy przed front domu. Pod lipą, wysoką, rozłożystą, wonną — stół z białym obrusem, przy stole towarzystwo. Widać — obiad. Rozmowa cichnie, głowy się ku nam obracają. A my, zarumienione, zawstyżone łamagi w krótkich spodenkach, brudne i zakurzone, idziemy prędko pod białymi filarkami domu, przechodzimy dalej do jakiegoś domostwa, którego drzwi zamknięte są na klucz. Pan generał woła o klucze, kluczy niema, wreszcie jesteśmy już w pokoiku rządcy tej rządowej dzierżawy. Pan generał mówi: — Tu jest miednica, woda, mydło, ręcznik (okazuje się, że trzeba go poszukać). Na tem łóżku możecie się przespać, a jeśli chcecie, to na stogu, siano świeże. Wszystko to prymitywnie, bo to, widzicie panowie, rządowa dzierżawa, etc. Jak się wymyjecie — proszę do stołu.

Pan generał nas opuszcza. Zaczyna się mycie, czyszczenie butów, czesanie włosów — bezładnie, jedna robota wpada w drugą. Ordynans pana generała, młody chłopak, stanął i patrzy. Myję twarz — patrzy. Czeszę włosy — patrzy. Wziąłem szczotkę: czyszczę buty — a ten, uśmiechnięty, dalej się gapi. Jesteśmy gotowi, odświeżeni, pewni siebie — można iść. Tą samą drogą wędrujemy pod lipę. Tam już tylko dwie osoby, nakrycia zebrane, nawet serwety niema. Gorzej, — myślimy sobie. Przecież zapraszał na kwaśne mleko. Widzimy profil pana posła D., profil jakby wycięty z kartonu. Profil zwraca się ku nam. Następuje zawarcie znajomości. Również krótkie i urywane.

Pan generał jest w alpakowej kurtce i długich spodniach; krawat, luźno uwiązany i nie przypięty, wyskakuje często na wierzch. Półbuciki mocno zniszczone, sznurowadła wiszą sobie leniwie, nawet supła niema. Pan gene-

rał pociera dłonią dobrze już siwiejącą czupryną i usadawia nas na gabinetowych wypłatanych fotelach. Siedzimy przy stole. Znacie wszyscy te stoły, ustawiane latem w ogrodzie pod cieniami drzew. Zawsze jakiś koślawy, wyższy z jednej strony, dygający przykrótką nogą, niewygodny, strasznie niewygodny. Siedzimy przy takim stole, nic na nim niema, prócz bochenka chleba i ciemnego miodu, przykrytych kawałkiem muślinu. Zjadłoby się i ten chleb, ale trzeba czekać, bo chyba lepsze rzeczy dadzą. Mówimy o majątku, o pobliskich miejscowościach, pan generał doradza, by zwiedzić Solec i Piotrów, potakujemy, ale się przecież wie, że co innego iść, a co innego robić plany przy stole.

Lipa szumi nad głową, pachnie słodkim snem odpoczynku. Nic już nie mówię, tylko patrzę na usta pana generała i słucham, jak rozwija okresy mowy, zakończone bezapelacyjną etceterą. Powie — nie powie, myślę na początku każdego jego zdania. I przypominam sobie, jak w szkole notowałem ołówkiem na ćwiartce papieru, ile razy nam ksiądz prefekt wygrzmacał swoje „poprostu“.

— A pan pisze, poeta, — pyta pan generał. — Tak, troszkę, — odpowiadam i czuję, że się z tego robi cała dyskusja, która lepiejby szła już po obiedzie. — W *Skamandrze* — a, to jest u mnie w domu, musiałem pana czytać. — Nie wiem, nie wiem, panie generale, — i muszę raz jeszcze przedstawić się, już teraz bez podania ręki i w pozycji siedzącej. — To zdolni poeci, ten *Skamander* — tam jest jeden, bardzo dobrze pisał o bitwie.

Podsuwam panu generałowi *Polonez artyleryjski* Lechonia. — Nie, tego to pamiętam — za dużo w tem literatury.

Kołujemy więc chwil dobrych parę, rzucam nazwiska poetów legionowych, które znam, ale wszystko nie to. — On pisywał w *Skamandrze*. — Oczywiście, chodzi o Małaczewskiego, o jego świegot kul i symfonję armat.

I w całej pełni rozwija się dyskusja na temat najmłodszej poezji. Pan generał zna ten temat dość pobieżnie; czasem tylko, już w czasie rozmowy, trafiamy na coś głębszego. Gwałtownie chcemy dotrzeć do jakiegoś syntetycznego ujęcia całej sprawy, pan poseł wcale głosu nie zabiera, wiersze muszą być mu dalekie. Więc: społeczne walory poezji, techniczna dziedzina a sztuka, i t. d. Wreszcie wniosek, że dzisiejsza literatura jest tylko nawozem pod lepsze czasy, lepszych poetów, lepszych ludzi.

Uśmiechnięty ordynans pana generała stawia na stole koszyk malin, przed chwilą widocznie zerwanych. — Jeśli to miał być deser, to się grubo z obiadem spóźnili, — myślimy i delikatnie zaczynamy skubać malinę po malinie. Pełno w tym koszyku listków małych, małych liszek zielonych. Biorę w palce malinę, patrzę jak na dnie kropla rubinowa się rozlała — wkładam do ust. I tak coraz prędzej. A i pan generał zaczął podskubywać maliny,

a rozmowę ktoś z nas nieopatrznie skierował na Żeromskiego. Panu generałowi nie podoba się Żeromski. Więc się jeszcze trzeba wyklócać o Żeromskiego, nim się obiad dostanie. — Styl ma piękny, ale o czym on wciąż pisze... — I pan generał zachnął się i na *Popioły*, i na *Dumę o hetmanie*, i na *Dzieje grzechu*.

— Albo też *Przedwiośnie*. Czy on, w gruncie rzeczy, coś powiedział wyraźnie? — Więc trzech katolików praktykujących musi bronić, jak umie, Żeromskiego przed panem generałem.

— A te erotyczne historie — to mówię panom z praktyki, coś się na tem znam, zupełnie to inaczej wygląda naprawdę, niż on o tem pisze.

Żeromski i pan generał znają się na tem niewątpliwie. Który z nich ma rację? — Niech się o to kłóć, jeśli warto. Przypominam sobie Kadena, który tak ceni erotyzm Żeromskiego. Więc między malinami znalazł się i Kaden. Pan generał zna Kadena, ale czy go czytał — o tem się nie dowiedzieliśmy.

Lipa szumi słodko i już mi senność stawia w oczy lejki, takie niby niewinne a tak groźne, że nim się obejrzysz, już cię sen zaleje. Więc się podnoszę i chłopcy się podnoszą; widać, żeśmy wszyscy zrezygnowali z jedzenia. — No, więc my, panie generale, pójdziemy się teraz wykapać. Ale pan generał nas nie puścił, a wesoły ordynans przyniósł wreszcie zsiadłe mleko i kartofle ze słoniną, a zawsze stawał przed panem generałem na baczność. I my jemy na baczność, nic nie mówiąc. Dopiero przy cielecinie z kłuskami zaczął Stefan elokwentnie razem z panem posłem regulować koryto Wisły, rozwijać handel i naprawiać stosunki społeczne.

Pan poseł musi być człowiekiem twardym, trochę w nim z fanatyka dobrze wychowanego. Myśli kulturalnie i w głowie ma większy porządek, niż pan generał. Ambicje czy wiecowania dobrze mu muskuły twarzy zarysowały. Patrzę na tych dwóch ludzi. Są w dużej przyjaźni. Wspólnym mianownikiem mogło być dla nich coś rogatego — tylko ta bestja rogata dobrze się w panu pośle przyczaiła, trzyma ją na pasku, a u pana generała już sobie popłakuje, już jej rogi i zęby wybito. Zostały stare przyzwyczajenia — służba dobrze wytresowana — i taki materializm trochę w ducha ubrany, podparty sentymentem, opłacony romantyzmem, coś niby kurhan teozoficzny. Z tego kurhanu już się umarli nie podniosą i Polski budować nie pójdą. Lipa szumi nad kurhanem, a ordynans stanie przed nim na baczność. Życie już się tu skończyło, gdy podpisywano traktat ryski. Siedzi sobie teraz cicho pan generał na wsi i rzutuje myśli na różne płaszczyzny życia, a w piersiach jak rtęć biega kropla goryczy i zawodu.

Patrzę na czarne jagody, które się pod naciskiem łyżki z pieroga biorą, obracam je w śmietanie, słucham co mówi pan poseł o Francji: pan poseł

ma swoją koncepcję. Francuzi wszyscy są nietrzeźwi. Są oni półpijani. Między nimi a rzeczywistością płynie wino. Butelka wina co dnia sprawia, że Francja żyje w oszołomieniu. Francja jest zatruta. We Francji rewolucji nie będzie. Pozycja społeczna przeciętnego obywatela, to fotel. A ktoś się z takiego fotelu zerwie? Ale Francja może zasnąć. By nie zasnęła, postarają się o to inne narody. Polacy czy inni pożyczą jej swojej krwi, zmieszają z tem winem, co im w żyłach płynie, odświeżą Francję. Rasa rasę podeprze.

Pan poseł mówi tak, jakby chodziło o zwykły zastrzyk.

Częstuję go papierosem. Pan poseł nie pali. Palił kiedyś — teraz musiałby specjalnie chyba tytoń sprowadzać. Sam dym pochłaniałby pensję. Więc sobie powiedział — koniec. Siedzi czerwony, bo rano się kąpał i na piasku słońce go dopadło. Widzę, że czuje się niewyraźnie; czuję, że jego godność pod wieczór gorączka rozłoży z pewnością. Jeszcze pan generał wystrzelił w stronę Sulejówka, chcąc pana posła zirytować, ale mu już nikt nie odpowiedział, bo przyszły do stołu córeczki pana generała. Stały przed łatusiem na baczność według regulaminu, a nam podały ręce — jakoś bardzo niepewnie, bardzo wstydliwie. Jedna starsza, kilkunastoletnia, niby matkę zastępuje — rysy twarzy ma ładne, ale zaćmione jakimś smutkiem, który tu na całym domu się rozkłada, osiada na ludziach, staje pod białym dworkiem. Druga — młodziutkie stworzonko, też jakieś zahukane, przybite — widać, że w jej dzieciństwie już się jakieś myśli trudne, nieproste wkraśli, że to nieszczęście, które nawiedziło dom pana generała, i jej drogę zastąpiło. Starsza wcale się nie uśmiecha, patrzy przed siebie tak skupiona, jakby na jej ciemnej główce leżały wszystkie kłopoty pana generała, jego żony i chorego braciszka. Na uwagę ojca zbiera ze stołu talerze i znika pod filarkami. Czekam jej powrotu, ale pod filarkami nikt się nie porusza. Jest tutaj jeszcze jedna dziewczynka, małeńka córeczka pana posła. Ta się nami nie krępuje, mówi głośno, uśmiecha się na wszystkie strony. Jej dojrzała zalotność i gadatliwość szumi i dzwoni pod lipą.

Siada taki ul niespokojny koło mnie, kładzie mi główkę na ramieniu i pyta: — Czy pan bardzo kocha dzieci? — Młodsza córeczka pana generała patrzy na nią z wyrzutem i pewno się dziwi, jest zafrasowana, że jej przyjaciółka taka nietaktowna.

Pan poseł wstaje, idzie się przespać, córeczka zrywa się za nim. Zostajemy sami z panem generałem. Dobrze już popołudnie siedzi wśród drzew i niebo ku zachodowi przyciąga.

Trzeba iść na Wisłę. Pytamy pana generała, gdzie tu brzeg piaszczysty, i ruszamy ku Wiśle — prostopadle od dworu, poprzez łąki i miedze, aż do zielonych nadbrzeżnych zagajników. Bez plecaków idzie się dobrze. Można

iść jak na zwykłej przechadzce, przystawać, obracać się. Słońce przestaje być wrogiem, droga może się dłużyć. Jesteśmy już wśród drzew, jakaś dróżka wyskakuje pod nogami, więc się jej trzymamy. Brzeg jednak dobrze zarósł. Mija kwadrans, nim Wisła błysnie, ale kąpać się tu nieposób. Brzeg urwisty, piasku niema, woda ocieniona — jakiś wilgotny chłód. Stefan się jednak rozbiera. Idziemy z Zaśkiem wzdłuż brzegu, wiem, że tu gdzieś muszą być piaski, łąchy szerokie, mielizny ryże — ten widok ze statku. Zaglądam Wiśle w rękaw, rozchylając sitowia. Rękaw dobrze skrojony, wygodny, obszerny. Leży w nim Wisła jak ułał. Czy się skrzywi, czy sprostuje, już w nim musi chodzić, może aż do swego końca. Są piaski. Wołam na Stefana. Idzie wśród zarośli nagi, stawia nogi jak tanecznica, delikatnie, ostrożnie, w płas jakiś egzotyczny wprawiają go pokrzywy, których tu pełno.

Przeskakujemy rów, błoto ciemne, pachnące wilgocią, muł skiśnięty, pięknie zmarszczony — i już jesteśmy na plaży. Teraz płynie Wisła na naszej dłoni, można ją dobrze obejrzeć. Piasek wszędzie mokry, ale kawałek suchego miejsca pod ubranie zawsze się znajdzie. Zachód się pali, zachód nas grzeje, ale do pleców przypada chłodek, wiaterek nad każdą falą zawieszony, z każdą falą biegnący skądś, z góry rzeki z pod Sandomierza. Leżą na piasku ciężkie, obrzmiałe buty, kupki ubrań i trzy laski sterczą pionem. Łach tu aż trzy, przedzielone wodą, najdalej Wisła wysunięta — robi wrażenie wysepki.

Na brzegach takiej plaży piasek wodą przesiąknięty jak gąbka chwytą stopy, wciąga, łaskocze kostki. Płyniemy, zanurzając głowy. Druga łącha. Jeszcze jedna zatoka. Trzecia łącha. Woda dobra dla pleców, dla ramion, piersi, nóg. Stoję wyprostowany, ocieka po mnie, toczą się kropelki po ciele. Przechyliam głowę to w prawo, to w lewo, chcę uszy od wody uwolnić. Trzeba długo trzymać głowę schyloną i potrząsać nią, nim się doczeka tej chwili, gdy ciepła kropelka wymknie się z ucha i spływać pocznie wzdłuż policzka. Ale i wtedy nic nie słyszeć. Cisza. Wzdłuż brzegu tylko ktoś płynie, trzymając w dłoni wędzisko. Ruchem ręki tnę powietrze w dwóch kierunkach. Dwie styczne ocierają się o serce. Wracam na pierwszą łąkę. Wkładam ubranie. Zachód coraz bliższy, słońce stygnie. Stefan nie chce wyjść z wody.

Widzę ich, jak brodzą po kolana w rzece, jak wędrują jeszcze na trzecią łąkę. Są już tutaj. Ubierają się wolno. Wreszcie spięcie paska na brzuchu — możemy iść. Ale teraz zaczynamy błdzić. Nie chce nam się wracać wzdłuż brzegu do owej dróżki. Idziemy laskiem naprzelaj. Trafiamy na bagna. Zagradzają nam drogę mętne, czerniawe wody, porozlewane, w dołach zastygłe, pieczętowane zieloną rzesą. Odrzucają nas wtył. Wracamy, kręcimy — jest coś podobnego do dróżki. Ale i ta, wciąż na dół spadająca, zmienia się wreszcie w kałużę. Znów trzeba wracać. Idziemy, a każdy ma na końcu języka jakąś irytację. Czuję, że gdy jeszcze raz zawrócimy —

jeden zacznie drugiemu wymyślać. Pan generał prosił na siódmą. Już siódma dochodzi, a jeszcze droga przez pola i łąki trwa pół godziny.

Jesteśmy przed dworkiem. Stół nakryty już do kolacji, obok płonie ognisko, drewka piszcza, zwarty kład dymi, wpada w rój komarów, łamie go na chwilę, rozbija — ale już w innym miejscu słychać dzwonięcie: tam dym nie dosięga, tam się komary przeniosły. W świetle tego ogniska poznajemy nowe osoby — nauczycielkę córek pana generała, młodą pannę, i wychowawcę syna pana generała — młodego studenta. Wiemy ze Stefanem, że ci młodzi mają się ku sobie. Student jest rozkoszny, zalotny, ale skromny; chciałby, z jednej strony, swój poufały stosunek do owej panny na stół przed nami wyłożyć, jednak się trochę krępuje, więc tylko z pewną wyższością spogląda po nas.

Stefan, jak zawsze uprzejmy, nadskakujący, musi i teraz podtrzymywać rozmowę towarzyską. Zaczyna więc: — Pani wie, my podczas wybieczki, to mamy takie różne skróty, zdania, cały arsenał nowego słownictwa. Nn. „nad Puław szklany dach“, — albo — „o, jak pachną okrutne zioła“. Są również „momenty“, np. moment egzazeracji, moment żarcia, moment spania. — Panna, która chciałaby coś z tego zrozumieć, posępnije. Przypuszcza, że z niej kpią — więc rozmowa się urywa.

Syn pana generała, nieszczęśliwy młody chłopiec, kręci się wciąż koło ogniska. Chwyta rączkę swojej najmłodszej siostrzyczki i usiłuje nią dotknąć płomienia. Pan student usadawia go za stołem. Tymczasem zjawia się pan generał z rządcą. Rządca, jakiś wojskowy gość, mało nas obszedł. Podnosimy się z miejsc. Pan generał przedstawia: pan U....ski, pan Leibrecht, etc... Zasław etcetera patrzą na Jerzego LEIBRECHTA — nic nie mówią. Lampa naftowa pyka na stole i filuje pod lipą. Pana posła niema. Pan poseł ma gorączkę i leży. Jemy w milczeniu. Drewna zwęglone dogasają, ognisko filuje w ogród. W gęstej koronie lipy, w jej miodnem podszyciu ukryty jest poszum, ocieranie się listka o listek, listka o gwiazdę.

Dzieci po kolacji prędko się wynoszą, znika wojskowy gość, student pyta pana generała co z temi rybami, które rano wyłowiono. Jakaś wymijająca odpowiedź i student odchodzi. Wkońcu zostajemy we czwórkę. Rozmowa biegnie wzdłuż wypadków majowych. Pijemy herbatę i jemy pyszny, ciemny chleb wypieku gospodyni.

Pan generał jest pesymistą.

(Koniec fragmentu)

Fragment niniejszy wejdzie w skład utworów zebranych Jerzego Lieberta, których wydanie ukaże się w 2 tomach nakładem F. Hoesicka w Warszawie. Tom I obejmie wiersze, tom II — prozę, krytykę i przekłady.

ANNA DE NOAILLES

W I E R S Z E

DO NATURY

*O ty, na której sercu strop niebiosów wielki
Spoczywa! — Zali kiedy kto tak umiłuje
Jak ja — światło dni twoich, słodycz rzeczy wszelkich,
Wodę lśniącą i glebę, gdzie życie kielkuje?*

*Bardziej od spojrzeń ludzkich me oczy rozwarłe
Wzruszały twoje lasy, jeziora i błonia...
— Trwałam, o piękność świata miłośnie oparta,
Wonie wszystkich pór roku trzymając w swych dłoniach.*

*Nosiłam twoje słońca jak wieniec z promieni
Na mojem czole, pełnem dumy i prostoty —
Gry moje pracom były podobne jesieni
I szlochałam z miłości w ramionach lat złotych.*

*Przyszłam do ciebie ufnie jak dziecko i śmiało,
Rację ci w złem i dobrem przyznając na ślepo,
Mając za całe szczęście i za mądrość całą
Twojej duszy zwierzęcej niepojęty przepych.*

*Niby kwiat miodny, w którym pszczoły się panoszą,
Życie me rozlewało zapachy i pieśni...
Podałam ci swe serce jak wieśniaczy koszyk,
Pełen bujnego bluszczu i gałązek leśnych.*

*Jak fala, której drzewo swój obraz powierza,
Odbijałam tęsknoty, co w twych nocach płoną*

*I tłą się żarem w sercu człowieka i zwierząt,
Budząc słodki niepokój i żądzę stłumioną.*

— *Oto cię trzymam w moich ramionach drgającą
I złorzeczę tej chwili, kiedy wzrok mój zgaśnie
I pójdę w kraj, gdzie żaden wiatr liści nie trąca,
Którego słońce ani miłość nie rozjaśnia...*

PRYMARJA W WENECJI

*Pobożne Wenecjanki u Świętego Marka
Co rano wnoszą w niebo rozmodlone dłonie...
Ich ciemne, smutne szale wśród złożonych arkad
Są niby czarne maki w mistycznym wazonie.*

— *Krucyfiksie wspaniały, Bizantyjski Chryste,
Jakim miodem napoisz, jakimi lekami,
Te, co przyszły Ci odkryć swe serca ogniste,
Porzuciwszy okrągłe kosze z owocami?*

*Jeśli Ci tu przyniosły swą strwożoną miłość
I w grzesznej namiętności chcą Twego ratunku,
Jeśli ich dusze, które lato rozpałiło,
Błagają o rzeźwiący strumień pocałunków,*

*Cóż odpowiesz im na to, ich Boże i Panie?
— Tym, co wierzą, że Twoje spojrzenie łaskawe
Uśmiecha się życzliwie ich miłosnym łkaniom,
Sprzyja naiwnej skardze kwilących turkawek...*

*O, jakimby nie było ich grzeszne pragnienie
I męka, co Twe imię każe im wysławiać,
Złej urok na te ciała, zgięte w rozmodleniu!
— Ty wiesz, że tylko radość potrafi uzdrawiać...*

Przełożyła
HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA

JÓZEF TARGOWSKI

TRADYCJA I REWOLUCJA W ŻYCIU SPOŁECZNYM

W znaczeniu pojęć „tradycja“ i „rewolucja“ mieści się pozorna przeciwność; gdy je jednak bliżej zanalizować — szczególnie w rzucie historycznym, znajdziemy w nich niewątpliwie przyczynowy związek. Wydaje mi się, że w pojęciu tradycji mieści się pewien raczej ustabilizowany stan rzeczy, na który spoglądamy retrospektywnie, pewne scharmonizowanie czynników i elementów życia, które na danym okresie historycznym wycisnęły swoje piętno. Życie człowieczeństwa na świecie możnaby przyrównać do kotła wrzątku, gotującego się chwilami słabiej, chwilami silniej. Robiąc to porównanie, moglibyśmy powiedzieć, że stan wrzenia odpowiada natężeniu trwającej stale rewolucji form życia; osad czy stop, pozostający jako efekt wrzenia zmieszanych metali, stanowić będzie tego życia tradycję.

Gdy będziemy badali od najdawniejszych czasów ocenę wartości tego osadu tradycji, czy to przypominając sobie mityczny owidjuszowski złoty wiek, w którym ludzie *sponte sua sine lege fidei rectumque colebant*, czy też analizując wytworzone w różnych okresach systemy filozoficzne, z których największe stały się religiami i dotrwały do naszych czasów, czy wreszcie charakteryzując pewne formy obyczajów, jakie w różnych okresach powstały w mniej lub bardziej izolowanych ośrodkach życia ludzkiego — zawsze znajdziemy jeden i ten sam element, o którego *określenie i zapanowanie* zabiega ludzkość świadomie, częściej zaś — raczej podświadomie, — znajdziemy *normę moralną*, a raczej jej monizm. Równy z prawa swego pochodzenia i urodzenia człowiek walczy o równe prawa, o zapanowanie na świecie jednolitej, obowiązującej normy moralnej.

Walka o równouprawnienie człowieka, odszukiwanie jednolitej normy moralnej odbywa się ciągle i stale, bo leży na dnie sensu życia człowieczego. Natężenie elementów i każdorazowych warunków życia decyduje o formie

tej walki, decyduje o tem, czy przemiany form życia odbywają się na drodze ewolucyjnej czy rewolucyjnej. Trzeba przecież zauważyć, że rewolucja różni się od ewolucji jedynie tempem dokonywanych przeobrażeń i że zarówno jedna jak i druga może i musi być oceniana, lub też wartościowana jedynie tylko z tego punktu widzenia: czy zachowuje ciągłość tradycji, wyznaczającej kierunek aspiracyj człowieka i ludzkości. Zdaje się, że w istocie tej kultury, która powstała w basenie śródziemnomorskim, kierunek aspiracyj człowieka nie uległ od początku świata zmianie: jest nim dążenie do wolności. Dlatego też szczególnie dokonywujące się, czy wybuchające co czas jakiś rewolucje muszą być mierzone jedynym probierzem, mianowicie: czy, atakując formy życia, działają na rzecz pogłębienia i rozwinięcia równouprawnienia człowieka i jego wolności wyżycia się w ramach własnej zbiorowości, czy też możliwość tę niszczą. Ponieważ dążenie do wolności u człowieka nie da się zniszczyć, wyniknie stąd możliwość oceny trwałości i skutków każdej rewolucji, którą ludzkość przeżywa. Należy z dotychczasowego doświadczenia historii twierdzić, że żadna krócej czy dłużej trwająca tyranja form nie zabije w człowieku jego naturalnego i przyrodzonego dążenia do równości, t. j. do podporządkowywania się jednolitej, wszystkich jednakowo obowiązującej normie moralnej.

*

Okres historii ludzkości, który w obecnej chwili przeżywamy, jest logicznym wynikiem panującego w ostatnich wiekach na świecie pozytywizmu, dlatego też cechą tego okresu jest właśnie zatracenie monizmu normy moralnej. Bo wszak inne prawdy, inna norma moralna obowiązuje jednostkę, inna — grupę społeczną, a inna — państwo. Walka obecna, wywołana jako skutek panującego materializmu, jest wynikiem emulacji poszczególnych jednostek, grup społecznych, narodów czy też państw między sobą; cechuje ją, stale i wszędzie, agresywność. Chodzi tu bowiem o stworzenie faktów dokonanych, któreby pozwoliły zyskiwać na terenie swego posiadania i zdobywać największe atuty na okres przewidywanej stabilizacji stosunków.

Charakteryzująca epokę obecną walka, wynikająca — jak powiedzieliśmy — z panującego na świecie materializmu, znalazła swój korelatyw w idei demokratyzmu. Ma to miejsce szczególnie wtedy, gdy w formach ustrojowych t. zw. demokratyzmu parlamentarnego dąży się nie tylko do zafiksowania pewnego stanu zdobytego posiadania, ale również do utrzymania stosunków sprzyjających dalszej walce, dających możliwość dalszych zdobyczy. Znana już w dawnych okresach cywilizacyjnych forma ustroju demokratycznego — że wspomnimy tylko starożytną Grecję — nie dała

ludzkości poszukiwanego ideału pogodzenia form życia z istotą jego treści. Dlatego też uległa załamaniu. Zdając sobie z tego sprawę, przyjrzyjmy się bliżej procesowi, jaki się przez szereg ostatnich wieków naszej ery na świecie odbywa, i spróbujmy zanalizować jego sens. Zaznaczyć jednak trzeba na wstępie, że poruszać tu chcemy zagadnienia, wypływające i związane z tą formą i interpretacją kultury, która od najdawniejszych czasów powstała w basenie śródziemnomorskim i która stała się podstawą do wytworzenia cywilizacji rasy białej.

Na dnie tej kultury, może w przeciwieństwie do kultury powstałej w basenie Pacyfiku, istnieje instytucja niewolnictwa. To też wytworzyła ona w rasie białej typ człowieka niespokojnego, z przerośniętymi najczęściej ambicjami, szukającego za swą dawną nierówność — rewanzu. Ten typ człowieka usiłuje znaleźć rozwiązanie form ustrojowych życia zbiorowego, zarówno w Chaldei, w Egipcie, w Grecji, w Rzymie, wreszcie w innych krajach i narodach europejskich.

Spójrzmy na główne elementy procesów życia zbiorowego, które szuka rozwiązań w okresie ostatnich kilku wieków. W średniowieczu dobra materialne należały do pewnych, nielicznych zresztą jednostek na świecie, stanowiąc początkowo własność feodalnego władcy. Obok niego pojawiać się zaczyna powoli pojedynczy kapitalista-bankier, finansujący jego inwestycje i jego imprezy zdobyczne. W ten sposób kapitał, stanowiący *nervus rerum* odbywających się przemian życia, jest scalony w rękach niewielu ludzi, w rękach bardzo nieznacznej ilości jednostek, których porozumienie, walka lub indywidualna wola decydują o losach mas ludzkich. Wyłącznym zaś udziałem i atrybutem tych mas jest w różnych swoich formach i przejawach wykonywana praca. Postępująca stopniowo emancypacja człowieka, niszcząc panujące formy ustroju feodalnego, doprowadza do rozdrobnienia dóbr materialnych, które cienką warstwą zaczęły się rozkładać na szerokich masach społecznych. Kapitał został zdemokratyzowany. Masa ludzka walczy ustawicznie dalej o pomnożenie dóbr, celem podwyższenia standartu życia, a na tej drodze — do powiększenia produkcji i konsumpcji, słowem: do rozszerzenia obrotów. To rozszerzenie obrotów miało w słusznym zasadniczo założeniu stanowić o bogactwie i sile homogenicznego narodowo czy geograficznie zbiorowiska ludzkiego, jakim jest państwo. Dążeniu temu odpowiada zresztą całkowicie przyjęta forma ustroju państwowego, mianowicie demokracja parlamentarna.

Jeżeli jednak założenie przeprowadzenia tą drogą równouprawnienia ludzkiego było słuszne pod względem materialnym, to różnica wartości moralnych i intelektualnych u poszczególnych jednostek ludzkich założenie to poważnie wypaczyła. Nie rozumiejąca i nie mogąca zrozumieć i opanować

coraz bardziej komplikujących się przejawów życia masa ludzka dawała się kierować liderom politycznym, którzy często w mniej lub bardziej interesowny sposób, ideowo czy cynicznie, nieświadomie lub świadomie, zresztą zawsze z jednakowym skutkiem, przyczyniali się do podniesienia napięcia walki klas, warstw lub grup społecznych. Walki te w ostatecznej swojej formie wywołują zawsze najcięższe reperkusje na wspólnym dobru moralnym i materialnym, jakim jest państwo; to też państwo w ostatecznym rozrachunku wszystkie ciężary tych walk ponosić musi. Dawną samowolę jednostki z okresu feudalizmu usiłuje zastąpić samowola grupy czy klasy społecznej w ustroju demokracji parlamentarnej.

W międzyczasie warunki życia ludzkiego uległy głębokim przemianom i komplikacjom. Komplikacje te wynikły z najrozmaitszych narastających zjawisk. Najpierw mamy więc do czynienia z szybkim rozwojem techniki, a następnie (czy obok tego) — ze wzrostem długowieczności człowieka, oraz ze wzrostem zaludnienia na świecie. Jeżeli mówić o rozwoju techniki, to właśnie założenie podnoszenia standardu życia w okresie demokracji przyspieszyło znakomicie jej rozrost. Najbardziej uderzające wyniki dał nam rozwój techniki w dwóch kierunkach: po pierwsze, w dziedzinie wynalazków zmierzających do szybkiego powiększenia produkcji i zastępowania pracy ręcznej maszyną, po drugie zaś — w dziedzinie komunikacji, która znakomicie skróciła czas przenoszenia z jednego krańca świata na drugi nie tylko samego człowieka, ale i — co najważniejsze — produkowanych towarów. W wyniku tych zjawisk powstały najcięższe dylematy, a przede wszystkim konieczność pogodzenia dwóch organicznie ze sobą sprzecznych czynników, jak rozrost ludzkości i nieproporcjonalnie szybciej postępujący rozwój techniki, skutkiem czego maszyna zastępuje coraz bardziej pracę ludzką, a więc pozbawia dotychczasowych środków zarobkowania mnożącego się coraz liczniej człowieka. Zjawisko to w sposób szczególnie bolesny występuje w chwilach, kiedy rozwijające się napięcie walki społecznej i politycznej na świecie prowadzi w rezultacie do obniżenia konsumpcji, a więc i do zmniejszenia obrotów towarowych. Następnym dylematem niezmiernie trudnych do pogodzenia ze sobą zjawisk będzie usprawnienie i przyspieszenie środków komunikacyjnych, które godzi zasadniczo i podważa przyjęty dziś ze względów społecznych i politycznych system autarchicznej gospodarki państw, zmierzającej do samowystarczalności, a więc do pewnej izolacji w produkcji.

Najbardziej paradoksalny wydaje się fakt, że wszystkie te powyżej wymienione zjawiska wynikły właśnie z humanitaryzmu, względnie z tendencji zabezpieczenia stanu posiadania poszczególnych grup etnicznych, gdy tymczasem realizacja tych dążeń uderza właśnie w podstawy życia naro-

dów w chwili, kiedy forma ustroju społecznego budzi ideę kolektywizmu, a we wzajemnem ustosunkowaniu się grup etnicznych czy jednostek państwowych rodzi się znów idea uniwersalizmu. I tu widzimy właśnie katastrofalne konsekwencje zatracenia monizmu normy moralnej. Konsekwencje tego faktu objawiły się w tem, że — w imię zresztą najszczytniejszych hasel humanitaryzmu — wytoczony cały arsenał bojowy intelektu i przemysłowości ludzkiej ugodził właśnie w podstawy życia i dobra człowieczego.

Materjalizm sięgnął do wszystkich komórek i zagadnień życia, wtargnął nawet w istotę życia rodzinnego. Pogoń za dobrami materjalnemi stała się nieomal filozoficzną nadbudową społeczeństw, a pieniądź — celem, a nie środkiem do życia, więc niemal fetyszem cywilizacji. W skutkach tego powstała tezauryzacja i temsamem załamanie się istotnej roli, którą pieniądź jako miernik wartości miał spełniać. I znów nowy element chaosu.

Życie współczesne skomplikowało się tak bardzo, że znajdujący się w przedziwnym chaosie zjawisk przeciętny człowiek przestaje rozumieć ich sens: zjawiska te stają się w jego rękach często tem, czem jest miecz w ręku szalonego. A przecież na dnie prawie każdej normalnej istoty ludzkiej istnieje pożądanie dwóch rzeczy, które są miernikiem człowieczego zaufania do władzy, zaufania do form realizacji zbiorowego życia w państwie, to znaczy: *poczucia osobistego bezpieczeństwa i poczucia pewnej logiki i trwałości zjawisk*. Nic więc dziwnego, że właśnie w obecnych warunkach skomplikowania i skłócenia elementów bytowania na świecie często nawet podświadomie budzi się w myśli człowieczej poszukiwanie tego monizmu normy moralnej, któryby się wyrażał nazewnątrz chociażby monizmem odpowiedzialnej władzy. Nastąpił więc wpelni ten okres życia narodów, w którym dążenie do zdecydowanego opanowania skomplikowanych zjawisk wyłania zasadę jednoosobowego prymatu władzy. Jasnem jest, że rządzenie społeczeństwami — to właśnie rozwiązywanie całokształtu tych skomplikowanych zjawisk. Rozwiązywanie ich nie może być funkcją społeczności czy nawet wybranych ciał zbiorowych, ale jedynie zadaniem mającej pełne poczucie odpowiedzialności, autorytatywnej jednostki.

*

Powszechne poszukiwanie form ustrojowych przez poszczególne państwa czy narody pokrywa się w zasadzie całkowicie z podświadomą tendencją ludzkości odszukania zatraconego w chaosie i w wirze komplikujących się zagadnień materjalnych i społecznych monizmu norm moralnych. Chodzi więc o odnalezienie właściwego rytmu życia — tego rytmu, któryby pozwolił wyżyć się jednostce w sposób najmniej agresywny w stosunku do bliźniego. To wyżycie musi się odbywać w ramach tradycji, będącej wyrazem kreacji duchowej narodów. Na to, by tę nie tradycję utrzymać, by wza-

jemną agresywność jednostek pohamować — musi się w dzisiejszym okresie wzmocnić państwowość, musi się wykryształizować jej forma. Jednak nie może to być zrobione mechanicznie i szablonowo, gdyż mamy do czynienia z wielopostaciowością zagadnień życia, cechującą indywidualizm poszczególnych narodów.

W poczuciu potrzeby zreformowania dotychczasowego ustroju państw zrobiono już na świecie szereg prób. Mieszczą się one w biegunowych granicach usiłowań zmierzających do podtrzymania istoty materjalizmu, reformując tylko — i to w pewnym stopniu — demokratyzm parlamentarny, opierający się na zasadzie rozdrobnienia kapitału wśród mas, — albo też na biegunowym stanowisku systemu komunistycznego, który, odbierając dobra, równa materjalnie nic nie posiadającego człowieka, państwo natomiast robi jedynym właścicielem dóbr materjalnych. W granicach tych dwóch krańcowości znajdujemy cały szereg koncepcyj, opartych na większej lub mniejszej ingerencji państwa w reglamentowanie posiadania i obrotu dóbr materjalnych.

Niech wolno będzie nam twierdzić, że w tych ramach i w tej płaszczyźnie odbywające się próby uzdrowienia chorej cywilizacji śródziemnomorskiej nie dadzą pełnego wyniku i nie stworzą warunków, w którychby scharmonizowany rytm życia potrafił się na dłuższy okres czasu ustabilizować i wyprowadzić świat z tego katastrofalnego stanu, który wyraził się przyspieszeniem tempa życia kosztem przygłuszenia sumienia.

Należałoby więc pomyśleć o rozwiązaniu tego problemu i w innej płaszczyźnie, czy w innym przekroju, t. zn. starać się sięgnąć do skarbnicy moralnych czynników, które leżą na dnie naszej kultury śródziemnomorskiej, które są treścią systemu filozoficznego chrystjanizmu, gdyż poprzez wieki i różne katastrofy ludzkości przetrwał on w swoich najpiękniejszych ideałach opanowywania szkodzącego bliźniemu przerostu egoizmu jednostek. Fundamentalna i najpiękniejsza zasada miłości bliźniego mogłaby dać na drodze poszukiwania i ustalania form ustrojowych wyraźne wskazania co do nadrzędnej roli państwa, które powinno być zawsze regulatorem i najwyższym arbitrem we współżyciu jednostek, w godzeniu najczęściej powierchownie tylko sprzecznych interesów poszczególnych grup i warstw społecznych. Rozwinięta szeroko idea miłości bliźniego mogłaby nas wprowadzić właśnie na tory solidaryzmu społecznego; na to jednak wychowanie młodej generacji powinno być nastawione w kierunku niszczenia tej najohydniejszej formuły, jaka została wypowiedziana w okresie współczesnej cywilizacji: *aute-toi pour que je m'y mette*, formuły, nie będącej niczem innym, jak właśnie hasłem walki między jednostkami, między grupami społecznymi i między państwami.

Jeżeli w bieżącym stuleciu zasadnicze cele kapitalizmu liberalnego załamały się, czy też ulegają stopniowemu niszczeniu wskutek trwającej od 1914 r. rewolucji form życia, to należy specjalnie dziś myśleć o znalezieniu filozoficznej nadbudowy dla nowej rzeczywistości. Chodzić tu będzie przecież o nowe sformułowanie celów życia, zdolnych przywrócić i na dłużej zachować harmonję w międzyludzkich stosunkach. Ta nadbudowa filozofji społecznej winna stworzyć najtrwalsze podstawy dla nowych form ustrojowych państwa.

Państwo jest kreacją ducha ludzkiego, jest wyrazem duchowych aspiracyj narodu. Jeśli więc zechce się ustalać ustrój, któryby pozbawiał obywatela jego duchowej indywidualności, to wówczas instytucja państwa musi ulec osłabieniu. Osłabienie to wyniknie z faktu, że istnienie państwa, któreby na każdym kroku krępowało i męczyło obywatela, nie dając mu spokoju ducha, przestanie być uzasadnione, a konieczność ponoszenia — w imię jego teoretycznego utrzymania — wyłącznie ofiar stanie się dla obywatela niezrozumiała. Państwo nie jest nigdy oderwanym, samym w sobie, zamkniętym celem — i dlatego nie może na długą metę stawać się tyranem swego twórcy-obywatela. Dla kogóż bowiem wtenczas miałoby ono istnieć?

*

W tem, co powyżej powiedziałem, chodziło o zachowanie możliwie największego obiektywizmu w ocenie stosunków społecznych i powikłań psychicznych, jakie zapanowały ostatnio na świecie. Spróbujmy na zakończenie najkrócej naszkicować, jak na tle tych stosunków światowych zarysowuje się Polska, jakie są jej dążenia naturalne do unormowania rytmu życia człowieczego w zbiorowisku społecznem, którem jest państwo.

Przeżycia narodu polskiego były cokolwiek odmienne, niż przeżycia innych wielkich narodów świata. Utraciliśmy bowiem w imię i na rzecz cudzych interesów na jakiś czas niepodległość i wolność, może też dlatego nauczyliśmy się jeszcze bardziej ją cenić. Jedną z przyczyn utraty tej niepodległości był przerost samowoli jednostki, przerost samowoli pewnych grup społecznych. Dlatego też zarówno w stosunku do samowolnej jednostki, jak też później w stosunku do okupanta, rozwijał się w narodzie duch rewolucjonizmu. W przeciwieństwie do innych narodów, które nigdy w naszym położeniu się nie znalazły, tradycja i rewolucja w specyficzny sposób u nas się związały. Powstała tradycja rewolucji ustawicznej, ale *rewolucji raczej bezkrwawej* — rewolucji ducha człowieczego, szukającego dla siebie i dla innych wolności. Dlatego też niema może w XVIII i XIX stuleciu na świecie pola walki o wolność, na któremby nasi obywatele nie ginęli i nie bili się jedynie dla idei tej wolności.

W poszukiwaniu podstaw stabilizacji stosunków społecznych odróżniamy dwa, do sprzecznych zupełnie rezultatów prowadzące pojęcia: *samowolę jednostki, czy grupy społecznej*, ciążącą na reszcie obywateli i prowadzącą państwo wcześniej czy później na drogę rozkładu, oraz *wolność i swobodę* wyżywiania się każdego obywatela, ale wyżywiania się w sposób, któryby nie szkodził innym obywatelom i mieścił się w ramach wspólnego dobra, jakim jest państwo, nie narażając na szwank jego racji stanu.

Mówiliśmy poprzednio, że obecny przerost materjalizmu można usunąć drogą przywrócenia światu zatraconego monizmu normy moralnej. Odbywający się obecnie proces poszukiwania nowych form ustrojowych nie jest niczem innym, jak dążeniem do zdematerjalizowania świata. Nasze próby rozwiązywania ustroju nie idą ani po linii materjalnego nasycenia i zaspokojenia człowieka — w nadziei, że podnosząc standart swego życia, podniesie on w sobie i poziom moralny,—ani też po linii odmaterjalizowania społeczeństwa drogą odebrania mu na rzecz państwa wszystkich posiadanych dóbr materjalnych; nasze projekty ustrojowe usiłują wydobyć z obywatela najszlachetniejsze idee umiłowania wspólnego dobra, jakim jest upostaciowany w państwie żywy duch narodu, oraz zasady solidaryzmu społecznego, w którym uzewnętrznia się najlepiej wolność i równość wszystkich obywateli.

Wolność jednostki, jej dążenie do swobody musi się jednak skończyć w chwili, kiedy zaczyna powodować niewolę znajdującego się obok bliźniego. W przeciwnym bowiem razie nastąpić może walka — o niepewnym wyniku dla walczących stron, natomiast napewno szkodliwa dla interesu zbiorowości. Uniknąć jej, bez zbytniego hamowania szlachetnej emulacji produktywnych jednostek, możnaby tylko drogą głębokiego zakorzenienia w społeczeństwie umiłowania czynnika państwowego, jako nadrzędnego, wspólnego dobra wszystkich obywateli. Człowiek ze zdobytych praw i swych przywilejów, czy też osobistych ambicij niechętnie cokolwiek ustępuje na rzecz bliźniego, natomiast łatwiej może to uczynić na rzecz państwa, gdy się czuje pełnym jego obywatelem, gdy się poczuwa do współwłasności państwa. Wyrabianie więc tego poczucia współwłasności, tego przywiązania do państwa, jako wspólnego dobra wszystkich obywateli, musi leżeć w założeniu zdrowego i mocnego ustroju państwowego.

Na tej drodze myślenia znajdziemy konieczność podniesienia autorytetu państwowego, autorytetu władzy państwowej, która jest przecież regulatorem harmonijnego współżycia i współdziałania wszystkich jednostek, grup, warstw i interesów społecznych. Podniesiona w godności swej i sile moralnej zwierzchnia władza państwowa stanie się źródłem sprawiedliwego arbitrażu, zakreślającego granice wolności indywidualnych, rozstrzygającego

wszelkie spory między jednostkami czy grupami społecznymi, zanim mogłyby się one przerodzić w szkodliwą dla całości interesów państwowych agresywność czy walkę.

Wielki nasz poeta i filozof społeczny, Adam Mickiewicz, powiedział, że rządzić państwem, kierować losami narodu winien człowiek, który, gdy mówi, jest odpowiedzialny za człowieka, który działa. W chwilach tak wielkiego skomplikowania się zjawisk życia, jak obecne, nie rozumiejąca ich masa ludzka takiego właśnie człowieka poszukuje, by w zwątpieniu, rozterce, a często rozpaczcy oddać w jego ręce prymat władzy. Szczęśliwy jest naród, któremu w takich chwilach Opatrzność dała takiego człowieka. Szczególnie szczęśliwy jest wtedy, kiedy człowiek taki, będąc przykładem cnót obywatelskich, sprawuje władzę nie tylko materialnie, ile moralnie — kiedy, pozbawiony ambicji osobistych, wychowanie społeczeństwa i nadanie państwu najtrwalszych form egzystencji za jedyny ma obowiązek. Bo przecież jasnem jest, że rodzina, dynastia, zdobyte stanowisko mija, przechodzi, a jedynie idea pozostaje.

Istniała od najdawniejszych czasów w Polsce forma nobilitowania ludzi za zasługi położone na polu umacniania państwa. W naszym więc rozwiązaniu ustrojowem pragniemy sięgnąć do najdawniejszych tradycji narodu i stworzyć warunki, w których po drabinie czy piramidzie społecznej mogłyby się posuwać ku górze i pełnić odpowiedzialne funkcje władzy jednostki, umiejące najwięcej świadczyć wspólnemu dobru, jakim jest państwo, jednostki, których działanie nacechowane jest najszlachetniejszymi pobudkami moralnymi. Pozostawiamy wszystkim obywatelom jednakie i równe prawa maszerowania w górę po tej drobinie społecznej, ale chcemy, by państwem kierowała i rządziła elita społeczna, to jest właśnie ten *człowiek każdy*, który, gdy mówi, jest odpowiedzialny za człowieka, który działa *).

*) Artykuł niniejszy jest referatem, wygłoszonym na Kongresie Unji Intelektualnej w Budapeszcie w styczniu b. r.

SPRAWY POLSKIE

SPRAWA PROPAGANDY POLSKI W ANGLJI

1

W historii stosunków polsko-angielskich głębsze zamyślenia na ich temat, a także szersza płaszczyzna kontaktu duchowego, datują się dopiero od tych chwil, gdy naród polski został przez zaborców wyrzucony poza nawias politycznego życia Europy, a następne tego zmuszony był oglądać się za przyjaciółmi swej sprawy i zyskiwać sobie ich pomoc w walce o odzyskanie samodzielnego bytu.

Rozbiory Polski nie minęły bez echa na ziemi angielskiej. Wiadomość o nich dosięgła Wysp Brytyjskich w tym czasie, gdy właśnie kielkować tam zaczynała nowa ideologia społeczna i polityczna, przyniesiona wiejącym z nad Sekwany wiatrem rewolucyjnym; a padła na glebę żyzną, bo od wieków przesiąkniętą tradycjami rodzimych swobód obywatelskich. W sferze angielskich idei nie mogła nie znaleźć się sprawa politycznego gwałtu nad Polską, który był jawnem podeptaniem nowej doktryny wolnościowej.

W okresie porozbiorowym sympatja społeczeństwa angielskiego dla Polski, mimo że szczerza i żywa, nie wychodziła naogół poza ramy uczuć czysto platonicznych; towarzyszyła jej bowiem niewiara w możliwość odbudowy państwa polskiego. Wątpiono przede wszystkim w siłę polskiego ducha narodowego. Objawy sympatji nastrojone były melancholijnie, na widok narodu — zdawało się — na zawsze pogrzebanego. Znamienne było, wśród wielu innych, wypowiedzenie się tak szczeremu przyjacielowi Polski, jak John Bowring, wybitny bardzo erudyta i wydawca „Wzorów poetów polskich“ (z r. 1827), zamieszczone w przedmowie do tej pierwszej antologii polskiej w języku angielskim: „Dla Polski, po szeregu wieków wielkości narodowej, nie obecnie nie pozostaje, jak tylko pomniki jej dawnej chwały... Podniętą w pracy nad niniejszym zbiorem była mi melancholijna przyjemność, jaką odczuwamy zawsze w tych wypadkach, gdy uda się nam usunąć lub pomniejszyć brzemień cierpienia ludzkiego. Polska, jako naród, przepadła — zda się — na wieki... Ale Polska, mimo że zapomniana przez polityków i mężów stanu, ma słuszne prawo dopominać się o uwagę ze strony tych, którzy badają sprawy ducha, a nie terytorjów politycznych“.

Wiara Anglików w możliwość odrodzenia państwa polskiego wzmożła się nieco, gdy szcęk oręża listopadowego dał znak żywotności duszy polskiej. Jednakże wiadomość o nocy 15 sierpnia 1831 r. wiarę tę ponownie zachwiała. Wyczuwając nastroje sympatycznej Polsce opinii angielskiej, jeden z najlepszych znawców Anglii w owym czasie, emigrant Stanisław Koźmian, rodakom swym tłumaczył jej życzenia i przysyłał do kraju jej apel pod adresem narodu polskiego: „Duchem walczcie, bo ten niepożyty. Zmienne są powodzenia oręża; dziś zwycięzcy, jutro moglibyście znów ulec pod parciem trzech

zawistnych sąsiadów, tem głębiej rozjuszonych i spragnionych odwetu, im dotkliwiej byliby w boju upokorzonymi wyższością waszego męstwa. Walką ducha wytrącicie im broń z rąk, nie zawstydzając ich; siebie i ich zbawicie zarazem. A jeśli wśród tych mozolnych i przedłużających się trudów zabyłśnie pora dla was pomyślna i porywem gwałtowniejszym nad wszelką wstrzemięźliwość ludzką pociągnie was w krwawe z wrogiem zapasy, to i wtedy wasze zwycięstwo będzie o tyle prędszem i trwalszem, pomoc zaś przyjaznych wam ludów o tyle skwapliwsza, o ile wprzód pracą wewnętrzną przysposobicie siebie samych a przekonacie Europę, że naród wasz nie tylko odzyskać niepodległość, ale stale utrzymać ją zdoła“.

Z biegiem czasu, jednakowoż, sprawa polska coraz to mniejsze miejsce zajmować poczyniała w kręgu zainteresowań angielskich i z coraz to większą obojętnością patrzano na rosnącą w niewoli siłę polskiego ducha narodowego. Ostatecznie zapanował w Anglii nie tylko zupełny indyferentyzm w stosunku do Polski, lecz również bardzo przykra niewiedza o wszelkich jej sprawach.

W tej atmosferze powszechnej obojętności i ignorancji przyjęto w Anglii wiadomość o odbudowie państwa polskiego. Przyjęto ją nie tylko bez entuzjazmu (jak to mogło mieć miejsce przed stu laty), lecz nawet wśród objawów nietajonej niechęci. Bo wszedł w towarzystwo państw Europy intruz niewczesny — i to intruz, który głośno proklamował swą wielkość i swe pretensje mocarstwowe. Powoływał się wprawdzie na swe onegdajsze stanowisko w historii — lecz o tem dawno zapomniano. Opowiadał, czem jest i czem chce być w dniu obecnym — lecz temu nie wierzono. Potraktowany został w Anglii jako przybysz nikomu nieznany, a hałaśliwy i pretensjonalny.

Ten kontrast między ambicjami Polski a niewiedzą o niej i niewiarą w możliwość jej rozwoju, jako też rozpiętość między słowami a niewidocznym dla Anglika czynem polskim, zwłaszcza zaś czynem gospodarczym — stały się główną przyczyną niepopularności sprawy polskiej w Anglii w okresie powojennym. Wroga propaganda dopełniła miary.

W duszy każdego Anglika tkwi zasada oporu przeciw wszelkiej nierzeczywistości, tak w życiu praktycznym jak i w dziedzinie filozofji. Pragmatyzm angielski walczy z fikcją we wszystkich jej formach. I jak długo nie zostanie przełamane pojęcie angielskie o Polsce jako o fikcji, tak długo nie może być nadziei na jej zrozumienie i sprawiedliwą ocenę.

W swych „Rysach angielskiego charakteru“ zauważył Emerson: „Frazesem Anglików na lep nie weźmiesz. Potrzebny im jest plan, który działa, maszyna, która działa, konstytucja, która działa. To wszystko poddają oni próbie, przyglądają się wynikom próby; i te wyniki staną się dla nich miarodajnymi, lecz nie jakiekolwiek zgóry założone teorie“. Wszystko, co nie staje się czynem, nie ma wartości w oczach Anglika i nie może stanowić przedmiotu jego zainteresowania.

Czy jest więc celowe mówić Anglikowi o Polsce, jeśli on — nie widząc czynu — traktować to będzie jako pusty frazes, poza którym nie stoi żadna rzeczywistość? W dalszym zaś ciągu — czy jest celowe mówić Anglikowi o Polsce, jeśli, nawet po pragmatycznym stwierdzeniu jej rzeczywistości, skonstatuje on, że jej interesy nie idą po linii interesów Wielkiej Brytanji? Propaganda polska na terenie angielskim w pierwszej połowie ubiegłego stulecia miała pole znacznie wdzięczniejsze. By obudzić zainteresowanie Polską, apelowano wówczas do takiego instynktu, jak instynkt liberalizmu (bo każdy Anglik, bez względu na swe oficjalne credo o partyjne, jest liberałem w głębi swej natury), przeciwstawiając polskie ideały wolnościowe despotycznym tendencjom polityki carskiej. Apelowano również do imperjalnego instynktu samozachowawczego;

Rosja owych czasów budziła bowiem w Anglikach lęk nie tylko o los angielskich swobód obywatelskich, lecz i o całość granic Imperjum Brytyjskiego. W dniu dzisiejszym jednakowoż, gdy owe racje, jako jedyny punkt zaczepienia angielskiego egoizmu narodowego o sprawę polską, przestały ważyć i gdy Polska może być dla Anglików przedmiotem zainteresowania prawie wyłącznie teoretycznego — sposób podejścia do opinii angielskiej z propagandą na rzecz Polski stał się z konieczności znacznie trudniejszy.

2

W dziele owej propagandy mocną pozycję zajęła w dniu dzisiejszym wydana niedawno książka prof. Dyboskiego (*P o l a n d* by Roman Dyboski. Str. 443, London, 1933; w serji „The Modern World“ pod redakcją H. A. L. Fishera). Przychylnie usposabia ona Anglika w stosunku do Polski z tej przedewszystkiem przyczyny, że nie propaganda była naczelnym celem autora, lecz zadośćuczynienie prośbie wydawnictwa angielskiego, które przedsięwzięło publikację serji tomów o państwach współczesnych. Redaktor, H. A. L. Fisher, był ministrem oświaty, a przytem człowiekiem otoczonym wielkim szacunkiem w sferach naukowych, powierzył prof. Dyboskiemu wypełnienie luki polskiej w swym zamierzonym na szeroką skalę wydawnictwie. Fakt, że inicjatywa napisania książki wyszła nie z Polski, lecz z Anglii — i to ze strony sfer, zorientowanych nie w kierunku politycznym, a informacyjno-naukowym, przeciwdziałała tej nieufności i temu uprzedzeniu ze strony czytelników angielskich, które z natury rzeczy żywione bywają w stosunku do dzieł tendencyjnie propagandowych. Fakt ów, temsamem, pozwala mieć nadzieję, że mimo niechęci, z jaką Anglik odnosi się do wszystkiego, co nie jest potwierdzoną przez jego doświadczenie rzeczywistością (a tego rodzaju rzeczywistością Polska Anglikowi narazie nie wydaje się), na dobrą wiarę przyjęta przezeń zostanie treść książki prof. Dyboskiego.

Przychylna dyspozycja Anglika utwierdzi się w ciągu lektury. Jako głęboki i subtelny znawca Anglii, znalazł prof. Dyboski swoiste sposoby podejścia do psychiki angielskiej i zjednania sobie względów czytelnika. Znamienną metodą autora jest uwypuklanie tych pierwiastków życia polskiego, które nie omieszkają obudzić w Angliku sympatji i zainteresowania. Wymowną tego ilustracją jest, między innymi, przenikający książkę duch liberalizmu, najsilniej być może zaznaczony w rozdziale o sprawach gospodarczych, zwłaszcza zaś w jego zakończeniu. W tym samym sensie ujęte są rozdziały, traktujące o rozwoju i obecnym stanie stosunków społecznych (n. p. o sprawie ziemiaństwa, chłopstwa i reformy rolnej, które same przez się wywołują refleksje na podobny temat w odniesieniu do Anglii, przedewszystkiem zaś wewnętrznej polityki Lloyd George'a).

Jeśli zaś chodzi o zewnętrzną manjerę nawiązania stosunku z czytelnikiem angielskim, bardzo wielkim walorem książki, z punktu widzenia jej popularności, jest utrzymanie jej w tonie rezerwy, a na zasadzie jednego z najbardziej istotnych rysów angielskiej etykiety stylistycznej, tak zw. „understatement“ (wyraz ten dałby się, mniej więcej, przetłumaczyć jako „minorowość w wypowiedzaniu myśli“). Dowodem ogromnego znaczenia tej manjery jest znany fakt z historii twórczości conradowskiej, która w pierwszym swym okresie, to znaczy wówczas, gdy Conrad nie zdołał jeszcze w zupełności przyswoić sobie zasad angielskiej etykiety w sposobach wypowiedzania się, była dla Anglików obca, niezrozumiała, a często nawet odstręczająca. Późniejszą popularność zdobył sobie Conrad nie tylko dzięki rozwojowi swego talentu i pogłębieniu znajomości języka, lecz także asymilacji do manjer angielskich. Tę początkową wadę

Conrada trafnie zaobserwował jego biograf i znany powieściopisarz angielski, Hugh Walpole: „Częstokroć, we wcześniejszych książkach Conrada, styl jego wykazuje nie-miłą właściwość podnoszenia głosu. Poznać po tem pisarza, który ciągle jeszcze musi opanowywać trudności językowe. Nie różni się on pod tym względem od jakiegokolwiek obcokrajowca, który mowę swą zmienia na krzyk — w przekonaniu, że w ten sposób łatwiej go zrozumiemy“. Tą obcą dla Anglika i rażącą go manierą, właściwą Conradowi tylko w zaraniu jego twórczości, grzeszy przeważna ilość polskiej literatury propagandowej w Anglii, i tem w znacznej mierze tłumaczy się jej bezowocność. Wybitnie wśród niej wyróżnia się książka prof. Dyboskiego, ze względu na nieodzowną w obcowaniu z Anglikami asymilację do ich manier.

Dzięki rezerwie i umiarkowaniu w wykładzie faktów tem większej siły nabiera afirmacja rzeczywistości polskiej wobec Anglika. Przytem, nietylko o rzeczywistość dnia dzisiejszego chodzi autorowi, lecz i o perspektywę na przyszłość; dobór faktów i ich wykład dokonany został takim sposobem, by na podstawie przesłanek z teraźniejszości i przeszłości wzbudzić w umyśle angielskim wiarę w żywotność ducha polskiego i w dostateczną jego siłę dla celu dni przyszłych. Tego rodzaju synteza narzuca się częściowo po przeczytaniu każdej poszczególnej partji książki, pełny zaś wyraz znajduje w rozdziale końcowym „Poland's Position in the World of To-day and To-morrow“.

Z kart książki prof. Dyboskiego tchnie żywotność ducha polskiego w całej swojej mocy. To subtelne przesunięcie punktu ciężkości na stronę duchową, dokonane bez retoryki, a dzięki silnej, mimo że powściągliwej, wymowie faktów, jest jednym z innych, równie ważnych warunków pozyskania książce przychylności opinii angielskiej. Bo jakkolwiek Anglja jest osławionym krajem kramarzy, są to jednak kramarze, posiadający najgłębsze zrozumienie owych sił moralnych, które stanowią o wielkości jednostek i narodów, a dzięki którym rozbudowało się Imperjum Brytyjskie po wszystkich częściach świata; które sprawiły, że każdy kramarz angielski stał się prawdziwym *civis romanus*, że zaletami swego ducha potrafił zaimponować nawet kpiarzowi Wolterowi, że takim przedstawia się nadal oczom każdego obserwatora w dniu dzisiejszym. Rozumiejąc ważność tego czynnika, sto lat temu nawoływał Stanisław Koźmian rodaków swych, by ostrzyli oręż duchowy, któryby zwalczał wrogów, a zjednywał przyjaciół. Jakgdyby w odpowiedzi na onegdajsze słowa Koźmiana, przedstawił prof. Dyboski Anglikom dzieje owej walki, jej dotychczasowe zdobycze i ich znaczenie dla przyszłości.

Tak książce niniejszej, jak i szeregowi innych prac autora, przyświecała sentencja sallustjuszowska, kończąca jeden z jego londyńskich odczytów o Polsce: *Du s atque imperator vitae mortalium animus est.*

Tadeusz Grzebleniowski.

Z ŻYCIA ZAGRANICY

BILANS POLSKIEJ WIEDZY O FASZYZMIE

Gdy wiosną 1933 r. zwiedzałem „Wystawę rewolucji faszystowskiej“ w Rzymie, uderzył mnie fakt, że w dziale, gdzie zgromadzono zagraniczne publikacje o faszyźmie, brakło pokaźniejszej oryginalnej pracy polskiej. Sala bibliografii faszystowskiej rozbrzmiewa różnojęzycznym jazgotem tytułów. Istna Legja Cudzoziemska książek i broszur! Morze czarnych liter o czarnych koszulach. Przewijają się nagłówki angielskie, francuskie, niemieckie, hiszpańskie, norweskie, węgierskie, rumuńskie, czeskie, rosyjskie — wreszcie egzotyczne. Babel! Wyłapałem wkońcu napis polski. Potem z biedą drugi. Było to tłumaczenie jakiegoś obcego dzieła. Niewieleśmy dorzucili cegieł do tej wieży.

Kiedy nad Tybrem wiązano pęki różeg i zatykano w nie szerokie liktorskie topory, myśmy nad Wisłą byli zajęci organizacją własnego państwa. Nie mieliśmy czasu zajmować się cudzemi sprawami. Włochy były daleko. Oddalenie, szkodliwe jeśli idzie o realne zainteresowanie się problemem powstałym za siedmiu górami, przedstawia urodzajny grunt pod sny, pod nadobne zmyślenia poetyckie. W tym sensie faszyzm był egzotyką tematyczną dla naszej awangardy, którą nadto łączyła całkiem naturalnie z ziemią włoską macierzysta pępowina — naśladowanie futurystycznych wzorów. Pocięsty zowali i snobizowali się marszem czarnych koszul, zdobyciem Fiume, pieśniami i bojowymi okrzykami faszystowskimi. Eja, eja, alalà! — krzyczała, wspaniała zresztą stylistycznie, bakchanalja. Nie udało się przegnać tych bardów z ziemi włoskiej do Polski. Nie powiodło się ich Zwrotnic nastawić tak, by owe elektryczne pociągi poezji zadudniły na dworcach polskich. Powstanie Ojczyzny, zmagania się z bolszewikami, obawa, że konie Budiennego będą pojone w Wiśle, polska akcja Fiumeńska, t. j. zszycie polaci Wileńskiej z macierzą, a potem marsz Piłsudskiego na Warszawę i postawienie Polski na nogi, słowem: analogiczne wypadki ojczyste — nie natchnęły ani awangardy ani arjergardy. Tem się tłumaczyła obojętność publiczności polskiej dla polskiej awangardy.

Dziś faszyzm stał się nam geograficznie bliższy od czasu, gdy u zachodniego sąsiada zaczęła płonąć strzecha faszystowskim pożarem. Niemniej jednak ciągle zostaje on mitem, wierszem, ba! nawet manewrem opozycji i kleru.

Turystyka nasza do Włoch posiada tradycyjnie charakter estetyczny. Literaci, jadący do Rosji, bawią się w socjologów, polityków i ekonomistów, aż miło patrzeć. Naodwrot: filozof, inżynier czy dyplomata, skoro stanie we Włoszech, przedzierzga się w poetę. Wittlin (E t a p y) woli św. Franciszka niż Mussoliniego, czemu nikt się nie będzie dziwił. Podróżujący po Włoszech Iwaszkiewicz („Wiadomości Literackie“) nie wyłazi z galerij, kościołów i ruin. Okruchy nowej rzeczywistości społecznej rzadko zablakają

się w opisach podróży (Stanisław Kozicki: *Na Sycylii*. Warszawa, 1928). Wypadki odstawiania do granicy dziennikarzy, co nie chcieli poprzestać na opiewaniu wodospadu w Tivoli, zmroziły pióra.

Przy bilansowaniu polskiej wiedzy o faszyźmie nasuwają się następujące wnioski: 1) Ciekawe badania oryginalne polskie nad faszyzmem ześrodkowują się wokół spraw teoretycznych, prawniczo-ustrojowych i gospodarczych (Dr. Witold Krzyżanowski: *Polityka gospodarcza faszyzmu*. Biblioteka Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie; Ks. A. Szymański: *Mussolini i korporacyjna przebudowa Włoch*. Lublin, 1927; T. Dzieduszycki: *Teoria ruchu faszystowskiego i państwa syndykalistycznego*. Warszawa, 1927; Wł. L. Jaworski: *Ze studjów nad faszyzmem*. Kraków, 1928; Maciej Starzewski: *Ze studjów nad ustrojem faszystowskim*. Kraków, 1931 — i in.). 2) Nadwyżka tłumaczeń. 3) Zachwyty lub sąd ostateczny nad faszyzmem — jedno i drugie w średnim gatunku. 4) Brak u wydawców jasnej myśli przewodniej. Wydaje się to, co się nawinie pod rękę. Każda wiedza wymaga celowości i systematyczności wykładu. Tymczasem czytelnik polski został zdany na zupełnie przypadkowe wiadomości oraz na luki czasowe i treściowe w informacjach. Maciej Lorek, dobry popularyzator, nie znalazł w Polsce nakładcy i drukuje w Rzymie. Dzieła Gentilego i Volpego o faszyźmie dotarły do nas z paroletnim opóźnieniem.

Wprost przeciwnie, niż we Francji, my nie lubimy książek zaperzonych, apologij lub napaści. Wolimy prace przedmiotowe, krytyczne. Nie mamy powodu zachwycać się faszyzmem dla pięknych oczu Mussoliniego; nie mamy też powodu zgóry się uprzedzać. Chcemy znać prawdę i basta! Niektórzy pisarze, jak T. Dzieduszycki, martwią się, że zbyt trzeźwe głosy polskie zrażają faszystowski régime do Polski. Tak może mówić dyplomata, ale nie badacz. Takt za daleko posunięty, jeśli się zważy, że Włosi, zgrabniejsi dyplomaci niż Polacy, rąbali nam prawdę prosto w oczy, jak faszysta Curzio Suckert-Malaparte (por. „Wiadomości Literackie“ Nr. 433), lub wtrącali swe trzy grosze, nie wyznając się należycie w naszej racji stanu, jak antyfaszysta, minister spraw zagranicznych w ostatnim gabinecie Giolittiego, Carlo Sforza (por. *Europäische Diktaturen*. Berlin, 1933; roz. „Die polnische Diktatur“, 119 — 130). Niestety, nasza skłonność do obiektywności wyradzała się w obojętność, co pp. wydawcy wyzyskali dość po faszystowsku, jako dyktaturę wydawniczą. Czytelnik zawinił swą biernością. Dziełko Pernot'a *Z doświadczeń włoskich* w dziesiątą rocznicę wydania wypożyczyłem z Biblioteki Jagiellońskiej — nie rozcięte. Dopuszciliśmy też do tego, iż informowali nas urzędnicy konsulatów włoskich (A. Menotti Corvi, attaché handlowy poselstwa włoskiego, sławi zdobycze ekonomiczne faszyzmu: *Italia współczesna*. Warszawa, 1925. Jest on także autorem prop. broszury: *Pięćciolecie ery faszystowskiej*. Warszawa, 1928).

Szeroki ogół inteligencki wiedzę o faszyźmie czerpał głównie z rozprawy Bogdana Suchodolskiego *Dzisiejsza ideologia faszyzmu* („Pamiętnik Warszawski“, 1929) i z numeru „Przeglądu Współczesnego“, poświęconego faszyzmowi (1930 r.). Przefiltrowanie tych dwu źródeł wyjaśni omawianą sprawę. Krótko mówiąc, żmudnie wypracowany artykuł Suchodolskiego — to piękna... konstrukcja, „Przegląd Współczesny“ zaś — to niezręczna propaganda.

Suchodolski, jędrnie i zwięźle referując doktrynę faszystowską, nie przerywa niczem od siebie; co najwyżej powściągany entuzjazm rozżarza się od czasu do czasu stylistycznie jakimś „napięciem“, jakimś „heroizmem“ albo „patosem“. Najlepsze to, jakie mamy, studjum o faszyźmie, niestety, zupełnie teoretyczne. Autor delikatnie wysuwa zarzu-

ty, upatrując słabe punkty faszyzmu 1) w połączeniu materializmu z idealizmem, 2) konflikcie zasady masy i zasady jednostki, 3) w kruchości podstaw metafizycznych i egoizmie Włoch i 4) w braku kryteriów obiektywnych, pozwalających na określenie kwalifikacji rządzących jednostek, który to brak w praktyce równa się uwzględnianiu jednego-li tylko kryterium: siły fizycznej. Charakterystyczne są trzy pierwsze zarzuty, zarzuty „logiczne”. Powtarzam: umysłowe przewyciężenie faszyzmu, badanie jego logicznych „limesów” jest wysiłkiem cennym, ale to jeszcze nie wszystko. Jakgdyby zgodność wniosków i brak sprzeczności wewnętrznych w zjawisku społecznym mogły być policyjnym zezwoleniem na istnienie tego zjawiska na świecie.

Niema in concreto czystych, idealnych form. Nic ontologicznie nie zależy od próby mózgu, a wszystko zawisło od próby życia. Życie zaś, to coś mocno rozczochranego, na co mało poradzą wszelkie filozoficzne grzebień. Drzewo żywota nie jest „drzewem Porfirjusza”. Funkcjonowanie mózgu, kategorie, prawa myślenia, t. zw. myślenie przyczynowe wystarczająco były roztrząsane, żeby tu się dłużej nad tem za-trzymywać.

Faszyzm był i jest praktyką, grą, subtelnem wyliczeniem, lecz także twardą maczugą, błyszczącym stylem i lśniącem szytylem, aforyzmem i rewolwerem. Faszyzm przede wszystkim budował państwo, mosty i drogi, zastrzegając się najgwałtowniej przeciw budowaniu systemów. „System, to klatka” — mawiał pogardliwie Duce; ruchowi, co był młody i wściekły jak lew, nie śpieszyło się za kraty. Z czasem faszyzm zmieł. Przesąd wykończonego systemu, harmonijnej s u m y, jako korony poczynań ludzkich, zbyt się zakorzenił. Wierzgają przeciw temu filozoficznemu ościeniowi faszyści. Zawołani myśliciele faszystowscy, jak Gentile, nie umieją ukryć obruszania się na niedoceniań ich konstrukcyjnej współpracy.

Faszystowski numer „Przeglądu Współczesnego” (1930) zakrawa na złotą baśń. Tu samorządna dyscyplina obywatelska przekreśla możliwość strajku; tu rozwiązano trudny problem socjalny; tu naprawiono za jednym zamachem drogi, finanse i krzywdę społeczną; tu zasiano w 40 milionach serc wysokopienną miłość ojczyzny, a na 5.884 bezdrzewne hektary rzucono nasiona leśne. Nawet rewolucja przybrała tu pociągające rysy: „nie popadła w okrucieństwa” (według Roberta Forges-Davanzatiego). Propaganda zbyt naiwna wpada we własne sidła. I tak Alessandro Melchiori spostrzega lepszą gospodarkę na kolejach, pocztach, drogach i t. p. od czasu, gdy te odcinki otrzymały osobne gwardje. Dla Polaka, przyzwyczajonego do sprawnego działania mechanizmu państwowego, konieczność istnienia osobnych rodzajów policji po dziesięciu latach faszyzmu jest niepojęta i fatalnie świadczy albo o systemie, albo o „samorządności dyscypliny obywatelskiej”. Dziwi nas też gęste, choć naiwne tłumaczenie się przedstawicieli silnego rządu z powodu dyktatury prasowej i powoływanie się przy tej sposobności na kagańcowe ustawy Ameryki i Anglii! Nie idzie mi tu o meritum sprawy, o ujarzmienie prasy, bo to są sprawy wewnętrzne włoskie, idzie o niewytrzymujący krytyki sposób, w jaki się informuje opinię polską. Pojawienie się tego numeru zostało okupione przez bogaty informacyjny artykuł prof. Wędkiewicza.

Rzecz to niezmiernie charakterystyczna, że w miarę postępu faszyzmu we Włoszech widać w Polsce coraz większe kurczenie się wiedzy o faszyźmie. Rok 1930 — to Włosi w „Przeglądzie Współczesnym”. A zaczęliśmy tak dobrze!

Maurycy Pernot (Z d o s w i a d c z e ń w ł o s k i c h. Warszawa, 1923) zapoznał nas gruntownie z podłożem faszyzmu. Jest to właściwie niezamierzona obrona epoki przedfaszystowskiej, na której faszyści, jak wiadomo, wieszają zdechłe koty, oskarżając o powojenny rozgardjasz socjalistów. Zło tymczasem było zastarzałe i nie

wypływało wyłącznie ze złej woli marksizmu, stojącego na usługach Moskwy — jak się to powszechnie słyszy. Choroba wzięła początek z nieuporządkowanych stosunków społecznych na półwyspie apenińskim. Nagłemu zjednoczeniu Włoch, szybkiemu powstaniu państwa nie mogło nadać powstanie — obywatela. Obywatel, to owoc tradycji państwowej. Polityczny byt wysunął się na plan pierwszy; reformy wewnętrzne zostały na potem. Nie było rzeczą łatwą oczyścić tę stajnię Augiasza, którą systematycznie zapaskudzali w przeciągu wieków Arabowie, Hiszpanie, Francuzi, Niemcy i Austriacy. Życie zaś nie czeka. Ludność radziła sobie sama, skwapliwie korzystając z pomocy socjalistycznej. Sprawiedliwą reformę rolną zastąpiła samobójcza walka zorganizowanych pracowników i pracodawców przy neutralności państwa. W 1908 strajki rolne w Parmeńskim, a w 1910 zatargi rolne w Romanji były wymowną przygrzywką lat 1919 — 22. Rozprzeżenie przedfaszystowskie jest, między innymi, następstwem wojny, do której przystąpieniem chlubią się faszyci. Wojna zrujnowała skarb państwa i zubożyła ludność, ale wzbogaciła przemysł ciężki. Rozbudowany przemysł ani myślał wyrzec się swych zarobków po wojnie. Państwo nie potrzebowało już dostaw. Fabrykanci, chcąc utrzymać wojenny stan produkcji, szantażowali państwo widmem rewolucji, którą miały niechybnie zrobić zwolnione rzesze robotnicze. W ten sposób wydębiali od państwa milionowe zasilki na bezużyteczną, a mimo to wycieńczającą finanse publiczne pracę. Skoro stały się te masy niebezpieczne dla interesów, ten sam samolubny przemysł i mieszczaństwo, obłowione na dostawach wojennych, sygnęły złota na zorganizowanie bojówek faszystowskich, aby ratować ojczyznę... Faszystom wziął się do skóry wywrotowców, biorąc temsamem, zresztą wbrew swym najszerszym zamiarom, w opiekę mieszczaństwo. Widocznie zasadą historii bywa bezkarność ręki, a winnym jest jedynie ślepy miecz.

Niemiec L. Bernhard (*System Mussoliniego*. Poznań, 1925) dał nam głęboki, pełny obraz rewolucyjnego systemu faszystowskiego. Faszystom się zdobył na artyzm zamachu stanu. Olśnił błyskotliwą techniką rewolucji. Macchiawelizm jak i faszyzm nie są na eksport, to święta prawda. Głośne „Rady Kallimachowe“ więcej przyniosły nam zamętu, niż pożytku. Jeśli zostały sfingowane, to zrobił to niezły znawca charakteru polskiego. Paręset lat potem omal nie ukamienowano Mickiewicza za „wallenrodyzm“. W dobie płynącej nie poskąpił nam lekceważenia za brak umiejętności w urządzaniu zamachów i rewolucyj Malaparte („Wiad. Lit.“, Nr. 433). Sarmaci mawiali, to trudno, że male parta idą do czarta.

Rok 1926. Giuseppe Prezzolini *Faszyzm* (Warszawa, 1926). Wytrawny, znany pisarz nakreślił dobrą genezę faszyzmu. Wiemy o dyplomatycznych niepowodzeniach Włoch w Wersalu; o frontowcach bez posad; o bezradności rządu; o pionierach faszyzmu w postaci antyaustriackiego nacjonalizmu przedwojennego i programu kolonialnego z przedabisyńskiej porażki; o pisarzach, z których dzieł gdzieś przed wojną zaczęły rozbrzmiewać hasła antyparlamentarne i antydemokratyczne; wiemy także o tem, iż o nowym porządku rzeczy zadecydował gwałt i brutalność. „Rewolucji nie robi się przy udziale panienek“. Znane są ogólnie żale zgnębionej demokracji. Prezzolini odwraca sprawę. Także włoskim obrońcom demokracji każe ponieść solidarnie część kosztów imprezy Mussoliniego. W pojęciu Włochów — i nie tylko Włochów — demokracja kwitnęła, kiedy dusza hulała bez kontusza. Niewyrobiony państwowo Włoch żył odpadkami ze stołu europejskiej demokracji. Tem się tłumaczy dziki charakter dyscypliny partyjnej pod włoskiem niebem, bezlitosne bojkoty, bezmyślne rujnowanie bogactwa narodowego, rabowanie państwa. Mając przed oczyma taką paradną demokrację, nie trudno było nabrać do niej odrazy. Obraz Mussoliniego — pochlebny! Nie daruje mu jednak

tęgo, że otacza się kanallami. Album znakomitości faszystowskich bardzo cieniutki. Większość figur, zwłaszcza mniejszych, to osoby nieodpowiednie. Wśród hultajów i faszystów-aferzystów, o czym wiedzą bezsilne nieraz władze centralne. Prezzolini z uznaniem odnosi się do zdobyczy dyplomatycznych i gospodarczych Włoch; protestuje natomiast przeciw wpisywaniu wszystkiego na rachunek faszyzmu — należałoby liczne pozycje dodatnie księgować w rubryce: szczęśliwy zbieg okoliczności i genialność Mussoliniego. Niektórym triumfom ekonomicznym i finansowym faszyzmu ucina głowę Carlo Sforza, wykazując, że na faszystowskie owocobranie złożyła się również praca poprzednich gabinetów włoskich (*Europäische Diktaturen*, s. 60 — 73).

Równocześnie z doskonałym studjum Prezzoliniego pojawia się jakby dla gorzkiego kontrastu pierwsza większa oryginalna praca polska. To Wł. Jabłonowskiego *Amica Italia* (Poznań, 1926). Pomimo ciepłej sympatii dla Włoch, błada i szara ta książeczka oddaje niedźwiedzią przysługę faszyzmowi. Autor broni faszyzmu. Zgoda. Ale, czy obrona stoi na poziomie, powiedzmy, techniki faszystowskiej rewolucji? Zdaje mi się, że nie; że to czysto polskie partactwo, jakie wyrzuca nam Malaparte. Oto kilka fechtunkowych złożień: Sem Benelli jest antyfaszystą, ale zato faszystą jest Pirandello; a wiadomo, że Pirandello, to nie jakiś tam Benelli! Albo: Croce jest antyfaszystą, to prawda, lecz faszyzm wyznaje taki Vilfredo Pareto; a wszyscy wiedzą, kto zacytuje jeden Vilfredo Pareto! Jabłonowski potępia polityczną emigrację włoską. „Wola, — rzecz, — na obczyźnie knować przeciw faszyzmowi i oczerniać własny kraj wśród innych społeczeństw, niż zmierzyć się z nim na własnym opozycyjnym gruncie“ (str. 155 — 6). *Fuorusciti*, to kwestja drażliwa do dyskusji. Po sprawie Matteotiego i Amendoli zalecać uciekinierom zmierzenie się z faszyzmem „na własnym opozycyjnym gruncie“, to — kpiuny. Jak wiadomo, do istoty faszyzmu należy zasada: opozycja nie istnieje. Faszyści zaprawdę powinni prosić Boga o obronę przed przyjaciółmi, bo przed nieprzyjaciółmi obronią ich własne liczne milicje.

Tadeusz Dzieduszycki w dziele *Teoria ruchu faszystowskiego i państwa syndykalistycznego* (Warszawa, 1927) w następujący sposób ujmując istotę faszyzmu: „zapewnienie psychice wybitnie produkcyjnej trwałej przewagi w sternictwie społecznym“ (55). Zalety tego niebywałego, jak na nasze stosunki, dzieła to: 1) wyborna geneza historyczna faszyzmu — na równie dobrą poczeka czytelnik aż do tłumaczenia Volpego w 1933 r., 2) ujęcie socjologiczne, 3) zapoznanie z prawie legendarnym u nas syndykalizmem faszystowskim, 4) duża skala spostrzeżeń i 5) ciekawe zestawienie z sytuacją w Polsce. Usterki zaś, to: 1) okropny styl, 2) nadużycie paralel socjologicznych i 3) zbyt gorliwość w wybielaniu faszyzmu, lubo usprawiedliwiona tem, że faszyzm identyfikowano i ciągle jeszcze utożsamia się z jego produktami pobocznymi (terorem i t. p.), zamykając oczy na niezaprzeczone jego zdobycze.

Trudno mówić o faszyźmie, nie mówiąc o Mussolinim. Dziś to już postać historyczna. Gdyby nawet znalazł się ktoś, kto by się ośmielił powątpiewać o wielkość Mussoliniego, to nawróciłby go bezsprzecznie sam fakt, że Mussolini znalazł się już w kolekcji takiego snoba na punkcie rozmów z wielkościami dziejowymi, jak Ludwig. Wł. Jabłonowski przetłumaczył wybór mów Mussoliniego (Warszawa, 1927), Wegner w Poznaniu wydał po polsku jego *Pamiętnik z czasów wojny*. W Warszawie w 1928 r. ukazał się odczyt Mussoliniego *Rzym starożytny na morzu*.

Wincenty Rzymowski jest autorem szkicu *Piłsudski a Mussolini* („Sygnały historii“. Warszawa, 1929). Porównanie, które objęło linję karjer obu mężów stanu, wypada na korzyść Piłsudskiego. Dla Mussoliniego socjalizm był posadą, szczyblem społecznym; dla szlachcica Piłsudskiego rezygnacją, a dla Piłsudskiego-patrjoty —

ryzykiem. Dla Mussoliniego — wąską walką klasową, dla Piłsudskiego — sprawą wolności narodu. Mussolini po mozolnej ewolucji skończył na narodowości i państwowości. Piłsudski od razu od tego zaczął.

W 1927 r. otrzymaliśmy dzieło Małgorzaty Sarfatti D u x. Jest to entuzjastyczna biografia Mussoliniego pióra jego bliskiej współpracowniczki. Wlewanie do gardel przeciwników partyjnych paru szklanek oleju rycynowego nazywa Sarfatti „żartobliwym epizodem“, służącym do „ośmieszenia“ wroga (str. 270). Sarfatti szczerością bije cały legion włoski z „Przeglądu Współczesnego“. W charakterze Mussoliniego akcentuje nieufność i pogardę dla ludzi, zawziętość i mściwość; przyznaje nawet, że twarz jego ma wyraz okrutny, jak twarz Savonaroli.

Potem przysłała kolej na odwrotną stronę medalu. W 1929 r. ukazuje się Ryszarda Wintera D u c e w ś w i e t l e f a k t ó w (Paryż—Warszawa), a w 1932 Wacław Rogowicz wydaje zbiór feljetonów p. t. R e f l e k t o r e m p o c z a r n y c h k o s z u l a c h. Obie pozycje antyfaszystowskie. Winter kładzie cienie na jasnym wenecjańskim portrecie Mussoliniego — rembrantyzuje go. Wskazuje na brak wszelkich skrupułów moralnych Wodza; omawia zbrodnie faszystowskie i cyniczny ich charakter, cytując kompromitujące memorjały Rossiego, jednego z byłych współpracowników Mussoliniego; oświetla dyktaturę i ukazuje podporę tego systemu w postaci 300.000-nej bojówki, liczniejszej aniżeli wojsko i policja królewska. Słowem — odwrotna strona, nieraz w najdrobniejszych szczegółach. Milicja poczt usprawnia działanie poczty — według Melchioriego. Podług Wintera i Rogowicza — cenzuruje listy!

Rok 1932 przyniósł wreszcie najlepszą polską popularną rzecz o faszyzmie: Maciej Lore t I t a l j a w s p ó ł c z e s n a (Rzym, 1932). Książka omawiana ma tę przewagę nad innemi podobnemi, że została napisana z myślą o polskim czytelniku, który, jeśli należy do młodszego pokolenia, nie wyznaje się w pogmatwaniach przedwojennych. Ciekawe uwagi poświęca autor korporacyjnemu ustrojowi Włoch Mussoliniego. Obraz Włoch uwypukla się, gdy poznajemy szczegółowo ich politykę zagraniczną i problemy ekonomiczno-finansowe. Książkę zamyka informacyjny szkic o współczesnej literaturze włoskiej. Lore t odznacza się dużą trzeźwością i sprawiedliwością ocen. Przyznaje, iż faszyzm nie jest jedynie egoistycznym dorwaniem się do władzy jednej partji, ale ruchem, który usiłuje realizować nowe formy życia państwowego i społecznego dla dobra narodu (str. 137). Dostrzega jednak wady systemu. Podziela z innymi zdanie, że w faszyzmie za dużo jest Mussoliniego, co może spowodować przykre następstwa dla faszyzmu, gdy nie stanie wodza. W ustroju nie podoba mu się „ścisła kontrola policyjna“ (str. 195). Na rewelację zakrawa wiadomość, że wielu gorliwych faszystów wypowiada się za zdjęciem z obywateli lub przynajmniej za rozluźnieniem żelaznego gorsetu, a to ze względu na przyszłość narodu i rozwój charakteru młodzieży.

Z wydawców polskich, zasłużonych w dziele zapoznawania nas z faszyzmem, na czoło wybija się Ferdynand Hoesick, zarówno ilością jak jakością publikacyj (Prezzolini, Dzieduszycki, Rzymowski). U niego też ukazały się ostatnio dwie ważne pozycje: Gi o a c c h i n o V o l p e R o z w ó j h i s t o r y c z n y f a s z y z m u (Warszawa, 1933) i G i o v a n n i G e n t i l e Ź r ó d ł a i d o k t r y n a f a s z y z m u (Warszawa, 1933). Znowu to tylko tłumaczenia, w dodatku stylistycznie mizerne. Nadto — prace faszystowskie, albowiem Volpe jest generalnym sekretarzem Akademji Włoskiej, a Gentile stoi na czele Faszystowskiego Instytutu Kultury. Są to wszelako książki spóźnione — oryginał Volpego „Sviluppo storico del fascismo“ Palermo, 1928; Gentilego „Origini e dottrina del fascismo“ Roma 1929 — o czem firma wydawnicza powinna była powiadomić czytelnika, aby zapobiec pewnym nieporozumieniom.

Volpe daje zwięzły wykład historyczny. Volpe podnosi głos, gdy mówi o konstrukcyjnych zakusach w ujmowaniu faszyzmu. Zaznacza, że ruch stworzyli bojowcy, ludzie spragnieni czynu. Silne pierwiastki syndykalistycznej zasady „akcji“ znalazły tu żyzny podkład. Wzrastająca anarchja wywiodła na światło dzienne potrzebę nie teorii, lecz pięści i pałki, jako jedynego i uniwersalnego argumentu. Mussolini to geniusz i pałka. Jak razy pałki, padają na głowy czytelników wyznania: że Mussolini, mimo wszystkie talenty — to nieuk, któremu pomógł fakt, iż nie posiada wiedzy i szablonów; że faszyzm wiele zawdzięcza zbiegowi okoliczności; że gwałtów niesposób było zamknąć na czas; że tylko z konieczności pozostano przy formie monarchji; że istnieje odłam faszystów-pochlebców i demagogów; że Kościół katolicki nie może się zgodzić na cały faszyzm, i t. d. O tem wszystkiem dobrze wiedzieliśmy; oczywiście, podpis Volpego pod temi wiadomościami może się przydać.

Włochy są na drodze imperjalizmu. Zastanawia, jak tam wszystkie zagadnienia ujmuje się od strony polityki. Battaglia del grano — bo trzeba uniezależnić się od przywozu zboża na wypadek wojny. Czego się tknie Włoch, to rozpatrzy pod kątem doświadczeń z wojny światowej. Przychodzi mi na myśl zabawny przykład. Na zeszłorocznym kongresie Pen-Clubów w Dubrowniku, gdy literaci z powodu prześladowań autorów-żydów w Niemczech zastanawiali się, w jaki sposób zapewnić pisarzowi wolność i poszanowanie jego pracy — delegat włoski Filippo Tommaso Marinetti wyrwał się (Filippo!) z charakterystycznym rozwiązaniem sprawy: niema co radzić, gdyż po dojściu do skutku paktu czterech i t. d. (sprawozdanie J. Parandowskiego, „Wiad. Lit.“, nr. 499). Pakt czterech — i koniec!

Dotąd Volpe występował otwarcie, jak lew. Atoli „bisogna essere volpe e leone“! Używszy czarodziejskiej macchiavellowskiej maści, przedzierzga się istotnie w lisa, kiedy zapewnia, że faszyzm potępia wszelkie hegemonje, głosi równość narodów i dlatego broni Niemców przed Francją. Przedwojenny system bloków spowodował katastrofę. A blok naddunajski? a pakt czterech? a hegemonja na Bałkanach? Na nic się nie zdadzą te pytania — wniki i zatrzaski. Lis ujdzie, albowiem sceptyk ma rację i nie ma racji. Kiedy powstawały oryginały omawianych prac, Włosi szczerze zwalczali zasadę hegemonji, bo miała ona siedzibę w Paryżu; wogóle dobrze jest pamiętać, że większość takich wystąpień włoskich odgrywa rolę cichych not dyplomatycznych pod adresem Francji. Skoro Włosi wzmocnili się, jeli czempredzej przeć do własnej hegemonji. Humanitaryzm przepadł. Przecież faszyzm — to polityka realna, lubo o skomplikowanej róży wiatrów. Dziś wieją wiatry 1934. Do nas zaś książka Volpego przyniosła dopiero poddmuch z roku 1928. Sześć lat. Dużo wody upłynęło w Tybrze!

Po historii wzniesmy się na wyższy poziom, gdzie przewodnikiem będzie Gentile. Wielu podziwia Gentilego za umysł, pracę, rozległość zainteresowań, zmysł społeczny, energję. Są też tacy, co podziwiają go za współpracę z faszyzmem. Najcenniejszą i najważniejszą rzeczą w tej niedużej dyssertacji są autorskie, starannie zawoalowane, rozważania na ów drażliwy temat.

Gentile jest zbyt przenikliwy, by nie stwierdzić, że faszyzm, wypłynąwszy z mazy-nistycznej formuły „myśl=czyn“, musi być antyintelektualizmem i musi odrobinę pomiać wszelkim żelbetonem umysłowym, t. j. konstrukcją filozoficzną. Ta wielka mowa adwokacka w obronie kultury duchowej, jaką jest dziełko Gentilego — to tragizm filozofa służącego ludziom, którymi rządzi częściej odruch niż umysł i którzy, korzystając nawet z usług myśliciela i składając piękne deklaracje o znaczeniu kultury i t. p., wcale nie myślą temsamem dopuścić do równouprawnienia tamtych, intelektualistów. Mussolini często głośno zdradzał lekceważenie dla spraw duchowych. Czy szczerze? Częściowo

tak, a częściowo pochodziło to ze schlebiania pospólstwu. Łatwo wyobrazić sobie gorycz filozofa, który może zniósłby szczerą walkę, ale którego chyba razi bicie taranem w skarbiec kultury dla uciechy ludu.

Gentile jak kot rzucony chce paść na łapy, zająć jakąś stanowczą pozycję wobec tego zjawiska, wmówić w siebie, że nie ono jego, lecz on je opanował. Dla pociechy tedy tłumaczy sobie usunięcie w kąt tych wartości, które sam stwarza, reakcją przeciw „literackim“ typom risorgimenta. Nie widzi natomiast prawdy, że masy nie myślą o żadnej reakcji, lecz poprostu więcej wierzą w dobrze rozwiniętą pięść, niż w dobrze rozwinięty mózg. Nie spostrzega, że i poza Włochami prąd genialnej niefachowości, pogardy dla studjów i dyplomów niósł się i jeszcze wieje przez Europę. Gentile się zdradza. Oto chce stłumić swą gorycz, wyraźnie pobrzmiwającą z kart książki, uprzedzającym atakiem na intelektualizm. On, intelektualista, po dopiero co wygłoszonej pochwalie intelektualizmu głosi „walkę“, jako warunek postępu! Z tej reduty można łatwo zasypać intelektualizm oskarżeniami o jego mniejszą wartość społeczną, niż pięść: pałka, o apatię, stanie na uboczu, i t. p. Czy ten odgrzebany, nieśmiertelny Hobbes, albo ten spóźniony darwinizm socjalny będą wystarczająco silnymi pasami ratunkowymi dla filozofa, co znalazł się wśród obcego morza? Odpowiedzi niema. A może gorycz w pewnych razach starczy za odpowiedź?

Wacław Kubacki.

DZIEŁO O SPINOZIE

Nie mogę odmówić życzeniu autora, by napisać recenzję z jego książki *), aczkolwiek jestem niemal w takim położeniu, jakgdybym miał napisać recenzję — E t y k i Spinozy. To dzieło bowiem ma się tak do jakiejś innej monografji o Spinozie, jak sfastrygowany dla przymiarki garnitur do wykończonego wytwornego ubrania. Gdybym miał omówić wszystko, musiałbym napisać tom dociekań, a gdybym się chciał ograniczyć do czegoś, musiałbym odrąbać część jednolicie skonstruowanej całości. Pozostaje mi spojrzeć z lotu ptaka na tę konstrukcję — w nadziei, że dojrzę jej sekret.

Autor jest jezuitą, ja zaś — można powiedzieć: zupełnie przeciwnie. Zdawałoby się tedy, że moja recenzja będzie ujemna, a jednak jest wprost przeciwnie. Sprawa nie jest prosta, lecz ogromnie złożona, nawet tajemnicza. Otóż jezuita Dunin-Borkowski pracuje od 35 lat nad Spinozą, panteistą wpisanym na indeks, z takim wynikiem: ogłosił w 1910 r. olbrzymi tom „Der junge De Spinoza“ (obecnie w 2 wyd.), w r. 1932 wydał tom „Spinoza nach 300 Jahren“, w r. 1933 wypuścił drugi tom jako dalszy ciąg poprzedniego i zapowiada wydanie trzeciego i czwartego tomu według ustalonego programu. Gdyśmy się spotkali w Hadze na zjeździe w 1927 r., powiedziałem mu, że jest on dla mnie psychologiczną zagadką. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Teraz ją otrzymuję na str. 8: wszak można ustosunkować się do Spinozy, jak do figury geometrycznej: wtedy interesuje przybliżenie się do rzeczywistości, a dla obserwatora jest obojętne, jaki będzie wynik, dodatni czy ujemny, bo obchodzi go tylko prawda. Jest to odpowiedź w duchu Spinozy, ale pozostaje pytanie: dlaczego jezuita zajmuje się właśnie Spinozą? Moja hipotetyczna odpowiedź jest taka: wielki umysł katolika Dunin-Borkowskiego potrzebuje wielkiego przeciwnika, a imponuje mu Spinoza, więc chce go nawskroś zro-

*) S. von Dunin-Borkowski S. J.: Spinoza. Band II, Münster i. W., Aschen dorffsche Verlagsbuchhandlung, 1933, str. 495.

zumieć, aby go — inaczej być nie może dla jezuitę, dla filozofa, dla badacza — pokonać. Ta walka tytanów musi być bardzo interesująca i jest ważna, ile że chodzi o kierunek nie tylko filozofji, lecz kultury i cywilizacji. Ale oto rzecz dziwna: na wielkich przestrzeniach stronic Dunin-Borkowskiego zalega spinozowski spokój. Tak było już w pierwszym tomie. Ale trzeba patrzeć uważnie. W recenzji tamtego tomu („Przegl. Filoz.” i „Arch. f. Gesch. d. Phil.”, 1913) ujawniłem, że teolog Dunin-Borkowski usiłuje górować nad Spinozą takim sądem: zerwał z tradycją scholastyczną z uprzedzenia i wykoleił filozofję na manowce panteizmu, i dowiodłem, że autor nie jest tu w zgodzie z sobą samym. Lepszy sąd znajdujemy w książce „Spinoza nach 300 Jahren“ na str. 70: jeden słup dźwiga gmach jego myśli; jest nim pojęcie konieczności powszechnej; jeżeli okaże się niewytrzymałym, zawalenie się jest niechybne. Poczem krytykuje to pojęcie, by oświadczyć, że systemat Spinozy podzieli los innych systematów. Co w tej książce na str. 80 jest zlekka zaznaczone, ukazuje się w omawianym tutaj tomie obszerniej na str. 19—20, 33 i 333: w systemacie konieczności światowej Spinozy jednak mieści się niezaprzeczone przez niego celowość, szczęśliwość, sensowność optymistyczna, która nie daje się wyprowadzić z tej konieczności, boć przecież istnieją też systematy konieczności pesymistycznej. Tu następuje pytanie, czy Spinoza nie wykazał dostatecznie, że dobro i zło są względne i toną w bóstwie, z którego „wynika nieskończenie wiele sposobami nieskończonemi“. A na str. 298—303 znajduje się wywód, że wogóle i u Spinozy przyjęcie konieczności powszechnej leży w sferze pocucia życiowego, poprzedzającego systemat, i że jest elastyczną intuicją, zawierającą już sprzeczność z wolnością woli. A więc dogmat indeterminizmu teologa Dunin-Borkowskiego wynosi się nad determinizm Spinozy. Nasuwa się pytanie, czy Spinoza niedostatecznie rozprawił się z przyjmowaniem dowolności boskiej, uznając je za niedoskonałe pojęcie doskonałości bóstwa. Trzeba przyznać, że Dunin-Borkowski dotarł do gruntu różnicy między sobą i Spinozą i doskonale upatrzył ten grunt w sferze irracjonalnego nastawienia, więc poza dyskusją. Kropką nad i jest tu „objawienie“, o którym mówią jedynie literki „S. J.“ obok nazwiska autora („imprimatur“ niema już w tym tomie). A zatem walka jest nierozegrana, a że systemat Spinozy nie „podzieli losu innych systematów“, lecz będzie trwał, będzie się zawdzięczało niemało wielkiemu pod każdym względem dziełu Dunin-Borkowskiego.

Omawiany tutaj tom rozpoczyna się od rozważań metodologicznych wnikania w twórczość filozoficznego geniuszu Spinozy. Ciągna się te rozważania na dziesiątkach stronic, spotyka się je na każdym kroku dalej i mamy je znów w osobnym rozdziale (291 — 306 i dalej 322 i n.). Szkoda, że nie znajdujemy tu myśli o obiektywności historyka, o jego zainteresowaniu, celowości jego pracy, stronności, tendencyjności i t. d. We wspomnianej wyżej recenzji powiedziałem, że dzieło Dunin-Borkowskiego zawiera obfity materiał do opracowania metodologii historii filozofji, a dotyczy to tego drugiego tomu w jeszcze większej mierze. Godne uwagi jest to, że autor często podnosi swą zgodność z pojęciami i zasadami Spinozy, biorąc je za reguły naukowości (1, 4, 5, 65—66). Dunin-Borkowski rozprasza swoje liczne i różnorakie uwagi i dopiero z lotu ptaka można się zorientować co do istoty jego metody historycznej. Otóż z miejsc, w których mówi o „ideach dorównanych“ (4, 16, 17—18, 64—67), wygląda na to, a faktyczne postępowanie Dunin-Borkowskiego potwierdza to, że on, nie uznając za Spinozą przyczynowości psychofizycznej, a skutkiem tego — zależności umysłowości filozofa od warunków materialnych, przyjmuje, że tak, jak Spinoza sam kroczył rzekomo drogą swych „idej dorównanych“, historyk winien niemi się kierować, łącząc zdarzenia i idee w jedno stawianie się. Jeszcze brak tutaj konieczności przebiegu, a mielibyśmy stanowisko Hegla. Ale Dunin-Borkowski jest zanadto empirykiem, aby apriorycznie konstruować przebieg.

A o konieczności nic nie mówi, gdyż chyba jej i tutaj nie uznaje, a zatem pozostaje — artyzm. Narzuca się tedy pytanie, czy Dunin-Borkowski jest artystą, czy badaczem naukowym.

Jest on artystą, albowiem chodzi mu, jak wyznaje, o możliwie plastyczne zobrazowanie ludzkiej i filozoficznej osobowości Spinozy w powiązaniu z tłem dziejowym (33). Wdzięczne ma zadanie, którem się entuzjazmuje, albowiem tajemnicza jest osobistość Spinozy, a Dunin-Borkowski wie najlepiej, jak mało mamy o nim wiadomości pewnych. Więc nakłada na swój obraz farby z badań własnych i cudzych bardzo skrupulatnie, w dążeniu do prawdy — ze świadomością, że do niej zaledwie się przybliża (6,40). Podmalowuje wielkie wielobarwne tło z ruchów politycznych, naukowych i t. d., ze zdarzeń, z krajobrazu i usiłuje je zespolić z „plastycznym obrazem całego człowieka“ (40), bo jednostkę rozumie w myśl Spinozy jako część całości (4,5). Nie ma to być zastępy wizerunek, lecz raczej, powiedzmy, kinematograficzne odtworzenie ciągu życia psychofizycznego. Byłby zadowolony, gdyby mógł wstawić Spinozę „w jego środowisko, w odmet otaczających go fal życiowych, w rozmowy dokoła niego, których nie mógł nie dosłyszeć, i w namiętne spory partyj, których nie mógł przeoczyć, i pytać o możliwości i konieczności umysłowych wrażeń, od tego bezpośrednio dotykającego go świata odbieranych przez światły umysł tego człowieka“ (65). Pragnie mieć „pełnię jego zjawiska“ (5), a nie „sztuczny wytwór historii filozofji“ (66), „cień bezistotowy“ (102), nie chce uprawiać „obcego świata i duszy archiwalnego dziejopisarstwa“ (67). To też nie operuje schematycznymi pojęciami, lecz opisami konkretności. Ma zacięcie beletrystyczne w żywym przedstawianiu zarówno faktów, jak idei. Chce być zwięzłym i nie powtarzać, co inni zrobili (1, 2, 26, 41), co zawsze jest ambicją artysty. W dużym rozdziale p. t. „Spinoza als Barockphilosoph“ (322) charakteryzuje Spinozę jako przejętego atmosferą baroku, a wnikać w filozofję Spinozy, powiada, że „styl filozoficzny daje się lepiej przyrównać do architektonicznego, aniżeli do literackiego“ (291). Ciągłe podnosi, że chodzi mu o indywidualność, oryginalność, swoistość Spinozy (5, 15, 35, 297).

Jest on badaczem naukowym, albowiem chodzi mu o wyświetlenie twórczości Spinozy w jej rozwoju przez wykazanie genetyczne, co i jak myślał, skąd czerpał, jak powiązywał, jakie w treści miał trudności i jakie pozostają. Wdzięczne ma zadanie, którem się entuzjazmuje, albowiem Spinoza, którego systemat nagle wyskakuje nam, jak Atena z głowy Zeusa, jest wielką zagadką historyczną. Dunin-Borkowski nie ułatwia sobie zadania, lecz utrudnia, gdyż pragnie odpowiedzieć na wszelkie pytania historyczne. Wyszukuje je subtelnie i najbardziej umiejętnie, prowadząc analizę systematycznie w rozmaitych przekrojach danych nam kompleksów myślowych Spinozy dla wyodrębnienia ich składników aż do najdrobniejszych. Biorąc je za punkty wyjścia, ciągnie retrospekcyjnie i hipotetycznie linje do najwcześniejszych zainteresowań i nawiązań filozofa (65—67, 119). Ponieważ ta przeszłość jest okryta mrokiem, stosuje wyimagującą olbrzymiej pracy metodę poszlak. Ołóż podchodzi ze światłem od tyłu i rozpatruje wyszperane przez siebie w archiwach i bibliotekach wielu krajów dawne druki, zbiera z pism wszystkich badaczy Spinozy wskazania źródłowe i wyjmuje z dzieł historycznych wiadomości o tem, co i jak się działo, aby przez krytyczne zważenie tych kół uczynić jaknajbardziej prawdopodobnem, o czem Spinoza się dowiadywał, czem się zajmował i co przejmował. Rozwija olbrzymią erudycję, przyczem wiele z dotychczasowych sądów prostuje, miarkuje, uzupełnia, wiele wykrywa, rozwiewa legendy i tak daje obfite przyczynki do historii filozofji i nauk w 17 i 16 w. Nic dziwnego, że monografia urasta na 5 tomów. A sporo miejsca zajmuje tu filozoficzne, spinozowskie dążenie do metodycznej samowiedzy.

Dunin-Borkowski jest artystą i badaczem. Ma polski temperament indywidualny i indywidualizujący, pragnie zrobić wrażenie sobą, olśnić brawurowym oryginalnym wyczynem. Jednocześnie jest zniemiecka rzeczowy, pedantyczny, wyczerpujący, mówiący wszystko, co wie i co myśli, jest pracownikiem, pragnącym zaimponować rekordem mąsowości. Słuszny byłby sąd, że te dwa usposobienia, dające w oddzielności wyniki jednakowo bodaj pożądane, wspomagają się i uzupełniają. Ale czy nie przeszkadzają sobie artysta i uczony w jednej osobie? Obawiam się, że tak jest. Artysta Dunin-Borkowski pod brzemieniem uczoneści, gdy kształtuje, wyrozumowuje to i na każdym kroku mówi o swych zadaniach, celach, środkach, metodach, ocenach, tak że często ma się przed sobą artystę z jego wynurzeniami, a nie jego wytwór. Gorzej, że uczonemu pod wpływem artyzmu rozwiewają się właściwe cele. Wszak oświadczą, że z przeszło 50 rozmaitych wykładni spinozizmu trudno mu zdecydować się na jedną lub zbudować zupełnie nową (30, 294); rezygnuje z podciągania spinozizmu pod jakąś kategorię naukową, jak filozofja wszechjedni i konieczności (18, 19), panteizm czy panenteizm (29), pragmatyzm (307), Descartes (16), jakiś typ (6, 34), jakieś stanowisko, czy prąd, czy tradycja (6, 34, 293, 341), gdy nie waha się z podciągnięciem go pod styl baroku, jednakże wysuwa mglisty pogląd na jakieś gatunki przedidealnej filozofji (303) — jakby w poczuciu, że zatracą „ideę dorównaną“, której treścią jest Spinoza; oznajmia, że Spinoza „nie ma się ukazać jako wytwór swej epoki, lecz raczej jego epoka ma się w jego jestestwie odzwierciadlić“ (1); ujmowanie stosunku osobistości do warunków określa w takich wyrażeniach, jak „wstawianie, włączanie, podciąganie, stosunek części do całości“; nie szuka pobudek, cierpień i walk u Spinozy, poprzestając na tem, że Spinoza „miał ambicję darowania swemu krajowi i swej epoce systematu“, jakgdyby był scholastykiem; nie widzi konieczności, nie objaśnia przyczynowo, przyjmując natomiast jakieś obłoczne tajemnicze snucie się „idej dorównanych“ (p. wyżej), które objawiają się na ziemi w faktach i w głowach, a więc i w życiu Spinozy, za prawdę ma tylko goły opis rozwoju zjawiska i uważa za potrzebne gromadzenie szczegółów bezliku (3). Skutkiem tego powstaje encyklopedia znawstwa materiału, „summa“ olbrzymia, robiąca z czytelnika muchę łączącą po posagu.

Zapytajmy jeszcze, kto bierze górę w tem dziele: artysta czy uczony. Czytelnik-artysta odpowie radośnie, że tutaj artysta wspomaga i uzupełnia uczonego, nie dając erudycji przytłoczyć go. A czytelnik-naukowiec powie radośnie, że uczony wspomaga i uzupełnia artystę, trzymając na wodzy jego fantazję. W sumie jest tak, że Dunin-Borkowski wspaniale w sposób zdumiewający, kongenjalny ze Spinozą, panuje nad sobą oraz nad swym materiałem.

Omawiany tutaj tom dotyczy tylko jednego roku życia Spinozy, a był to przełomowy rok 1657. Wyklęty i wygnany 25-letni Spinoza porzucił interesy bankierskie (wykryto niedawno, że prowadził firmę) i wprowadza się w nowe życie. Dunin-Borkowski wykrywa, gdzie przebywał i przytacza wybitne ówczesne zdarzenia, o których Spinoza musiał wiedzieć (45—60). Następnie buduje hipotezę, że Spinoza wszedł w sferę politycznego zainteresowania, i obszernie opisuje (63 — 148) polityczne zdarzenia i prądy ideowe, które nadały Spinozie oblicze polityczno-filozoficzne. Należy uznać za wielką zasługę autora i wielki czyn, że wykazał z dużem prawdopodobieństwem znaczenie politycznych zainteresowań Spinozy już w owym czasie dla kształtowania się jego systemu filozoficznego, że pokazał, jak „już wtedy biegły nici od teorii bóstwa-natury i ducha-ciała do polityki i odwrotnie“ (119), że powstało u niego dla teorii państwa równanie: moc = prawo, wymagające metafizycznej podbudowy (120), i ukształtowało się pojęcie mocy, zadołowane później w metafizyce i etyce (125). Wyjaśnia wysmienicie

wpływ politycznego myślenia na filozoficzne w ogólności i szczególnie u Spinozy (35—37, 125—135, 136—148). Dalej wywodzi, jak Spinoza przechodził studia przyrodnicze, matematyczne, teologiczne i filozoficzne, jakimi drogami toczyła się, jak lawina, jego myśl, dojrzewająca do systematu. Rozpatruje tu mnóstwo dzieł, które Spinoza mógł poznać i według wszelkich stopni prawdopodobieństwa poznawał (151—286). Teraz dochodzi Dunin-Borkowski do *Krótkiego Traktatu*, tej pierwociny systematu (289). Wtrąca rozdział „O neutralnem miejscu w filozofii Spinozy“ (291—306, p. 39—40), wywodzący, jak styl czasu, poczucie życiowe rzeźbi umysł filozofa wogóle, tworząc u niego w zarysie ogólnym intuicyjny pogląd na świat, poprzedzający budowanie systematu i nie wchodzący w niego całą swoją treścią. To postawienie sprawy uważa Dunin-Borkowski za nowe zadanie w dziedzinie historii filozofii (295, 344). Jest to wielkie wskazanie, wykonywane dotychczas sporadycznie i wymagające szczegółowego wypracowania, trzeba bowiem wiedzieć, od czego zależy „poczucie życiowe“ jako rodzaj nastawienia w środowisku i w pojedynczym człowieku i jak pojęciowe życie zależy od emocjonalnego, a nic tu nie pomoże metafizyka „idej dorównanych“. Następnie wyświetla Dunin-Borkowski genetycznie *Krótki Traktat*, nie nadmieniając zgola nic z tego, co mówił o politycznych doświadczeniach Spinozy. Następuje rozdział, charakteryzujący Spinozę jako filozofa barokowego (322—344). Potem jest mowa o geometryzmie (344—351). Następuje głębokie analityczne porównywanie *Krótkiego Traktatu* z *Etyką* (351—367); tu lubuje się Dunin-Borkowski wykazywaniem zgodności Spinozy z Tomaszem z Akwinu. Wkońcu rozpatruje drobiazgowo, co Spinoza przyjął bezkrytycznie, pomimo że ulegało kwestjonowaniu przez scholastyków (367—394).

Tak wiele daje nam Dunin-Borkowski, że niewdzięcznością byłoby, gdyby się wy magało od niego, aby w tem dziele było więcej lub było inaczej. Każdy człowiek jest ograniczony w swych siłach i zdolnościach i dlatego im większą ma indywidualność, tem mniejszy jest na miarę zadań obiektywnych jego zasięg, którego niedostatek najwyżej daje się okupić głębokością. A jedno i drugie jest wielkie u Dunin-Borkowskiego.

Ignacy Myślicki

ANNA DE NOAILLES

Lata pomiędzy rokiem 1895 a 1900 — to okres szczególny w dziejach literatury francuskiej. Intelktualistyczna poezja symbolistów, która od początku swego istnienia budziła niechęć wyznawców „zdrowego rozsądku i jasności, właściwych narodowi francuskiemu“, teraz spotyka zdeklarowanych przeciwników, zgrupowanych w nowe szkoły poetyckie, które w tym czasie wyrastają jak grzyby po deszczu. W obronie „dziedzictwa muz łatyńskich“. *Ecole Romane* występuje do walki z „monstrualną imaginacją i cudzoziemską chaotycznością“ symbolistów. *N a t u r y ś c i* buntują się przeciw poezji irrealnej, która ma chronić od banalności życia, przeciwnie — egzaltują się niem i opiewają jego piękno we wszystkich przejawach, głosząc panteistyczną radość istnienia. Wpływ ich daje się we znaki starszej generacji — w utworach dawnych wyznawców symbolizmu zaczynają pobrzmiwać obce im dotąd nuty.

Tak więc ostatnie lata wieku XIX-go są dla poezji francuskiej okresem dość istotnych przemian. Zdawałoby się, że podczas tak wzmożonego ruchu literackiego, kiedy każdego niemal dnia ukazywał się inny tom wierszy, a czasopisma drukowały coraz nowe „programy“ szkół poetyckich, trudno wywołać wielkie poruszenie i wrażenie rewelacyjności nowym tomem poezyj. A jednak kiedy w roku 1901 ukazał się pierwszy

zbiór poezyj Anny de Noailles p. t. *L e c o e u r i n n o m b r a b l e*, zostały one entuzjastycznie powitane przez publiczność i krytykę, a Akademia przyznała autorce nagrodę Archon Despéruses.

Osoba młodej poetki nie była obca Paryżowi. Już od roku 1898 pojawiały się w czasopismach literackich jej wiersze, a w środowisku artystycznym i arystokratycznym dobrze znano tę młodą kobietę o filigranowej postaci, wielkich płomiennych oczach i włosach „granatowych jak śliwy“, która zdumiewała swą inteligencją, rozmawiała stylem improwizującego poety i o której sam France raczył zawyrokować: „Cette petite fille a du génie“; tę wreszcie, w której żyłach płynęła krew gospodarów wołoskich i książąt greckich i której dom rodzicielski ogniskował w sobie najwybitniejsze talenty epoki; której dziecięce wiersze czarowały niegdyś siwiejącego Mistrała, a drobne ręce towarzyszyły na klawijaturze genialnym dłoniom Paderewskiego.

Mówić o pierwszej książce Anny de Noailles — to właściwie mówić i o wszystkich następnych, nie wyłączając prozy. A było ich do roku 1933, t. j. do chwili śmierci poetki — kilkanaście. Nie znaczy to bynajmniej, aby nie rozwinęła się ona wcale przez tak długi przeciąg czasu; ale już w pierwszym tomie objawiła swą dojrzałą i wyraźną indywidualność w całej pełni i z biegiem czasu tematyka jej utworów, podobnie jak i technika poetycka, uległy zaledwie nieznacznym zmianom.

Daremne byłoby usiłowanie, aby zakwalifikować Annę de Noailles do jakiejś grupy, czy szkoły poetyckiej. Zdecydowanie daleka od symbolizmu, chętnie zato poczuwała się do pokrewieństwa z umiłowanymi poetami romantycznymi, których ekspansywny liryzm odpowiadał jej najbardziej. Ze współczesnych jej najchętniej przyznaliby się do niej naturyści, ale ich programowy panteizm był jej właściwie obcy, jak wszelki teizm wogóle. Zbyt materialistycznie i zarazem sensualistycznie nastrojona, aby dopatrywać się głębszego sensu w życiu, którem zachłystywała się z krzykiem bolesnej rozkoszy, wiecznie niesyta („Ah, gouter tout ce qui tourmente!“), zbyt olśniona widzialnym i dotykalnym urokiem natury, aby móc w niej jeszcze przeczuwać utajoną duszę bóstwa — była najwspanialszą p o g a n k ą, jaka kiedykolwiek w dziejach poezji wznosiła miłosne okrzyki na cześć przyrody i istnienia. Jeśli już wyznawała jaką religję, to chyba tę, którą głosił jej uwielbiany filozof, Nietzsche: religję życia i kult jednostki człowieczej, triumfalnie manifestującej swoje „ja“.

Religia życia — to dla Anny de Noailles przedewszystkiem uwielbienie natury. Jakże blade jednak wydaje się to określenie, które aplikujemy co drugiemu nieomal poecie, w odniesieniu do tej, która pragnęła

Wrosnąć w ciebie, Naturo, krzepką drzewa mocą,
Rozpostrzeć swe pragnienia, jak liściastą grzywę
I wiecznie czuć — w czas burzy, czy spokojną nocą —
Sok świata, co przez żyły do mych rąk napływa!

(„*L e c o e u r i n n o m b r a b l e*“)

która zapraszała wiosnę, aby złożyła na jej szyi swą „czarowną twarz“, a do słońca wołała:

Niech nas zostawia samych! Z ulewą twych błysków
Niechaj przeplotę palce pieszczoty spragnione
I przygarne do piersi w miłosnym uścisku
Twych ogrodów, bzu pełnych, rozgorzałe wonie!

(„*L e s é b l o u i s s e m e n t s*“)

Zapewne, nie była pierwszym poetą, który opiewał naturę. Ale gdy dla innych natura była tylko miejscem ucieczki od życia, lub też jego malowniczą dekoracją, a w najlepszym razie świadkiem ich serdecznych wzruszeń — dla niej była ona tych wzruszeń najpotężniejszym motorem, „tajemniczym kochankiem“, dla którego Sabina z powieści *La Nouvelle Espérance* przywdziewa najpiękniejsze suknie i którego wzywa z miłosnem utęsknieniem, aby w jego objęciach „omdlewać z rozkośzy“. Ten właśnie liryczny erotyzm w stosunku do natury, niespotykany dotąd u żadnego poety, kryje tajemnicę rewelacyjności poezji Anny de Noailles. Słusznie też zauważa Jean Larnac w swem wnikliwym studjum o poetce: „Si d'autres l'avaient personnifié (nature), nul ne l'avait ainsi virilisé“.

Natura, wieczna scena powstawania i kończenia się istnień, musiała siłą rzeczy zwrócić myśl poetki ku straszliwemu zagadnieniu śmierci. Ciężki to był problemat dla tej, która pragnęła „być — zawsze i bez końca — istnieć, istnieć wiecznie!“ a zarazem wierzyła jedynie w materję, twierdząc, że dusza „została wymyślona“, aby poniżyć ciało, jedyne siedlisko myśli i uczuć, z którego końcem wszystko się kończy (*L'Honneur de souffrir*). Jej, która chciwie wyciągała ręce po każde nowe doznanie, niezależnie od tego, czy było radością, czy bólem, jej, pragnącej być tylko „rozkochanemi ustami, które chłoną i smakują 'świat', niełatwo było zapewne pogodzić się z myślą, że kiedyś i ona stanie się

Tym cierpkim woskiem, od którego pszczoły
Swoją braterski oddalają lot...

(„*Les Vivans et les Morts*“)

Ale i tu natura przychodziła jej z pomocą. — Kochajcie się — zachęcała mową barw i zapachów. — Skoro niema nic poza życiem, czcijcie miłość, bo ona jest jego najdoskonalszą afirmacją. „Wszystko co jest, jest miłością, lub niczem“. Więc poetka czciła miłość. Ofiarowywała jej swoje wiersze z tem samem uwielbieniem, z jakim zapewne jej helleńscy przodkowie znosili niegdyś kwiaty na ołtarze Afrodyty. Błogosławiła ją — „archaniola patetycznego, bohatersko walczącego z mrokiem i śmiercią“, genialnego malarza, który „krwią i płomieniem kreśli romantyczne postacie na freskach historii człowieczej“...

Dopiero wtedy, gdy „wonejąca młodość“ opuściła jej ciało, gdy nie było już kogo kochać, bo najbliżsi i najdrożsi porzucili ją, aby zamieszkać w „smutnych domostwach“ na cmentarzu, kiedy nawet ucieczka wspomnieniami w kraj lat dziecińczych nie potrafiła przywrócić barwy i blasku życiu, które już zaczynało n u ż y ć, — poczęła i ona tęsknić do „słodkiej śmierci“, przynoszącej odpoczynek i zapomnienie. Tym razem los bardzo szybko zaspokoił pragnienie człowieka, którego tęsknot nic w życiu nie zdołało nasycić... W r. 1933 wielbiciele Anny de Noailles mogli już zapytywać jej własnymi słowami:

„Se pourrait-il vraiment que l'univers détruise
Ce qu'il a fait de plus ardent?!“

Henryka Łazowertówna

S Z T U K A

WŁADYSŁAW JAHŁ

Pod strzechą siwych włosów, pod sklepieniem wysokiego czoła, pod wydatnym ostrołukiem brwi żarzy się ogień niespokojnego wzroku i widać bolesny grymas ust. Bo Jahl nie może, uczuciowo w żaden sposób pogodzić się nie może z otaczającą go rzeczywistością. Buntuje się przeciw twardej prawdzie życia wyobraźnia jego, niewspółcześnie wrażliwa wyobraźnia romantyka. Każdy też niemal obraz Jahla posiada wewnętrzną strukturę, złożoną z wzajemnie uzupełniających się kontrastów, istniejących pomiędzy człowiekiem, będącym w stałej rozterce tragicznej z brutalnie mu narzuconym realizmem codzienności, a malarzem wyjątkowo mocno reagującym na wszelkie przejawy czysto plastycznego — barwy i linie — piękna w naturze. Temu właśnie głębokiemu konfliktowi odpowiada logicznie potrzeba, a nawet wręcz konieczność stworzenia — bodaj tylko... pędzlem na płótnie — innej rzeczywistości, fikcji, zrodzonej w jego wyobraźni, a jednak najzupełniej prawdopodobnej — dzięki trafnemu doborowi składników formy.

W twórczości malarskiej, na takich przesłankach ideowych opartej, pierwiastek tematowy musi odgrywać znaczną rolę, ułatwiając wprowadzenie do kompozycji swoiście uczuciowego kolorytu lokalnego i dając przeto artyście możliwość dania sui generis autoportretu duchowego. Do ulubionych i najczęściej powtarzających się motywów tematowych Jahla — który, szczegół charakterystyczny, nigdy siebie samego nie portretował — należą dzieje Donkiszota... Analogja, bardzo symptomatyczna analogja — ale tylko analogja. Jeśli bowiem Rembrandt malował siebie czasem, nawet chętnie, w tak fascynującym jego wyobraźnię stroju jakiegoś wielmoży wschodniego, to Jahl nigdy nie utożsamia się z błędnym rycerzem Smutnego Oblicza. Konsekwentnie i stale powraca on natychmiast w kompozycjach swoich do fantastycznych przygód cerwantowskiego bohatera... Odrzuca, naturalnie, wszelką ornamentykę anegdotalną powieści, by tem silniej uplastyczyć właściwą treść, oraz głęboki morał te tragi-heroicznej epopei, tak boleśnie bliskiej jego osobistym konfliktom wewnętrznym: żalosne dzieje wplatania bajki w życie...

W opowieści Cerwantesa najfantastyczniejsze złudy sprowadzone są do wspólnego mianownika prawdopodobieństwa realistycznego — paradoksalna sprzeczność, stanowiąca doskonałą kanwę tematową dla obrazów Jahla, jako malarz-biograf rycerza z Manczy może on bowiem — nie sprzeniewierzając się logice naturalizmu — przekształcać rzeczywistość w duchu swoich własnych przeciw niej buntów romantycznych. Tu wszakże odrazu zaznaczyć wypada, że heroicznych wyczynów Donkiszota — w założeniach swoich tak bliskich kultowi imponderabiljów, cechującemu bardzo polski temperament psychiczny Jahla — nie należy bynajmniej uważać za jedyną odskocznnię jego wyobraźni twórczej. Znajduje ona dla siebie potężny i płodny bardzo impuls w każdym odruchu rewolty człowieka: świadczy o tem cały szereg kompozycji, których treścią są różne

epizody i sceny uliczne ostrych konfliktów socjalnych. Nawet malując pejzaż miejski wybiera on zazwyczaj nędzne domy dzielnicy robotniczej, których pełna wyrazu brzydota już sama przez się posiada specyficzną patetykę jaskrawego protestu przeciw rzeczywistości.

Nie zastanawiając się wcale nad taką lub inną chronologią przyczynową, nad takim lub innym porządkiem hierarchicznym współzależności istniejącej pomiędzy dwiema kategorjami — treść i forma — składników obrazu, można z całą stanowczością powiedzieć, że same tylko pobudki ideowej natury nie decydują nigdy o charakterze pierwiastka tematowego w twórczości Jahla. Nawet wybitnie liryczny stosunek jego do otaczających go przejawów życia codziennego jest w twórczych konsekwencjach swoich przede wszystkim i nawskroś malarski, tak zdecydowanie i wszechobejmująco malarski, że na „anegdotę“ tematu wcale nie ma już miejsca. Niema ani w wyobraźni Jahla, ani w kompozycjach jego, tak doskonale jednak „czytelnych“ dzięki przejrzystemu stylowi języka barw i linii. Dlatego też w licznych a różnych treściach „Donkiszotach“ jego cała „literatura“ każdego epizodu zaznaczona jest bardzo dyskretnie najniezbędniejszymi szczegółami „ikonograficznymi“, właściwy zaś tragizm sytuacji oddany jest środkami wyłącznie i czysto malarskimi: głównie — dobrze zorkiestrowaną grą światłocieni kolorowych i trafnem ujęciem kompozycji graficznej.

Równocześnie zaś cała, swoicie piękna indywidualność psychiczna Donkiszota jest tak plastycznie uwydatniona, treść wewnętrzna jego przygód tak zrozumiale przedstawiona, że „temat“ w tych warunkach śmiało zaliczyć można pomiędzy organiczne a wcale nie przypadkowe składniki obrazów Jahla. Pierwiastek ten pogłębia nawet ich subiektywne walory artystyczne, gdyż — czynnik pierwszorzędnej wagi — potęguje oddziaływanie emocjonalne obrazu na wrażliwość uczuciową widza. Mówiąc nawiasem, słuszny zasadniczo — ale tylko zasadniczo! — pogląd St. Witkiewicza na rolę pierwiastka tematowego w obrazie bywa dosyć często mylnie interpretowany, przy najzupełniej bowiem jednakowo doskonałym wykonaniu malarskim „Kaśka w rzepie“ nigdy nie będzie warta „Jana Zamoyskiego pod Byczyną“. Nie może go być warta, gdyż jest uboższa wartościami wzruszeniowymi ogólnie-estetycznego pochodzenia. I żadna dialektyka doktrynerska tego stanu rzeczy zmienić nie zdoła — malarstwo dla malarstwa tak samo nie ma racji bytu, jak... sztuka dla sztuki. W obu wypadkach dbałość o artyzm formy traktować należy jako wprawdzie naczelne, ale nie jedyne hasło każdego wysiłku twórczego.

To właśnie poczucie artystyczne j odpowiedzialności za piękno składników formalnych obrazu posiada Jahl w dużej bardzo mierze. Nic z łatwości wirtuozowskiej i nawet nic z rozmachu żywiołowego! — ba, kompozycje niektóre noszą aż zbyt widoczne ślady przesadnej wprost skrupulatności w poszukiwaniu takich układów koloru i rysunku, których gradacja świetlna, ton upigmentowania lub struktura linijna posiadałyby elokwencję plastyczną, czyniącą wszelki komentarz literacki zbędnym. Zadanie wyjątkowo trudne, tematy bowiem obrazów Jahla mają, pomijając małą względnie ilość portretów, krajobrazów lub „aktów“, skomplikowaną i głębszą treść wewnętrzną, której akcja rozgrywa się przytem często — jak nprz. w jego „Donkiszotach“ — na tle fikcyjnej absolutnie rzeczywistości.

I tu dopiero daje Jahl istotną miarę swoich możliwości twórczo-malarskich już czysto, narzucając subiektywne pozory realizmu plastycznym formom fantastycznej opowieści Cerwantesa. Zastrzeżenie „subiektywne pozory realizmu“ jest konieczne, jako że w istocie Donkiszot Jahla uchybia przeciętnym normom anatomicznym postaci ludzkiej, że jego Rossynant przypomina raczej apokaliptyczną bestję aniżeli spo-

kojną szkapę, że i ziemię i niebo takiego krajobrazu spotkać można tylko w bajce, ale nie w naturze... Lecz czyż nie jest to właśnie wzorowo trafne ujęcie ikonograficzne tematu?! Wiele, bardzo wiele trudu zadał sobie Jahl, by podporządkować artystyczną wiedzę swoją tak skomplikowanemu pod względem możliwości malarskich celowi swojej w o l i twórczej — trudu, ale nie... przymusu.

Powieść *Cerwantesa* — obłędne przygody błędnego rycerza: malarsko problem ten rozwiązuje Jahl, wprowadzając do kompozycji tak wyjaskrawione kontrasty barwno-światłne, tak gwałtowne skróty perspektywy liniowej, że obraz staje się plastyczną syntezą szaleńczego dynamizmu bohaterskiego, który przecież decyduje o charakterze całego życia *Donkiszota*. Niewątpliwie, rzeczywistość w ten sposób przekształcona nie grzeszy poprawnością akademicką, ale też i daleka jest od wszelkiego pseudo-prymitywizmu, zbyt często i zbyt niezręcznie maskującego absolutne nieuctwo. Każdy natomiast z tych „występków“ przeciw akademizmowi posiada u Jahla swoją estetyczną rację bytu, świadcząc wymownie o jego rzetelnej i rozległej wiedzy artystycznej. Pejzaże i portrety jego dowodzą przytem bezsprzecznie, że potrafi on, gdy zachodzi ku temu słuszny powód kompozycyjny, traktować temat w sposób par excellence naturalistyczny, aż do sumiennego uwzględnienia podobieństwa indywidualnego włącznie. Jahl, który przeeksperymentował różne „izmy“ estetyczne, doszedł do swojego własnego stylu formy malarskiej w konsekwentnym wyniku ostatecznego skryształizowania się jego uczuciowych przesłanek twórczych.

Do takiego a nie innego ukształtowania się tego stylu przyczyniły się w pewnej mierze wpływy postronne dawnych mistrzów — mistrzów światłocienia, Ribery, Rembrandta, Daumiera przedewszystkiem, artystów, których sztukę zdaje się Jahl specjalnie wysoko cenić. Uderza to zwłaszcza w swoim, a przecież ich technice pokrewnem rozwiązywaniu malarskiego zagadnienia trójwymiarowej masy powietrzno-przestrzennej stanowiącej główny materiał konstrukcyjny jego obrazów. Dzięki raptownym przejściom od silnie skoncentrowanych plam świetlnych do ciężkich i wielkich brył cienia masa powietrzna nabiera życia, wyrazu, ruchu, dobitnie podkreślając patetyczne tempo akcji. Tempo, którego staccatowym tragizmem nacechowany zresztą jest układ wszystkich prawie składników figuralnych jego kompozycji, układ wzorowany na patosie malarstwa barokowego w najlepszym tego stylu okresie: ostro łamane linje, dwuwymiarowe przekątne, śmiałe skróty.

Chociaż Jahl posiada w swoim bogatym dorobku artystycznym liczne i doskonałe akwaforty, struktura jego obrazów odznacza się charakterem nawskroś malarskim, a nie graficznym — linje są zawsze kolorowe, barwne, o rytmicznie przeprowadzonej gradacji tonów. I to wprowadza uspokajającą nutę do jego dramatycznych kompozycji — jest plastycznym refleksem ludzkiego, arcy-ludzkiego optymizmu, kryjącego się gdzieś głęboko w tajnikach duszy Jahla. Boć przecież i bohater jego obrazów, *Donkiszot*, wierzył w triumf swojej krucjaty rycerskiej. A Jahl, chociaż tylko pędzlem, walczy również o piękniejszą rzeczywistość.

Zygmunt St. Klingsland

K S I A Z K I

Artur Górski: D r o g i do k u l t u r y. Biblioteka „Ziemi“ I. Warszawa, 1934; str. 40.

Wkrótce po ukazaniu się w druku niewielkiej rozmiarami książeczki pod powyższym tytułem w szeregu miast uniwersyteckich odbyły się akademie ku czci Artura Górskiego. Ten prosty zbieg okoliczności ma swoje głębsze znaczenie; wytłumaczenie tego związku może być najlepszym komentarzem do tej publikacji. Wymaga ono jednak retrospektywnego rzutu oka, od niego więc rozpoczynamy.

Kult naukowej ścisłości, górujący wraz z kultem „specja“ nad innymi kultami, wszczepił w nas ironiczno-sceptyczny stosunek do wszystkiego, czego się naukowo jeszcze nie dowiodło, o czym specjalista rozstrzygać się nie podejmował. Eliminując zagadnienia i idee, nie dające się w obecnym stanie nauki ująć i rozstrzygnąć, z pola pracy naukowca — dochodziliśmy do dość zabawnego zjawiska: do wygodnego, bo usuwającego poczucie upokorzenia, przyjmowania za nieistniejące wszystkiego tego, z czym nauka nie mogła sobie dać rady. Tak w praktyce wyglądał ten minimalizm filozoficzny. Do tego „nieistnienia“ pewnych kwestyj przyczyniały się nadto pewne urazy, albo przekorności partyjne, wreszcie niechęć naukowców do wszystkiego, co trąciło wartościowaniem, co było mitem, przedmiotem wiary. Do dziś dnia dają się słyszeć jeszcze ironiczne głosy „pozytywnie“ myślących, że ta historia kultury, to „wszystko i nic“, a kwestia kultury narodowej uchodzi za temat „endecki“. Aczkolwiek idea mitu i jego znaczenia w rozwoju społeczeństwa i osobowości dawno została spopularyzowana, każdy snob naukowości uważa idee kierownicze za coś wstydliwego, w czym nie chciałby brać udziału — za mętne ogólniki, które mogłyby popsuć reputację ścisłości jego myślenia.

Dla naukowca wygodniej jest, żeby pewnych kwestyj poprostu nie było: zostawić je — skoro trzeba, by je ktoś „załatwił“ — literatom, jako ludziom nieodpowiedzial-

nym; potem to będzie można im „wybaczyć“ z pokrytym przez uprzejmą tolerancję uśmiechem. Nie można też uskarżać się na to, żeby literaci z tego przywileju ryczałtowej nieodpowiedzialności nie korzystali — owszem: korzystają, korzystają!...

A jednak, zwłaszcza na zachodzie, ten stan rzeczy się zmienił. Mnożące się wydawnictwa z zakresu filozofii wartości, z zakresu filozofii kultury i to modne słówko „struktura“ wyraźnie wskazują na poszukiwania idei kierowniczych, na odwrót od analitycznego „atomizmu“, zwrot do ujmowania całości, do rozumienia w ten właśnie sposób i kultury i osobowości człowieka*).

Ale ten zwrot właśnie wymaga od naukowca tego, czego się niedawno wyrzekał: konstruktywnej wyobraźni, intuicyjnego — na sposób artysty — wyczuwania tego, co stanowi istotę rzeczy, reagowania na treści całą osobowością i oddawania ujętych kompleksów zjawisk i treści w formie, pokrewnej artyzmowi poetyckiemu przez swą syntetyczność.

Cała działalność Artura Górskiego wyrosła z troski o jedność kultury, o idee kierownicze, które tę jedność kulturze nadają, o właściwe poczucie hierarchii wartości, bez którego nie da się pomyśleć harmonja. Wy-

*) Oto np. charakterystyczny ustęp z książki Russella: „Zgodnie z koncepcją tradycyjną, kultura jest czemś ciasnym i ograniczonym; dzisiejsza niepopularność kultury wśród szerszej publiczności jest w dużym stopniu wynikiem takiego właśnie jej ujmowania. Prawdziwa kultura... pomaga zrozumieć społeczeństwo ludzkie jako całość, zdawać sobie sprawę z celów, do jakich społeczeństwo to dążyć powinno, wreszcie — ujmować teraźniejszość w związku z przeszłością i przyszłością. Prawdziwa kultura ma zatem wielką wartość dla tych, którzy mają sprawować władzę, i jest im nie mniej potrzebna, niż różne wiadomości specjalne“ (B. Russell: *W y c h o w a n i e a u s t r ó j s p o ł e c z n y*).

stąpienie na łamach „Życia“ w obronie „Młodej Polski“, górny idealizm „Monsalwatu“, niezabieranie głosu w zgłębku polemiki łatwo utożsamiano z podejrzanem dziś kapłaństwem estetów modernizmu. Nieporozumienie, oparte na powierzchownej analogii! Zarówno „Monsalwat“ jak „Ku czemu Polska szła“ nic z estetyzmem jako postawą życiową nie mają wspólnego; są one rezultatem instynktownego poszukiwania takich wartości w minionym życiu Polski, które miałyby moc kierowniczą, stanowiłyby materiał na organizujący teraźniejszość obraz przyszłości. „Monsalwat“ był swego czasu protestem przeciwko krótkowzroczno - filologicznemu i filisterskiemu pojmowaniu Mickiewicza, przeciwstawieniem głębszej prawdy, s e n s u żywota Mickiewicza, ułamkowym prawdom z czysto fachowych punktów widzenia. Był także walką o Mickiewicza „żywego“, t. j. całego, stwierdzeniem wartości twórczych nietylko w utworach, lecz i w życiu, wołą przeniesienia ich w życie z literatury. Kto zdaje sobie sprawę, jakie znaczenie miał popozytywistyczny nawrót do polityki Mickiewicza we wszystkich niemal poczynaniach społeczno-politycznych końca XIX w. i początku XX wieku w Polsce, ten przyzna, że wpływ poety na tę dziedzinę naszego życia był jeśli nie większy, to widoczniejszy od innych, choć odbywał się poza świadomością większości oficjalnych historyków literatury i niejako wbrew ich ocenom tej dziedziny działalności Mickiewicza. Górski był nietylko jednym z wyrazieli tego nawrotu do Mickiewicza, lecz i tym, który same wartości, tkwiące w życiu duchowym Mickiewicza, najpełniej uświadomił. Szerokie widnokręgi w zapatrywaniu na kulturę i poczucie właściwej hierarchii wartości sam zdobywał i kształcił w sobie w młodości, wpatrzony w wizerunek Mickiewicza, ale też z tradycji tej zaczerpnął najwięcej i jak nikt predestynowany był do przekazania jej dalszej przyszłości.

Nikt nie dorównał Wyspiańskiemu w sile i pięknie wyrażenia tragizmu żywota Mickiewicza, ale pozaartystyczne znaczenie tego utworu podobne było działaniu Żeromskiego, rozrywaniu ran, aby się nie zabił bloną podłości. Podjęciu prawdziwie realnej polityki Mickiewicza w znacznej mierze zawdzięczamy obecny nasz byt. Kulturę życia duchowego Mickiewicza przejąć jest najtrudniej, stąd też działalność Górskiego w tym kierunku nie ustaje.

Lecz służba w przekazywaniu idei i wartości moralnych Mickiewicza była dla Artura Górskiego tylko jednym ze środków pełnienia postulatów, który od czasu przeży-

ciażenia pozytywizmu naukowo stał się żywotny: organizowania jedności duchowe, narodu. O tem świadczą „Glossy“, o tem świadczą cały szereg innych pism. Idzie Górskiemu zawsze o te wartości naczelnne, które nadają kierunek życiu, i o to, co stanowi ośnowę kultury. Rozważaniom nad istotą kultury, nad tem, co stanowi składowe jej czynniki, poświęcona jest i tegoroczna publikacja p. t. „Drogi do kultury“. Zwięzłość i przejrzystość w syntezie zawdzięczamy temu, że Górski jest myślicielem i poetą zarazem. Tylko poetyckie umysły zdolne są zawrzeć syntezę w obrazie, metaforze nadać precyzję najściślejszego określenia, oddać pełnię jakiejś rzeczywistości, bez redukcji intelektualistycznej. Najcenniejszą rzeczą w pismach Górskiego jest ten zmysł dla harmonii całości, płynący z poetyckiego i moralnego wycucia hierarchii wartości miejsca każdej z nich w całokształcie życia.

Psychologia nowoczesna zwróciła uwagę na znaczenie zapomnień i lapsusów w życiu jednostki. Myślę, że zapomnienia „znaczą“ tak samo coś i w życiu publicznym, i tembardziej warto takie znaczenie odcyfrować. Organizm, który nie czuje głodu rzeczy dla jego życia niezbędnych, jest chory; to samo rzecz można o społeczeństwie, zapominając o tem, co stanowi jeden z głównych czynników jego istnienia. Czasem przeciąga jąca się długo niepamięć jest panowaniem „złych mocy“. Można by im wręcz przypisywać nieomylny instynkt w wyczuwaniu tego, co trzeba przemilczeć, na co czujność uspić kogo wręcz nie dostrzegać. W pośpiechu tworzenia i umacniania ram naszego życia. w kulcie techniki, formy i sprawności przystępujemy do zagadnień życia przeważnie od zewnątrz. Nie jesteśmy w tem dojrzałsi i głębsi od harcerza, który przez wyczyny sportowe i rekordy pragnie dojść do bohaterstwa duszy i ludzi się, że się je w ten sposób zdobywa. W zgłębku poszczególnych zadań, w zazdrośnym przestrzeganiu prestige'u specjalizacji — zapominamy o tem, co najważniejsze, mianowicie: że szczegółom i częściom nadaje sens dopiero całość, a harmonię tej całości — poczucie właściwej roli każdego czynnika.

Atomizm, krytycyzm analityczny, intelektualizm i wyjałowienie życia duchowego mszczą się na nas, utraciliśmy „zmysł“ najważniejszy, zmysł dla tego, co najważniejsze dla c a ł o ś c i. I dlatego zapomnieliśmy o Arturze Górskim... że nie jest „specem“. Pominiecie przy wyborach do Akademii Literatury pisarza, który nie reprezentuje żadnego prądu, czy kierunku, i dlatego stoi na uboczu, że obrał troskę o to, co najwa-

niejsze, o harmonię całości — jest też wymownym i symptomatycznym świadectwem. To znaczy, że kultura, pojęta jako całość, jest wciąż dla nas mitem, którym nie warto się interesować. Czem, wobec tego, ma się interesować Akademia Literatury?...

Chaos i rozstrzelenie dążeń w naszym obecnym życiu zaczyna jednak powoli budzić reakcję w postaci tęsknoty za ideami kierowniczymi. Próby socjologicznego ujmowania zjawisk poszczególnych są również wyrazem instynktownego dążenia do pochwycenia wewnętrznego związku poszczególnych dziedzin kultury. Nie dający się zaprzeczyć renesans Norwida zawdzięczamy napewno nietylko urokowi jego oryginalnego artysty, ale wymownej w jego dziełach przenikliwości i głębi w pojmowaniu struktury życia zbiorowego.

Być może, że i tym sporadycznym dotąd objawom przeknięcia się i poszukiwania wśród współczesnych tych, którzy, wolni od tej czy innej doktryny, ogarniają całokształt potrzeb naszego życia, zawdzięczamy przypomnienie o zasługach Górskiego. Tym poszukiwaniom wychodzi naprzeciw ostatnia jego publikacja.

Stefan Kołaczkowski.

J. Wł. Dawid: *Psychologia religii*. Z portretem autora i życiorysem, skreślonym przez Henryka Lukreca. Nakładem „Naszej Księgarni” Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa, 1933, str. 150.

W lutym b. r. minęło dwadzieścia lat od śmierci Jana Władysława Dawida, wybitnego psychologa, pedagoga i publicysty, jednego z współtwórców polskiej nauki okresu pozytywizmu. W związku z tą rocznicą ukazała się ostatnia praca naukowa Dawida, przygotowana do druku przez Henryka Lukreca, ucznia i wielbiciela autora „Inteligencji woli i zdolności do pracy”. „Psychologia religii” powstała jako syntetyczne opracowanie odczytów, wygłoszonych przez Dawida w 1912 r. na kursach wakacyjnych w Zakopanem, i została przez niego wykończona na rok przed śmiercią. Wychodzi zatem z dwudziestoletnim opóźnieniem. Pomysłana z początku jako rzecz większa, nie mogła jednak być zrealizowana według zamierzonego planu wskutek szczególnie ciężkich warunków materialnych, oraz postępującej wciąż naprzód choroby.

Temat ostatniej pracy Dawida nie należał, przynajmniej do pewnego czasu, do kręgu jego stałych zainteresowań naukowych.

Jako wyznawca pozytywizmu, redukującego teren poznania do zakresu empirycznie danej rzeczywistości, nie zdradzał zainteresowania dla zagadnienia religii, w stosunku do której był — jak sam wyznaje — „raczej niechętny”. Sprawę religii podjął pod wpływem bolesnego przeżycia osobistego (samobójczej śmierci ukochanej żony), które wstrząsnęło gwałtownie budowanym przezeń przez lat trzydzieści poglądem na świat, opartym na wynikach badań ściśle naukowych. Wyrazem dokonywującej się w Dawidzie duchowej przemiany są trzy ostatnie, za życia jego wydane, prace („O intuicji w filozofji Bergsona” 1911, „O intuicji w mistyce, filozofji i sztuce” 1912, „O filozofji Bergsona” 1914), poświęcone zagadnieniu intuicji ze szczególnym uwzględnieniem intuicjonizmu Bergsona. Filozofja Bergsona odegrała w dziejach ewolucji filozoficznej Dawida rolę fazy przejściowej na drodze od pozytywizmu i materializmu do „żywej prawdy” doświadczenia intuicyjno-mistycznego.

Tragizm osobistego cierpienia odsłonił przed nim — jak wyznaje — niedostateczność stanowiska materialistycznego, nie wyjaśniającego faktów tak doniosłych, jak istnienie prawa moralnego, zła, cierpienia i śmierci. W gorączkowym, namiętnym poszukiwaniu rozwiązania dręczących go zagadnień nie chroni się przed zwątpieniem pod opiekunęce skrzydła dogmatu, nie zwraca się do religii oficjalnej, nie szuka spowiednika. Wewnętrzne doświadczenie, bezpośrednio intuicyjne poznanie staje się dlań jedyną instancją, powołaną do orzekania w sprawach, przekraczających możliwości myśli dyskursywnej. „Kto z ciekawości przystępuje do kwestyj mistycznych, nieśmiertelności i t. p., ten niczego się nie dowie, nie przekona. Są to rzeczy, związane z życiem jednostki. Muszą być jednocześnie poznawane i przeżywane. Objasnienia mistyczne nic nie mówią tym, co szukają tylko wiadomości. Pytania te trzeba stawiać *życiem*, nie zaś *myślą*, wynikać one muszą z tego, co się w człowieku i z nim dzieje, a nie z tego, co myśli. Musi być *wewnętrzna*, *organiczna* wola dowiedzenia się, a nie intelektualne dążenie”. Jak więc widzimy, stanowisko Dawida jest raczej stanowiskiem artysty, niż uczonego; za poetą mógłby powiedzieć: „by mnie zrozumieć, nie ze mną trzeba być, lecz *we* mnie”. Warunki psychologiczne, w jakich powstała „Psychologia religii”, wybitnie psychologiczny charakter jej genezy — powinny być najważniejszą wytyczną w ocenie jej obiektywnej, naukowej wartości.

W sporze między psychologami o istotę uczuć religijnych, o to, czy są one czymś samoistnym i odrębnym, czy też tylko zespołem uczuć poddania się, miłości, pokoju, czci i t. d., a więc sumą stanów, znanych każdemu, żyjącemu w świecie społeczno-moralnym — staje Dawid stanowczo w obronie swoistości uczucia religijnego. Uważa, że gdyby nawet wszystkie pierwiastki życia religijnego były dane w zwykłym doświadczeniu, to jednak tworzą one w religii szczególną psychiczną całość, której przez jej pierwiastki zrozumieć niepodobna; stanowią one syntezę o odrębnej, do elementów niesprowadzalnej, jakości. Dlatego też odmawia areligijnym psychologom — wbrew opinii Höffdinga i Leuby — kompetencji w sprawach religii, jako doświadczenia wewnętrznego, niezależnego od dogmatycznie ustalonej treści jakiegokolwiek pozytywnego wyznania. Używając terminów ostatniej książki Bergsona „*Les deux sources de la morale et de la religion*”, którą lektura książki Dawida często przywołuje na myśl, możnaby powiedzieć, że odróżnia on dwa rodzaje religii: „statyczną” — zamkniętą, zewnętrzną i formalną, do której człowiek z przypadku przynależy, oraz „dynamiczną” — otwartą, która należy do niego, do której sam po promieniach uczucia dochodzi. Od psychologa religii wymaga Dawid duchowej kongenualności z przedmiotem jego badań, „bezpośredniej znajomości rzeczy”. Do uczonych zaś, którzy temu warunkowi nie odpowiadają, można — jego zdaniem — zastosować słowa Mickiewicza, wypowiedziane po przeczytaniu „*Christliche Mystik*” Goerresa, że autor opisuje kraje, w których nigdy nie był, które zna tylko ze słyszenia.

Poczytując stany mistyczne za najczystsza i najbardziej intensywną formę doświadczenia religijnego, podejmuje Dawid, na podstawie licznych wypowiedzi mistyków, próbę rekonstrukcji „drogi mistycznej”, podkreślając, że dokonywujący się w ekstazie akt miłości mistycznej (*u n i o m y s t i c a*) nie wyczerpuje bynajmniej treści mistycznego przeżycia. Zwalcza pogląd, jakoby główną cechą mistycyzmu była kontemplacja, bierność i ucieczka od życia, wskazując na wielkich mistyków, takich naprz. jak św. Franciszek z Assyżu, św. Teresa, św. Katarzyna z Sienny, Eckhardt, Tauler i in., którzy byli ludźmi czynu i twórczej energii. Zależnie od przewagi uczucia, woli lub myśli odróżnia Dawid trzy typy religijne: *u c z u c i o w y* (św. Bernard z Clairvaux), *a k t y w n y* (św. Franciszek z Assyżu) i *i n t e l e k t u a l n y*, do którego zalicza „nawrócenia” Lutosławskiego i Brzozowskiego.

Najbardziej interesującą częścią „*Psychologii religii*” nie jest jej partja opisowa, przypominająca w wielu szczegółach wcześniejszą rozprawę „*O intuicji w mistyce, filozofii i sztuce*”, ale wyjaśniająca, w której Dawid zastanawia się nad pytaniem: czym jest religia w swej najgłębszej treści i jakie jest jej prawdziwe źródło? Na czym polega obiektywno-poznawcza wartość przeżycia religijnego; czy jest ono tylko zdeterminowanym przez warunki procesem psychicznym, subiektywnym tylko doznaniem, zależnym od tego „jak się komu w duszy gra”, czy też przejawem celowo działającej transcendentnej siły. W ten sposób przenosi Dawid punkt ciężkości zagadnienia z dziedziny psychologicznej do epistemologicznej, poznawczej. Od psychologii religii przechodzi do jej filozofii.

Za błędne i jednostronne uważa znane mu teorie naukowe, rozpatrujące religię jako wytwór życia psychicznego, organicznego lub społecznego. Teorii psychologicznej zarzuca skłonność do „patologizowania stanów religijnych”. Opisując krańcowe objawy ekstazy, utożsamia je ona niesłusznie z podobnymi faktami obserwacji klinicznej, wyciągając stąd fałszywy wniosek, że wszelkie wogóle przeżycie religijne jest czymś chorobliwym. Zaburzenia nerwowe, występujące w wypadkach głębszego życia religijnego należy, jego zdaniem, tłumaczyć tak samo, jak analogiczny związek, zachodzący między geniuszem a objawami psychopatycznymi: bardziej subtelna budowa systemu nerwowo-mózgowego usposabia zarówno do spotęgowanej czynności duchowej, jak do zakłóceń funkcji nerwowych. Wbrew Jamesowi i pokrewnym mu badaczom, jak: Starbuck, Delacroix, Lecard i in., sprowadzającym zjawiska życia religijnego do działania podświadomości, twierdzi Dawid, że rozwój mistyczno-religijny odbywa się w pełnym świetle świadomości. Nigdy bowiem człowiek nie żyje życiem pełnym i intensywnym, nigdy pewnych rzeczy nie widzi i nie poznaje tak jasno, tak głęboko nie czuje, nie ma tak żywej świadomości siebie, jak właśnie w chwilach przeżyć religijnych“.

Niedostateczność pragmatyczno-biologicznej teorii, upatrującej w religii środek zachowania i spotęgowania życia, pożyteczną fikcję, sojusznika w walce o byt, tkwi — według Dawida — w zawartej w niej *i m p l i c i t e* sprzeczności. Uświadomienie sobie bowiem faktu, że religia jest tylko wybiegiem życia organicznego, wyklucza zgóry jej oddziaływanie, jako środka służącego jego podtrzymywaniu. W ten sposób operują pragmatyści pojęciem siły, której niema

I dla niego religja jest „fons vitae“. Ale ona tworzy „nowe życie“, inne zupełnie od tego, które z punktu widzenia biologicznego za życie uważane być musi. Jest środkiem walki o doskonalszy, duchowy byt.

Ostre krytyce poddaje także teorię socjologiczną Durkheima, który na podstawie analizy totemizmu, jako najbardziej pierwotnej formy religji, doszedł do wniosku, że życie religijne jest wytworem życia społecznego. Społeczeństwo bowiem ma w sobie wszystko, co potrzeba, by obudzić w człowieku uczucie boskości: utrzymuje go w ciąglem poczuciu zależności, wymaga ograniczeń, wyrzeczeń i ofiar, bez których nie mogłoby istnieć. „Idea społeczeństwa jest duszą religji“. Najważniejszym kontrargumentem Dawida jest twierdzenie, że religja nie tylko uspołecznia ludzi, ale ich także odspołecznia, jako czynnik rozdzielenia i walki. Idea zbawienia, znamienna dla wyższych religji, jest z istoty swej aspołeczna i egoistyczna. Społeczeństwo może korzystać z dobrodziejstw świadomości religijnej dzięki temu właśnie, że urabiała się ona niezależnie od warunków społecznych.

Grzechem pierwotnym wszystkich psychologów religji jest, zdaniem Dawida, atomizowanie uczuć religijnych, rozpatrywanych jako zjawiska wtórne, jako funkcje psychicznych czy społecznych warunków. Według niego, przeżycie religijne jest intuicją obiektywnie istniejącej, duchowej rzeczywistości, procesem psychicznym, wywołanym przez celowo działającą siłę transcendentną, której świadomość ludzka jest „narzędziem i zegarem“. Można w tem (w religji) widzieć analogję z zagadnieniem życia wogóle. Wyjaśniamy życie, sprowadzając je do zjawisk i procesów mechanicznych i fizyczno-chemicznych, ale oprócz nich i poza niemi dorozumiewamy się jakiegoś czynnika twórczego, celowego, jakiejś entelechji, psychoidu, determinantu, który dla swego urzeczywistnienia posługuje się materją i procesami fizycznymi. W życiu religijnem takim czynnikiem twórczym i kierowniczym, który dla swego urzeczywistnienia się i wyrażenia posługuje się procesami psychologicznymi, jest intuicja natury poznawczej i aktywnej, mająca jednocześnie w sobie coś z myśli i z woli, świadomość i pożądanie pewnej Rzeczywistości pozazmysłowej, najwyższej Doskonałości, wiecznej, ponad wszelką zmianę trwającej Wartości, słowem — jest to *M y ś l i W o l a A b s o l u t u*“.

Tak jak sprowadzenie nauki, techniki i sztuki do szeregu przyczynowo uwarunkowanych procesów psychicznych myślącego

i działającego podmiotu zakłada jednocześnie istnienie odpowiadających im obiektywnych faktów — tak samo prawdziwe zrozumienie doświadczenia religijnego możliwe jest, według Dawida, tylko przy przyjęciu pozadoświadczałnej, duchowej rzeczywistości. W ten sposób stanął Dawid wobec zagadnienia par excellence metafizycznego — wobec zagadnienia transcendencji, które rozwiązuje, jak widzimy, w duchu wyraźnej spirytualistycznej. Ze względu na tę czysto metafizyczną konkluzję ostatniego dzieła Dawida nie należy stosować wobec niego kryteriów obiektywno-naukowych. Pamiętając o jego psychologicznej genezie, winniśmy ją oceniać nie jako wytwór poznania naukowego, ale raczej jako produkt przeżycia, które spowodowało zasadniczą zmianę w poglądzie na świat Dawida, w którym — mówiąc słowami Kanta — wiedza musiała ustąpić, aby zrobić miejsce dla wiary.

J. Bleiberg.

D. H. Lawrence: *Kochanek lady Chatterley*. Powieść. Tom I — II. Warszawa, 1933, M. Fruchtmann.

Obecny kryzys ekonomiczny odbił się we Francji, oczywiście, i na rynku księgarskim (jakkolwiek, według danych statystycznych, w mniejszym stopniu, niż na innych rynkach). Ale oto pojawiła się tam powieść — raczej tłumaczenie francuskie powieści zmarłego wkrótce po jej napisaniu pisarza angielskiego — którą wprost rozchwytyują (podobno koło tysiąca egzemplarzy dziennie), nad którą nie mogą jakoś przejść do porządku dziennego, o której bez końca piszą, bądź zachwycając się, bądź potępiając, na której temat urządzają zebrania literackie... Książką tą jest *Kochanek Lady Chatterley* Dawida Herberta Lawrence'a. Zanim przejdziemy do omówienia cech, które książkę tę czynią istotnie jedyną w swoim rodzaju, do analizy przyczyn jej głębokiego oddziaływania na psychikę mas — godzi się dać przede wszystkim krótkie jej streszczenie.

Młodziutka Konstancja Reid, córka szkockiego malarza-akademika, jedzie ze starszą siostrą Hildą do Niemiec na studia. Dla obydwu siostr miłość nie ma w tym okresie ich życia wielkiego znaczenia. „Były wolne. Rajska obietnica: będziesz znała mężczyzn, z którymi będziesz mogła rozmawiać“ — nigdy nie została wyrażona; a oto ziściła się, zanim zrozumiały wszystko, co zawierała. „Najważniejszą rzeczą były rozmowy“. Każda z nich ma romans z kolegą-Niemcem, z tym, z

którym najchętniej i najnamietniej rozmawiała; ale ustępuje mu raczej, by nie zrazić go do siebie i nie przerywać tego cudownego obcowania w rozmowach. „Stosunki cielesne były rodzajem reakcji, powrotu do instynktu. Potem lubiło się młodego człowieka trochę mniej, niż poprzednio“. „Gdyż poeci, którzy opiewali miłość, byli to nadewszystko mężczyźni. Kobiety wiedziały zawsze, że istnieje coś lepszego, coś wyższego nad miłość“. „Piękna i harda wolność kobieca była ponad miłością zmysłową. Niestety, punkt widzenia mężczyzny był tak zacofany! Jak psy, upierali się przy swem pragnieniu aktu piciowego“.

Ale wybuchła wojna. Panny Reid powracają do Anglii, gdzie, umiarkowanie opłakawszy kochanków swoich, zabitych na froncie francuskim w 1914 roku, obie wychodzą za mąż. Mężem Konstancji jest młody oficer angielski, sir Clifford Chatterley, człowiek dumny, pełen poczucia ważności arystokratyzmu jako funkcji społecznej, a jednak nieśmiały, w gruncie rzeczy, i wystraszony wobec wszystkich, którzy nie należą do jego środowiska.

„W strasznym 1917 r.“ pobrali się podczas miesięcznego urlopu Clifforda. „Zbliżenie ich było zbliżeniem rozbitków na tonącym okręcie. Clifford nie znał jeszcze kobiet i fizyczna strona małżeństwa niewielkie miała dla niego znaczenie“. „Akt fizyczny był tylko przypadkiem, jedną z tych ciekawych funkcji organicznych, które trwają, brutalnie trwają, ale które nie są już niezbędne“. Po upływie miesiąca Clifford powraca na front, skąd w pół roku później przywożą go ciężko ranego, wprost poćwiartowanego. Wyzdrowiał wprawdzie po dwóch latach usilnych starań lekarskich, ale cała dolna połowa ciała została sparaliżowana. Jest ostatnim z roku — nowego baroneta Chatterley być już nie może.

„Żyjemy w świecie par excellence tragicznym; to też nie zgadzamy się brać go tragicznie. Kataklizm przeszedł i oto zaczynamy budować nowe tory, powoływać do życia nowe nadzieje. Praca to dość ciężka; niema już łatwych dróg ku przyszłości. Musimy obejść przeszkody, lub też z trudem wgramolić się poprzez nie. Trzeba nam żyć, mimo upadku tylu niebios“. Konstancja żyje zatem ze sparaliżowanym mężem niedaleko od kopalni Tavershall, w posępnej siedzibie Chatterley'ów, Wragby, „gdzie zawsze ktoś jest przeziębiony“.

Clifford zaczął wówczas pisać nowelki, które nawet cieszą się powodzeniem, ale gdzie „nie niema w głębi“, jak to określił ojciec Konstancji. I Konstancja zdawała sobie sprawę, iż „rzeczy istotne skryte były przed tym człowiekiem“. Zresztą, wszyscy znajomi, któ-

rzy u nich bywają, są duchowymi kastratami, ze swą „obawą życia“, niezdolnością do entuzjazmu, brakiem szczerości, sztucznym stosunkiem do świata. Charakterystyczny przykład tej „wtórności“ każdej reakcji Clifforda i jego przyjaciół daje autor, kiedy Konstancji, zachwycającej się fijołkami, mąż cytuje Szekspira: „Są delikatne, jak powieki Junony“.

Inny nieco wydaje się słynny dramaturg, Irlandczyk Michaelis — zdający się mścić na moźnych tego świata za swoje gminne pochodzenie, rozczarowany, samotny i absolutnie wyzbyty złudzeń w stosunku do samego siebie. Za nim, powiada autor, łaszac się, wężąc i pokazując zęby, biegła bogini-suka: Powodzenie. Konstancja zostaje kochanką Michaelis'a. Nie na długo zresztą. Michaelis odjeżdża, po brutalnym i gorzkim akordzie końcowym ich romansu, i Konstancja znów pozostaje sama w Wragby ze sparaliżowanym mężem. „Czuła niejasno, że ginie, czuła niejasno, że jest od wszystkiego oderwana: straciła styczność ze wszystkim, co jest zasadnicze i żywotne w świecie“. „W miarę tego, jak życie mijało, Konstancję dreszczem przejmowała nicość życia“. „Jedyną rzeczywistością była nicość“.

Górnicy z pobliskich kopalń, których Clifford obserwował zawsze z zainteresowaniem, ale jakby przez mikroskop czy teleskop, zachowywali się wobec Konstancji z wyrafinowaną obojętnością, jakby myśląc: „Chociaż jesteś Lady Chatterley, ale my warci jesteśmy nie mniej od ciebie!“. Zadnego tedy ciepła dookoła! Nawet pokojówki w Wragby były stare. Cóż pozostaje innego w takim środowisku, niż zrezygnować zgóry z wszelkich zmian? „Nic się nie zdarzało. Zdawało się, że jedynym celem życia było: zgodzić się na wielką nicość życia“. „Co będzie potem? Konstancji zdawało się zawsze, że żadnego p o t e m nie będzie. Chciałaby schować głowę w piasek, albo przynajmniej na piersi żywego człowieka“.

Wówczas to pojawia się w Wragby nowy leśniczy, Oliwer Mellors. Nie jest to człowiek zupełnie pozbawiony kultury. Chociaż syn prostego górnika, był on oficerem podczas wojny i nabrał pewnej oglądy w obcowaniu. Ma lat 39, jest wysoki, szczupły, trochę zgarbiony, o zmęczonej twarzy i oczach, mających często przebliski ironji, czasem jednak gorących i dobrych. Konstancja zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy towarzyszyła w przechadze mężowi, który sam kierował swoim skomplikowanym wózkiem motorowym. Leśniczy, ze strzelbą na plecach i psem u nogi, zjawił się cicho i nagle „jak niespodziewana groźba, niewiadomo skąd przychodząca“.

Tymczasem Konstancja zaczyna podupadać na zdrowiu i stan jej wywołuje niepokój w jej najbliższych. Pewnego razu, zaszedłszy z poleceniem od męża do chatki leśniczego, Lady Chatterley zobaczyła niespodzianie na podwórzu Mellors'a, który, odwrócony od niej plecami, mył się, zupełnie nago. Konstancję uderzyła harmonijna piękność tej nagości męskiej; wycofała się niepostrzeżenie, ale już wtedy zaczął się w niej — raczej freudowski, niż stendhałowski — proces „krystalizacji”. Scena, kiedy Konstancja, rozebrawszy się, obserwuje z kolei własną nagość w dwóch lustrach, doskonale wydobyla to, co się w niej podświadomie dokonywało, wyraża w doskonałym skrócie jej organiczny protest przeciw bezużyteczności swoich sił żywotnych, przeciw wszystkiemu wogóle, co dotąd myśli i mówi i co — tak samo jak u Clifford'a — „nie jest żywą częścią drzewa, lecz rojem zwiedlanych liści, opadających z życia bez celu”. Wrażenie samotności, pustki, pragnienia macierzyństwa sprawiają, że pewnego dnia, schylona w kabine leśnej przed klatką, w której leśniczy hodował bażanty, nie może się wstrzymać od łez na widok niezgrabnie drepzczących piskląt — tego cudu zrodzonego naraz życia.

Leśniczy zobaczył te łzy i „poczuł, że wnętrzości jego wzruszyły się współczuciem”. Nie jest może prostym wypadkiem, że wtedy to właśnie Konstancja po raz pierwszy oddaje się Mellors'owi: romans Lady Chatterley jest może nie tylko **dramatem płci**, czy dramatem żywej roli, oczekującej ziarnej; jest to również „schowanie głowy na piersi żywego człowieka” przed grozą nicości, której ludzkiem uosobieniem jest Clifford, człowiek o „duchy również rannej, o duszy, skąd uciekło życie”.

Romans z leśniczym „dał Konstancji poczucie życia i wolności”. „Czuję się w centrum istnienia”, powiada do siostry (która odpowiada z pogardą: „Jak każdy owad”, na co znów Konstancja: „Sądziysz? Tem lepiej dla niego!”). Obmyśla ona chytry plan: wobec tego, że bezpłodny Clifford nic nie ma przeciw macierzyństwu Konstancji, byleby sam nie wiedział o jej romansie, Konstancja jedzie do Wenecji: dziecko, którego się spodziewa, będzie się mogło zdawać owocem jej przygód weneckich.

A jej kochanek? Mellors'a Konstancja „nanowo związała z ludzkością, kiedy postanowił być sam; miłość ta kosztowała go gorzką niezależność samotności. I teraz, kiedy wziął tę kobietę, skierował na siebie nową falę cierpień i potępienia”. Winny tu był świat dzisiejszy, świat cywilizacji i moralności mechanicznej, „gotowy zniszczyć wszy-

stko, co się nie stosuje do niego. Niedługo zniszczy las, i dzwonki leśne więcej kwitnąć nie będą”.

Tymczasem następuje rzecz nieprzewidziana. Żona leśniczego, która go dawno porzuciła — kobieta gminna, nieokrzesana i zła, przychodzi do jego chaty, chce wrócić do wspólnego z nim życia, a odepchnięta, mści się, rozpowiadając dookoła o chuciach męża w pierwszym okresie po ślubie, a także o jego kochankach, z których jedną była jakoby sama Lady Chatterley (Konstancja zostawiła lekkomyślnie w chatce leśniczego książkę swoją, na której wypisane było jej nazwisko). Mellors, zmuszony porzucić swą posadę, wyjeżdża do Londynu. O wszystkim tem Konstancja dowiaduje się z listów, bawi bowiem wciąż jeszcze w Wenecji. Postanawia zatem nie wracać już do Wragby, bo i na czem polega użyteczność jej poświęcenia, czemu właściwie służy, pozostając u boku męża, którym zajmuje się teraz doświadczona pielęgniarka? Ponieważ Clifford odmawia zezwolenia na rozwód, Konstancja jedzie z siostrą Hildą do Szkocji i tam, oddalona od Mellorsa, który ze swej strony również przedsięwziął kroki rozwodowe — czeka pojawienia się na świat dziecka.

Taka jest, w suchym streszczeniu, ta powieść, która w Anglii jest zabroniona (tak jak i książki Joyce'a) i która uczyniła nazwisko Lawrence'a słynnym poza granicami jego ojczyzny, chociaż napisał on dość wiele (**Biały paw, Tęcza, Wąż, Ranek w Meksyku, Opisy podróży** i t. d.). Cóż istotnie nowego wnosi ta powieść do literatury świata?

Pod względem formalnym, nowy jest stosunek Lawrence'a do materjału słownego, operowanie słowami, które mi dotąd nie było przyjęte posługiwać się w literaturze. „Rozkosze te, które lekkomyślnie zwą fizycznymi” (określenie doskonałej autorki francuskiej, Colette), opisane są w **Kochanku Lady Chatterley** z niesłychaną szczerością, z bogactwem szczegółów fizjologicznych, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni, z „nazywaniem każdej rzeczy własnem jej imieniem”.

Lawrence powiada sam w przedmowie do swej książki: „Dla ludzi czasu wypraw krzyżowych słowa musiały mieć siłę wywołującą, o której dziś nie mamy pojęcia. Siła ta była zapewne bardzo niebezpieczna dla ciemnych i gwałtownych natur średniowiecza; jest nią może jeszcze dla natur niskich, znajdujących się na słabym stopniu ewolucji... Obecnie kultura i cywilizacja nauczyły nas odróżniać słowo od faktu, myśł od aktu lub oddziaływań fizycznych...”. Istotnie: słowa, których używa, nie rażą. Jeżeli w ni-

niejszym artykule najmniej „śmiała“ z jego zdań, jak np. „Musnął pocałunkiem jej pępek“, mogłoby wywołać odruch zdziwienia, śmiechu i t. d., o tyle w tekście Lawrence'a przyjmują one charakter inny, dziwnie przedmiotowy, jakby wszystko, o czym mówi, opisane było z lotu ptaka czy raczej z lotu archaniola. Może dlatego, że książkę tę pisał człowiek śmiertelnie chory, że jest ona jego „testamentem“, wyrazem jego snu o życiu.

Nowy jest również stosunek Lawrence'a do żywiołu płci. Oczywiście, nie jest on pierwszym pisarzem, przypisującym ogromne znaczenie namiętności. Zdanie Stendhal'a o namiętności, jako trzecim stopniu miłości, albo zdanie Buffon'a, że w miłości tylko strona fizyczna jest „dobra“ — mogłyby być wypisane jako motto na wielu książkach, co więcej — na wielu dziełach sztuki. O twórczości Rodin'a na przykład Leon Daudet odzywa się tak: „Tajemnice ciała tak blisko dotykają poznania, iż zdaje się czasami, że ciękawość ciała kobiecego, którego się namiętnie pragnie, jest prątem wszelkiej ciekawości, wszelkich poszukiwań, wszelkich odkryć, od Adama i Ewy“.

W literaturze, — nie mówiąc o dziełach dawniejszych, — znamy erotykę Rabelais, Swift'a, Boccaccia, Macchiavella (*Mandrango*) i in. Ale wszyscy ci pisarze patrzą na swój przedmiot przez pryzmat śmiechu, śmiech zaś, jak wiadomo, jest zwycięskim orężem ludzkości w walce ze wszystkim, co mogłoby stać się dla niej straszne. U innych autorów (Casanova, margrabia de Sade) czuje się rozsmakowywanie się w scenach erotycznych; w obydwu wypadkach sceny te są nie środkiem, lecz celem. Bliższa Lawrence'owi jest bodaj *Sonata Kreutzerowska* Tolstoj'a, stawiająca również zagadnienie życia płciowego w związku z najgłębszym zagadnieniem samego życia. Ale zarówno założenia jak i wnioski proroka z Jasnej Polany są wręcz odwrotne, niż u pisarza angielskiego.

Możnaby wspomnieć jeszcze *Sanina* Arcybaszewa, który, jak Lawrence, żąda rehabilitacji instynktu, pragnie przywrócić ciału jego godność przyrodzoną, marzy o człowieku harmonijnym, silnym, zarówno pod względem umysłowym, jak płciowym. Ale Arcybaszew nigdy nie dotarł do poziomu, na który wznosi się powieść Lawrence'a: nie potrafił dać tego wrażenia głębokiego patosu namiętności: książki rosyjskiego piewcy ciała nie zawierają ani jednej stronicy, któraby się równać mogła z niektórymi opisami Lawrence'a, temi naprzykład, które są odtworzeniem słownem melodji rozkoszy: „Czuła w sobie brzmie-

nie namiętności, jak echo potężnych dzwonów“... „Wydało jej się, że była, jak morze, cała w ciemnych falach, wznoszących się i wzdymających w olbrzymim wstępowaniu, póki zwolna cała nie wzruszyła się, aż się stała oceanem, przewalającym swoją ciemną, niemą masę...“. Chyba jeden tylko Przybyszewski — i poniekąd Kasprzowicz — mają taką surową powagę w podejściu do kłatwy wiekuistej żądzy ludzkiej.

Lawrence, jak powiada o nim krytyk francuski, nie chce być ani szczęśliwy ani wielki, on chce być; głębokim przekonaniem jego jest, iż **plamię życia** najdostępniejszy jest w chwilach egzaltacji zmysłowej. Możnaby sądzić, że Lawrence rozszerza pojęcie miłości, wcielając w nie cały żywioł fizyczny, który w literaturze mniej podlegał analizie, niż nadbudowa ideologiczna i strona uczuciowa. Ale nie wiem, czy sąd taki byłby zupełnie słuszny. U pisarza tego uderza właśnie fakt wyłączenia z kompleksu miłości wszystkiego, co jest **poza** płcią. Kobieta szuka jeszcze u niego zawodnej i złudnej nuty kochania; mężczyzna zdaje sobie sprawę, że miłość — to doskonały dobór płciowy, obejmujący — jako zjawisko biologiczne — sferą zarówno fizyczną, jak duchową.

I na tem właśnie polega swojego rodzaju rewolucja, której dokonał Lawrence w tematyce powieściowej. Odkrył nową wartość literacką: liryzm miłości cielesnej. Przeniósł punkt ciężkości w nową dziedzinę. Jakoż zazwyczaj pisarz przerywa wątek opowieści, kiedy doprowadza bohatera do aktu miłosnego, i powraca do swej roli kronikarza cudzego życia dopiero, kiedy czytelnik przyjął do wiadomości, iż akt miłosny nastąpił. U Lawrence'a rzecz się ma inaczej. W powieści jego asystujemy przy akcie miłosnym we wszelkich jego fazach i przejawach, opisanych jako coś bardzo prostego i jednocześnie bardzo ważnego — tak, iż dziwnem wyda się już raczej, że dotąd powieści pomijać mogły milczeniem jedno z najważniejszych zjawisk w życiu bohatera, skoro właśnie życie to w swojej całości miało być przedmiotem ich opisu.

Dodać należy, że zjawisko erotyczne nie jest dla Lawrence'a czemś jednolitem: jest on jedynym chyba autorem, który daje odczuć, iż doświadczenie zmysłowe nigdy nie jest skończone; kiedy opisuje w różnych miejscach książki stosunki fizyczne swych bohaterów, za każdym razem opisuje coś w istocie swej głęboko różnego. Uwzględnia również swoistą polifoniczność przeżyć kobiety posiadanej, przypływy i odpływy jej tkliwości, porywy nienawiści, minuty, kiedy obserwuje szyder-

czo „śmieszne w najwyższym stopniu“ ruchy rytmiczne kochanka, lub **nagle** uczucie niewysłowionego uwielbienia dla mężczyzny, jak ko darzyciela rozkoszy. Opisy te, jakkolwiek może się to wydać na pierwszy rzut oka niepojęte, nacechowane są nadzwyczajną czystością. Kochankowie Lawrence'a — to Dafnis i Chloe, ale którzy przeżyli chrystjanizm i odrzucili go dla panteizmu.

Jeżeli trudno się zgodzić z autorem, iż książkę jego dobrzeby było dać do rąk wszystkim siedemnastoletnim dziesięciolatkom, o tyle słuszne wydaje się zdanie jego, wyrażone w przedmowie, że jest to „książka zdrowa, uczciwa i potrzebna“.

Halina Izdebska

„VERBUM“

W styczniu b. r. zaczął wychodzić w Warszawie kwartalnik katolicki „Verbum“. Przy powstawaniu każdego nowego pisma stawiamy sobie mimowoli pytanie, czy powołanie go do życia było rzeczą istotnie potrzebną, czy nie przyczyni się tylko do rozdrobnienia naszego dobytku kulturalnego. Tym razem już pierwszy numer daje nam zupełnie pozytywną odpowiedź. „Verbum“ wnosi do naszej literatury religijnej jakiś nowy ton, wypełnia lukę, którą się w tym dziale piśmiennictwa naprawdę odczuwało. Poważny, jezuicki „Przegląd Powszechny“ zajmując się wprawdzie problemami współczesnymi, ale czyni to zawsze w polu widzenia swego zakonu. Dominikańska „Szkoła Chrystusowa“ omawia w ten sam sposób zagadnienia życia wewnętrznego. „Ateneum Kapłańskie“ przeznaczone jest głównie dla księży. „Prąd“ pozostał dość bladym, oficjalnym organem Uniwersytetu Lubelskiego. Wszystkie te pisma, redagowane przez duchowieństwo, mają założenia ściśle dydaktyczne, nauczania i oświecania wiernych. Żadne z nich nie stało się wyrazem tej przemiany, jaka nastąpiła w stosunku społeczeństw do religii katolickiej. Jest ona jednak dziś widoczna tak u nas, jak i zagranicą. Katolicyzm stracił mnóstwo obojętnych, nominalnych wyznawców, ma coraz więcej otwartych wrogów, ale zyskał całe rzesze młodych, którzy oddali mu się z rozmachem i zapałem świeżych sił i nowoczesnej wiedzy. Wytworzyła się elita kulturalna wśród ludzi świeckich i została przez władzę Kościoła powołana do współpracy we wszystkich dziedzinach. Pozostając w ramach dogmatów i wiekowych tradycji, jest dzisiaj znowu zaczynem ideału, fermentem duchowym, nurtującym u podstaw materialistycznego świata.

Ten ton młodości i pracy twórczej, ten dynamiczny ton dzisiejszego katolicyzmu znajduje właśnie swój wyraz w „Verbum“. Czujemy, że jego wydawcy nie pragną nas moralizować, ani nawet pouczać, tylko chcą się podzielić z nami skarbem zdobytej prawdy.

Programowy artykuł „Nunc et semper“ wprowadza nas odrazu w tę atmosferę śmiałych myśli i napięcia religijnego. Określa on logicznie i dobitnie postawę człowieka, stworzonego do wieczności, wobec potrzeb i zadań czasu, w którym mu żyć wypadło. Doskonałe, wnikliwe studjum prof. Konrada Górskiego o Mauriaku daje nam obraz stosunku wielkiego pisarza francuskiego do katolicyzmu i do własnej twórczości. Można by podać w wątpliwość, czy należało dla jednolitości tomu umieszczać obok tych czysto intelektualnych rozważań medytacje Siostry Katarzyny od Ran Pana Jezusa, będące zupełnie już mistyczną modlitwą — ale sam ten pamiętnik jest rzeczą tak przejmującą i pełną głębi religijnej, że musimy być wdzięczni wydawcom „Verbum“, iż nas z nim zapoznali. Niezwykłe sumienne i wyczerpujące są też recenzje o „Lordzie Jimie“ Conrada i „Duszy w mroku“ Daniel-Rops'a. Dziwi nas trochę przy nich sprawozdanie z „Grand Meaulnes“, wydanego dwadzieścia lat temu — zwłaszcza że nie daje ono pojęcia o niesamowitym uroku tej książki. Słabą stroną „Verbum“ są wiersze i fragmenty dramatu „Trzej Królowie“, który w oprawie scenicznej nabrałby może wyrazu, w druku wypadł jednak prawie banalnie. Całość stoi na wysokim poziomie literackim i każe nam czekać na następny numer z największym zainteresowaniem.

Niestety, musimy czekać zbyt długo. Piśmo, pragnące być zwierciadłem zagadnień współczesnych i wywierać wpływ na społeczeństwo, musi być co najmniej miesięcznikiem, inaczej nie będzie dość żywe — od kwartału do kwartału osłabnie zainteresowanie czytelników. Odbija się to na kompozycji numerów, gdyż niejeden artykuł, nie mogąc być podzielonym, rozrośnie się zanadto w stosunku do otaczających, jak się to już stało ze studjum prof. Górskiego o Mauriaku. Dlatego mamy nadzieję, że w ciągu tego roku „Verbum“ przezwycięży trudności techniczne i stanie się regularnym miesięcznikiem.

W interesie niewtajemniczonych czytelników domagałabym się też za p. Skiwskim, aby wszystkie artykuły mogły być w przyszłości podpisywane przez autorów, bez pseudonimów i skróceń — i to nie tylko dlatego, że trudno jest polemizować z nic nie mówiącymi monogramami; są i powody poważniejsze: współpracownicy pisma o tak wyraźnej

postawie ideowej powinni brać pełną odpowiedzialność za swoje słowa. Ogólnie przyjętym wyrazem tej odpowiedzialności jest podpisywanie się imieniem i nazwiskiem. Ten wzgląd powinien przeważać wszelkie inne pobudki skromności, skłaniające autorów pierwszego numeru „Verbum“ do ukrywania się przed okiem szerokiej publiczności.

Marja Morstin-Górska

MIESIĘCZNIK DLA ZAGADNIEN ŻYDOSTWA

Wiedza judaistyczna, powstała na przełomie 18 i 19 stulecia jako rezultat wielkiego ruchu oświeceniowego wśród Żydów środkowej i zachodniej Europy, zajęła się przede wszystkim wytworzoną w ciągu wieków religijno-moralną kulturą żydostwa. W Pradze, Wrocławiu, Budapeszcie i Berlinie powstały szkoły teologiczne dla systematycznych studiów nad judaizmem, rozpatrywanym przy pomocy metod współczesnej nauki europejskiej. W bibliotekach gromadzili przedstawiciele odrodzonej nauki żydowskiej stare księgi i rękopisy, poczytywane przez nich za cenne pomniki wspaniałej przeszłości, za ciekawe zabytki, które ocalić należy od zapomnienia i zagłady.

Pod wpływem postępów nowoczesnego żydowskiego nacjonalizmu rozszerza się to jednostronne, religijne, konserwatorsko-muzealne nastawienie wiedzy żydowskiej ubiegłego wieku do rozmiarów wszechstronnych badań całokształtu zagadnień życia żydowskiego we wszystkich jego przejawach. Dla pielegnowania wiedzy o żydostwie, obejmującej historię polityczną, społeczną i gospodarczą narodu, jego zdobycze i zasługi na polu materialnej i duchowej kultury — powołane zostają w pierwszych latach naszego stulecia liczne, rozsiane dziś po całym świecie, instytuty badawcze, wśród których wysuwają się na czoło: Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie i Żydowski Instytut Naukowy w Wilnie. Nauce żydowskiej służą też poważne naukowe czasopisma jak np. paryska *Revue des Etudes Juives*, londyńskie *Transactions of the Jewish Historical Society of England* i berlińska *Zeitschrift für die Geschichte des Judentums*.

Jedynym dziś w Polsce poważnym czasopiśmie, poświęconem sprawom żydostwa wogóle, a polskiego w szczególności, jest wychodzący od grudnia 1930 r. w Warszawie *Miesięcznik Żydowski*, red-

gowany przez dra Zygmunta Ellenberga. Czasopismo powstało z inicjatywy społecznej i wydawane jest, z pobudek wyłącznie ideowych, przez specjalnie w tym celu zawiązaną spółkę wydawniczą. Celem *Miesięcznika* jest bezstronne, rzeczowe i krytyczne roztrząsanie aktualnych zagadnień współczesności żydowskiej, wszechstronne, naukowe oświetlenie zagadnień przeszłości Żydów i rozważanie kwestyj, związanych z ich przyszłością. Oprócz działu naukowego, obejmującego wszystkie gałęzie wiedzy o Żydach, znajdujemy w omawianym czasopiśmie obszernie rozprawy i artykuły z zakresu aktualnej problematyki życia żydowskiego w różnych krajach, dające wierny obraz sytuacji światowego żydostwa, dokonywujących się w niem przeobrażeń, nurtujących go prądów i dążeń. Dział aktualnej problematyki jest swoją cechą *Miesięcznika*, wyróżniającą go z pośród zagranicznych czasopism żydoznawczych, kulturywujących wyłącznie wiedzę teoretyczną.

Przeważającą część prac naukowych omawianego czasopisma stanowią źródłowe rozprawy z zakresu historii Żydów w Polsce. W ten sposób kontynuuje ono piękne tradycje „Kwartalnika dla badania przeszłości Żydów w Polsce“, wydawanego przez Szymona Aszkenazego w latach 1912-13 (trzy zeszyty), oraz *Nowego Życia*, wydawanego przez prof. M. Bałabana w roku 1924 (sześć zeszytów). Z pośród przyczynków do dziejów Żydów w Polsce, które się dotychczas ukazały na łamach *Miesięcznika*, wymienić należy jako szczególnie wartościowe, stanowiące cenny nabytek dla ogólnej polskiej historjografii: M. Bałabana — „Kiedy i skąd przybyli Żydzi do Polski“, I. Schipera — „O samorządzie żydowskim w Polsce na przełomie 18 i 19 wieku“ i E. Ringelbluma — „O Żydach w Polsce w świetle prasy warszawskiej 18 wieku“. Do ciekawych pozycji polskiego działu należą jeszcze: R. Brandstaettera — „O legionie żydowskim Adama Mickiewicza“, L. Oberlendera — „Ewolucja poglądów Narodowej Demokracji w sprawie żydowskiej“, tegoż — „Kompleks żydowski Adama Mickiewicza“, rozprawy K. Drezdniera i Ch. Löwa o roli Żydów w poezji polskiej, 19 i 20 wieku, H. Szpidbauma o strukturze rasowej Żydów polskich i M. Markweta o przestępczości wśród polskich Żydów. W dziale ogólnym - żydowskim najciekawsze są prace A. Ruppina, A. Tartakowera i F. Oppenheimera, poświęcone przemianom w strukturze gospodarczej Żydów w Europie położeniu Żydów na świecie w 20 wieku i socjologii życia partyjnego współczesnego żydostwa. Poza tem znajdujemy w *Mie-*

s i ę c z n i k u rozprawy z dziedziny filozofii judaizmu, literatury hebrajskiej i żydowskiej, sztuki, folkloru, pedagogiki, etnografii, demografii i statystyki.

Aktualną problematyką żydowską zajmują się ciekawe i oryginalne artykuły L. Oberlendera, reprezentujące bardzo wysoki gatunek publicystyki. Wymienić tu należy: „Dziewięć wieków współżycia“, „Niepokój mniejszości“, „Co zrobić z Żydami“ i „Istota antysemityzmu i walka z nim“. Bardzo interesująco przedstawiają się dwa specjalne zeszyty *M i e s i ę c z n i k a*, a mianowicie zeszyt 9—10 r. 1933, poświęcony sprawom żydowskim na XIV Zgromadzeniu Ligi Narodów, przynoszący in extenso tłumaczone z oficjalnego protokołu narad Szóstej Komisji najważniejsze przemówienia w wielkiej debacie mniejszościowej, oraz zeszyt 11—12 tegoż roku, zawierający referaty przedstawicieli żydowskiej nauki historycznej na odbytym w sierpniu w Warszawie Międzynarodowym Kongresie Historyków.

Szczególną uwagę poświęca *M i e s i ę c z n i k* odradzającej się Palestynie, kielkującym w niej ziarnom nowego żydowskiego ducha, wolnego od psychicznego dziedzictwa życia w diasporze, oraz wysiłkom Agencji Żydowskiej, zmierzającym do zespolenia narodu dookoła budującej się Siedziby Narodowej. *M i e s i ę c z n i k* prowadzi stale trzy działy: rozpraw i artykułów zasadniczych, przeglądu miesięcznego omawiającego aktualja i recenzji z wszelkich publikacji i książek, ukazujących się w kraju i zagranicą, a mających jakikolwiek związek z żydostwem.

M i e s i ę c z n i k Ż y d o w s k i jest trybuną krytycznej, rzeczowej myśli i służy wszystkim ludziom dobrej woli, pragnącym

się bezpośrednio zapoznać z zagadnieniami życia i kultury żydowskiej. Cenne usługi oddać on może polskiemu społeczeństwu, któremu znakomicie ułatwi zrozumienie całości kształtu spraw, związanych z tak bardzo dziś aktualnym problemem żydowskim.

J. Bleiberg

KSIAŻKI NADEŚLANE

J. I. Kraszewski: Chata za wsią. Opracował Stanisław Turowski. Biblioteka Narodowa (Ossolineum).

Włodzimierz Słobodnik: Pamięci matki (Gebethner i Wolff).

Wojciech Bąk: Brzemie niebieskie (J. Mortkowicz).

Marja Dąbrowska: Uśmiech dzieciństwa. Wspomnienie. Wyd. II (J. Mortkowicz).

Jerzy Braun: Epitaphium (Biblioteka Zet).

Manes Fromer: Konieczność światowego rozwiązania kwestji żydowskiej (Wydawnictwo Nowoczesne).

Leopold Lewin: Sen zimowy (F. Hoesick).

R. Łomnicki: Proletariat kolorowy w kolonjach („Tom“).

Tadeusz Szmurło: Szwoleżery furazery (Gł. Księgarnia Wojskowa).

Czesław Strzeszewski: Znaczenie prawa zmniejszającej się wydajności w produkcji rolnej (Kasa im. Mianowskiego).

Wincenty Jan Ostrowski: Wyobraźnia ejdeyczna Stanisława Wyspiańskiego (Pozn. Tow. Filozoficzne).

Leszek Gembarzewski: Monarchja narodowa jako hasło XX-go wieku.

Nakładem „Drogi” ukazało się drugie wydanie książki

**ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO
„MYŚLI O NOWEJ POLSCE”**

Cena zł. 4.—

(Dla prenumeratorów „Drogi” zł. 2.50).

**Książka jest do nabycia w Administracji „D r o g i” (Warszawa,
ul. Chmielna Nr. 33 m. 5, telefon 2.75-34. Konto P. K. O. 518)
i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.**

O D R E D A K C J I.

W najbliższym (majowym) zeszycie „Drogi” pojawi się obszerny artykuł, poświęcony Adamowi Skwarczyńskiemu, pióra Wilama Horzycy.

*

Z powodów od Redakcji niezależnych dalszy ciąg pracy Władysława Pobóg-Malinowskiego p. t. „Józef Piłsudski w Tymczasowej Radzie Stanu” ukaze się w numerze majowym, względnie czerwcowym.

*

Druk numeru ukończono 26 kwietnia 1934 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata kwartalna — 6 zł., roczna — 24 zł.

Zagraniczna kwartalna 7.50.

Cena pojedynczego numeru zł. 2.50.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83.

W roku bieżącym przypada 75-lecie

Tygodnika Ilustrowanego

najstarszego w Polsce czasopisma literackiego
o charakterze literackim, społecznym i politycznym.

Pierwszorzędny zespół współpracowników, pełna aktualność tematów

Dwa dodatki miesięczne: magazyn **NAKOŁO ŚWIATA** i tom
wartościowej powieści oryginalnej lub tłumaczonej (200–400 stron).

PRENUMERATA:

TYGODNIK ILLUSTROWANY wraz z „Biblioteką Powieściową”

miesięcznie	zł. 5.50	z odn.	do domu	lub	przes.	poczt.	zł. 6. —	, zagr.	zł. 8. —
kwartalnie	„ 16. —	„	„	„	„	„	„	„ 17.50,	„ „ 23.50
rocznie	„ 64. —	„	„	„	„	„	„	„ 70. —,	„ „ 94. —

TYGODNIK ILLUSTROWANY wraz z „Biblioteką Powieściową” i miesięcznikiem Naokoło Świata

miesięcznie	zł. 7. —	z odn.	do domu	lub	przes.	poczt.	zł. 7.50,	zagr.	zł. 9.50
kwartalnie	„ 20 50	„	„	„	„	„	„	„ 22. —,	„ „ 28. —
rocznie	„ 82. —	„	„	„	„	„	„	„ 88. —,	„ „ 112. —

Adres Redakcji i Administracji:

**WARSZAWA, UL. ZGODA 12 — KANTOR, KSIĘGARNIA
GEBETHNERA I WOLFFA, UL. SIENKIEWICZA Nr. 9**

— Konto P. K. O. Nr. 143 —

PP. urzędnicy państwowi korzystają z 15% zniżki.

20, -

93800

354

